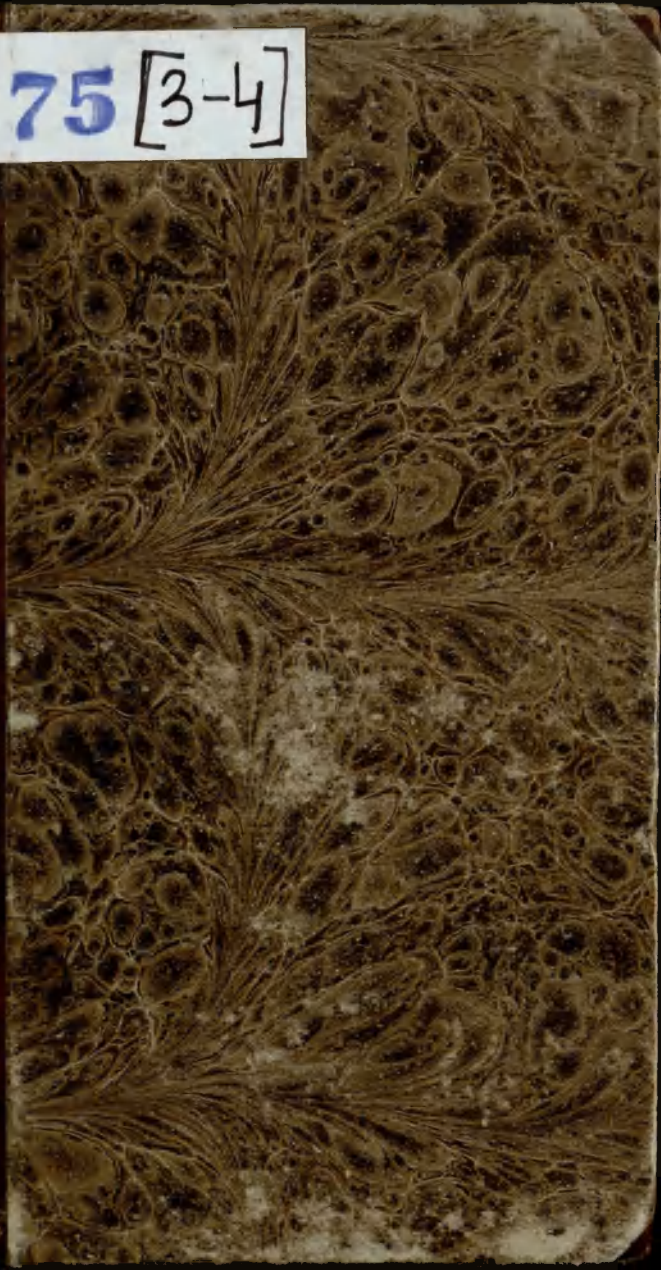


775 [3-4]



PUSTELNIK

z

Wrocławskiego Przedmieścia.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéy.

PUSTELNIK

ZKRAKOWSKIEGO PRZEDMIĘSCIA.

CZYLI

CHARAKTERY

LUDZI I OBYCZAIÓW

PRZEZ

Gerarda Mauryczego Witowskiego.

DRUGIE

POPRAWNE I POWIĘKSZONE WYDANIE.

Gdyby ktoś brał to do siebie, co jest do
wszystkich powiedzianem, niepotrzebnie
wydalby się z swoimi błędami.

FEDR.

TOM IV.



W WARSZAWIE.

W DRUKARNI A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.

PRZY ULICY ŻABIEJ N. 472.

<http://1829.org.pl>

SPIS (*)

SZANOWNYCH OSÓB KTÓRE RACZYŁY PRENUMEROWAĆ NA
DZIEŁO PUSTELNIKA Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIĘSCIA.

Adolf.	Chyńcz.
Andrzejewski.	Cieszkowski Ignacy.
Andrychiewicz August.	Czaki B. R.
Axamitowski.	Czaplicki.
	Czapska Hr.
Badeni Ignacy R. S.	Czarnecki X. K.
Belżyński.	Czaykowski.
Benik Edward.	Czernielewski Kazimierz.
Bielanowski Adw.	Czerniewicz.
Bielski Grzeg.	
Bierzyński Roman.	Demińska Amelia.
Bobakowski.	Demiński Pułkownik.
Boniecki Antoni.	Diell Pr. Kons. Ew.
Borman Liberat.	Dmochowski Fr.
Boznański.	Dobrowolski X. Pr. Lyc.
Bronic W. M. D.	Dobrowolski Kazimierz.
Breunig Wd.	Dolhyszeff Kap. Gwar.
Buczyński Ambroży.	Działyński Hr.
Bulatowicz.	Dzięcielski Bis. Lubelski.
Butkiewicz Kan.	Dzierżbiński.
Bykoff Por. Gwar. exempl. 2.	Dzieszkowski X.
	Dzieciakowski.
Chaliński.	
Chryniewski exempl. 2.	Ekerkunst R. W.
Chylińskowski Rf. St.	Englert.

(*) Dla niedoszłej na czas wiadomości o nazwisku niektórych prenumeratorów spis ten nie zupełnym jest, zwłaszcza co do osób z prowincyi.

Fabiszowa exempl. 2.	Juszeński.
Falęcki.	Iwanicki.
Falkowski R. I. G. N.	Kamionowski Pro. P.
Filipecki.	Kanigowski.
Fiszer.	Karski R. S.
Friese (de).	Kielczewski Karol.
Gabryalowicz Jozef X.	Kliman.
Gałkowski.	Kłodnicki.
Garlicki.	Koch.
Giecowicz X.	Kochanowska.
Giedgowl X. Kanonik.	Kochanowski.
Golanowski.	Koller.
Gostkowski exempl. 5	Kołaczkowski K. O.
Grahowski Min. W. O.	Komirowski.
Grabowski R. S.	Korsak
Grabowski Leon.	Kossakowski W. G.
Grotowski.	Kossowicz.
Gross.	Kotkowski X.
Gruszecki.	Kownacki.
Halicki X.	Kozarski Jakób
Herman.	Koźmian Biskup Kał.
Hiż.	Kraśniewski.
Hodyniecki.	Kranas.
Hofman Edward.	Lanowski.
Huleyski.	Lemański.
Jabłoński Franciszek.	Leszczyński.
Jakubowski.	Linde R. Lyc.
Jakubowski Salwian.	Lisowski.
Jagmin Pulkownik.	Lubański.
Jahołkowski S. G. U. M.	Łanowski.
Janowski z Jazic.	Łapiński.
Jlnicki R. S.	Łaszewski.
Jutuszenko.	Łempicki Stan.

Łubieńska Hr.	Paszkowicz Archid. Metr.
Łubieński Ant.	Paszkowicz Sz. Bió.
Łubkowski Roman.	Patkiewicz.
Łukaszewicz Por.	Piątkowski Buch.
Łuszczewski.	Piotrowski.
	Podkański Hr.
Maciejewski.	Podoski Onufry Hr.
Mali.	Popławski R. Iz. Obr.
Malachowski Hr.	Poradowski Puł. Huz.
Matuszewski.	Posławski Inzenier.
Matuszyński.	Prazmowski Bis. Pło.
Marciejewski Stan. exemp 2.	Przedpelski.
Markowski.	Przyłęski.
Markowski Ludwik J. G. P.	Pulewka.
Meciszewski Pułk.	
Miączyński.	Rademicki.
Michałowska.	Radomiński Sz. Bió. exep. 3.
Milewski S. D. P. Z.	Rakiety S. G. K. W. O.
Miodzianowski Sz. W.	Rakoszewski Józef.
Młokosiewiczowa.	Rembieliński.
Moszczyński.	Roliński D. U.
Mysiewicz.	Roman.
	Rotkiewicz z Kroczyc.
Niewiadomski z Ochorza.	Rybiński.
Niewiarowski.	Rytschel Pr. Un.
Neydyng.	Rykaczewski.
Norwid.	
Nowakowski.	Salacki Puł.
Nowicki.	Samborski.
	Saulsohn.
Okoński.	Sawicki.
Orlikowski.	Sierzpiński.
Osiński.	Skorupski Karol.
Osipowski.	Skwarczyński.
Ostrowski Alex.	Skwarski.
Ostrowski Hr. Wład.	Soiecki.
Ostrykowski.	Sołdecki Paweł.

- | | |
|---------------------------|--------------------------------|
| Sosnkowski N. W. | Wiszniewski R. Iz. Ob. |
| Spiski. | Wiszniewski Tcofil. |
| Straszak X. | Włodarski. |
| Sumińska W. | Wolanowski. |
| Swiniański. | Wolski. |
| Szamer. | Woronicz Arcyb. Pr. |
| Szaniawski R. S. | Woloski. |
| Szaniecki Olrych P. n. S. | Woyciechowski. |
| Szańkowski. | Woyde Leopold. |
| Szczepkowski P. Iz. Ob. | Woyciński. |
| Szczuka. | |
| Szrader. | Zaborowski. |
| Szuwalski R. Iz. Ob. | Zaborowski p. S. B. |
| Szweykowski X. R. Un. | Zalewski. |
| Szyrma Pr. Un. | Zboiński Hr. z Kikola. |
| | Zgierczyński. |
| Tarnowska Hr. | Zorawski. |
| Tarczyński. | Zubelewicz W. G. |
| Tokarski. | Zukowski. |
| Trzetrzewiński. | Zylicz Franciszek. |
| Turowski. | |
| Tużański. | |
| | SPIS DODATKOWY. |
| Ubysz. | Biblioteka Pulawska. |
| Ulanicki. | Księgarnia Glücksberga ex. 35. |
| Umicki. | Miasto Kalisz exempl. 15. |
| Uniatycki. | — Lublin exempl. 10. |
| | — Zamość exempl. 1. |
| | — Nowe Miasto. |
| Wasilewski Jan R. Iz. Ob. | — Plock. |
| Wesłowa Hr. | — Radom. |
| Wedrychowski. | — Ięczyca. |
| Wierzbowski X. Kan. | — Maryampol. |
| Wierzbowski Pis. M. S. | — Słupca. |
| Wilamowski. | — Włodawa. |

PUSTELNIK

Krakowskiego Przedmieścia

~~~~~  
Ner LXVI. 24 WRZEŚNIA 1819.  
~~~~~

SPOWIEDZ.

✓ Confitemini.
Spowiadamy się.

*Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia do
Bywalskiego z Alei Ujazdowskiéy.*

SZANOWNY KOLLEGO!

D*ies annorum nostrum in ipsis, septua-
ginta anni. Si autem in potentatibus, o-
Tom IV.*

1

cloginta anni. «Bieg dni naszych w tém życiu, mówi Prorok, jest do lat siedmiudziesiąt; ale mocni żyją nawet ośm krzyżyków.»— Połowa tęg przepowiedni Psalmisty ziściła się na mnie, szanowny kollego; zachodzi tylko wątpliwość co do drugiey połowy: nie jestem bowiem z tych mocnych.

Siły moje słabieją: czas, ten nieubłagany starzec, rozpostarł już swoje skrzydła nademną; widzę znikomość doczesnego życia, czuję że nie zadługo niczem będę; *jestem proch i wkrótce w proch się obrócę.*

Na nieszczęście nie mogę tego powiedzieć o sobie co nad zgonem swoim wyrzekł jeden z naydawniejszych naszych Poetów, JAN KOCHANOWSKI.

I opatrzyl to dawno syn młodey Latony
 Że popiół kości moich nie będzie wzgardzony.

Spiewak z Czarnolasu był pewnym swojey sławy. Jego pisma, pełne wdzięków, czytane są z upodobaniem na polskiej ziemi, a sprawiedliwa i wdzięczna potomność ozdobiła już jego rytmy wieńcem Nieśmiertelności.

Jednakże przy dzisiejszym upowszechnionym smaku do czytania byłoby nie miłą dla mnie rzeczą zaginąć: chociaż nie czerpałem ze źródła Hipokreny, nie radbym przecieź pić z rzeki zapomnienia: iak każdemu literatowi i mnie się chce żyć po śmierci; i najmocnięj bolałoby mię to szanowny kollego, gdyby moje pisma miano razem ze mną w jednym grobie pochować. Co tu czynić żeby ie wydrzeć niepamięci? Żeby się dobić sławy? Żeby znaleźć księgarza? — Umrzeć z chwałą? — W istocie ta myśl przychodziła mi iuż nie raz do głowy; wiem nawet że nie ieden Poeta który nie wiedział iak miał i co miał napisać, przestał i tem się wsławił: mnie się zdaje że ten rodzaj sławy nie iest tak trudnym do osiągnięcia; cóż mówisz kollego?

Otoż i ia także chcę umrzeć z chwałą. Lecz gotniąc się na śmierć, kollego, muszę się przystoynie pokazać. Oprócz tego publiczność, zajmując się mnięj więcey pismami Pustelnika od lat kilku, będzie może ciekawa wiedzieć szczegóły iego zgonu. — W takim razie wypada mi zachować *decorum* stanu i skończyć z tą samą wspaniałością ia-

kiéy wymagano w Rzymie po *Szermierzu*
którego iak wskazuie posąg,

Wdzięczna postawa ciała, twarz wypogodzona,
Uśmiech widza wtenczas nawet kiedy kona.

I czemużbym wreszcie nie miał szlachetnie umierać? *Umrzeć* jest to tylko przeżyć ostatnią godzinę. A potem, nacóżby nam się zdała filozofia, gdyby nie miała nas nauczyć nietylko żyć ale i umierać? Śmierć jest iednym z warunków *kontraktu* życia; jest więc *aktem* życia, chociaż wprawdzie ostatnim.

Ażeby dobrze umrzeć trzeba się najprzód z sobą samym pogodzić; uczynić porachunek sumienia, wyznać błędy, prosić o przebaczenie winy, odbyć pokutę: słowem trzeba się spowiadać. Koledze nie będzie się dziwno wydawało, że moja spowiedź jest publiczna: taki był zwyczaj u dawnych chrześcian. Oprócz tego spowiedź duchowną przyjął kapłan moiey parafii; tobie zaś spowiadam się kollego moich grzechów literackich.

Wyznaię najprzód: że pierwéy, nim poznałem prawdziwego Boga światła i gustu,

palilem bałwochwalcze ofiary fałszywym Bożyszczom: przekładałem *Senekę* nad *CYCERONA*, *Lukana* nad *WIRGILEGO*, *Woltera* nad *RASYNA*, *Roussa* nad *BOSSUETA*, *Bielawkiego* nad *NIEMCEWICZA*. Błąkałem się po ciemnościach nocy iak gdyby iaki odszczepieniec i zaślepiony w błędzie nie szukałem prawdziwicy drogi któraby mię mogła poprowadzić do królestwa chwały. Kochałem się w grzecliu, lubilem *KADETOŚĆ*; *sofizmata* były moim ulubionym pokarmem, żyłem samemi *paradoxami*.

Wyznaię prócz tego że zbyt późno zacząłem poznawać i cenić *MOLIERA*, *CERVANTESA*, *ADDISSONA*, *KRASICKIEGO*, tych nieporównanych ludzi, których gruntowna moralność, głępkoka filozofia, naturalna komiczność i wesoly dowcip tak wiele przykładają się do ukształcenia zdrowego rozumu.

Jeśli moje myśli były tak nieczyste, cóż dopiero mówić o moich uczynkach. Ogluszony wielkiem imieniem *Szekspira*, *Szyllera*, *Woltera*, a nadewszystko przykładem iego *Semiramidy*, napisałem *Melodram*, gdzie upiory i duchy iak się możesz domyśleć, szanowny kollego, nie były przepo-

mniane. Boże mię skarż ieślim wiedział com czynił! Wystaw sobie, iakie zgorszenie! Dawano oklaski moiéy sztuce: moje *kalam-bury* wzięto za dowcipne pomysły i osnowę sztuki moiéy uznano za iedyną dla tego żem w niéy wyraził to co nigdy nikomu przez myśl nie przeszło. Tak więc, dzięki złemu gustowi moich widzów i duchowi czasu, przykładałem się czynnie do zabicia dobrego smaku i nie iedną niewinną duszę, któraby się była ieszcze mogła poprawić, utrzymałem przez to w błędzie i skazałem ją tym sposobem na wieczne potępienie.

Grzechy moje przeszły wszelką miarę nieprawości; bo trzeba ci wyznać, kollego, wcałéy pokorze ducha, że byłem długi czas Romantykiem. Przykładałem się do rozszerzenia téy nauki którey celu ani natury dotychczas nie poymię. Naydziwaczniejsze pomysły, obrazy naysprzeczniesze, styl niewypowiedzianie śmieszny, słowem to wszystko co widzisz w dzisiejszych sonnetach, balladach i powieściach romantycznych, było nayulubienszą pastwą skazoney duszy moiéy: na obrazę rozsądku *buiiałem w nieładzie*, dla doścignienia *krau-*

ców niewidomego świata *leciałem* w przepaść; dziwiłem gmin, który mię tym więcej uwielbiał im mniey rozumiał, i przez moje *mistyczne* natchnienia wprowadziłem nie iednego czytelnika w obłąkanie w którym do dziś dnia zostaie.

Młodość moja, kollego, nie była także bez zmazy: powiedzmy otwarcie, była bardzo burzliwą. Zaledwie wyszedłem ze szkół, a nawet ieszcze w szkołach będąc, podnosiłem nie raz świętokradzkie dłonie na mowę oyców naszych: chciałem koniecznie stworzyć nową pisownię. W zapalczywości moiéj przewracałem zgłoski do góry nogami, wykręcałem nogi wierszom, wykrzywiałem fizyonomię rozmaitym wyrazom, szarpałem słowa; tak dalece, że starzy Polacy, nie wiedząc przyczyny téj moiéj zawziętości, płakali nad moiém zaślepieniem. Inni, którym pokazywałem moje rękopisma, myśleli że ich chcę po *samskrytsku* nauczyć. Niebaczny! chciałem się wsławić małym kosztem! Gdy przeciwnie, teraz to widzę, byłem iak ów niecnota który spalił kościół Dyany! A co gorsza, tłum naśladowców poszedł za moim przykładem. Każdy pracu-

ie teraz nad wywróceniem *Babylonu*! I na gruzach tego miasta wszyscy budują tylko wieżę! Tak to jest rzecz niebezpieczna dać światu zgorszenie!

Otóż to są nieiako piérwiastkowe czyli piérworodne grzechy moje. Pozostaie mi mówić ci teraz kollego o tych które popełniłem po przejściu na wiarę klassyczną, czyli po wychrzczeniu się moiém. Geniusz prawdy zlitował się nademną i oświecił mię; porzuciłem błędne manowce, trzymałem się prostey ścieżki, uczyniłem rozbrat ze zlemi i zacząłem żyć pośród dobrych. Tecz, o iak trudno jest otrząsnąć się duszy z nałogu przewrotności! Zaraz na samym wstępie wyparłem się moich nowych Bogów: widziałem iak ich szarpano po gazetach, iak się z nich naygrawano, a ostry grot moiego pióra nie przeszył natychmiast słowa bluźniercy! Milczałem, sprawdziłem przysłowie: *Qui tacet consentire videtur*. Milczenie moje wzięto za przyzwolenie, rozgłoszono wszędzie że iestem fałszywym wyznawcą, posądzono mię iakobym w duszy był zawsze tylko *romantykim*; miałem zupełnie postać *faryzeusza*. O TOLERANCYO! iak-

że zdradliwą jesteś dla ludzi bojaźliwych! To co pokryłem twoim imieniem, był właśnie *indifferentyzm*, oziębłość serca ku nowéj wierze, niedostatek odwagi, obawa śmierci męczeńskiéj! *Herezya* rozlała się po świecie literackim. Nie pomogła nic moja wiara gdyż była bez dobrych uczynków.

Mój zawód literacki jest także zmazany wielu nieprawościami. Przepraszam najprzód tych wszystkich z których się śmiać poważylem. Pomimo wytkniętych przestępnie wad niektórych są to ludzie w gruncie bardzo uczciwi ci wszyscy o których wspomniałem: i byłoby mi nader przykro gdyby publiczność powzięła o nich opinią gorszą od téj na którą zasłużyli.

Przepraszam również moich czytelników za uległość którą krytykom okazywałem. Bałem się niezmiernie ich szczebiotliwości a nie wiedziałem że ta ich zarozumiałość pochodzi tylko z ich niewiadomości. Tym sposobem poświęciłem nie raz dobry smak dla ich przywidzenia. Ubiegając się za marą *oryginalności* nie dosyć przeymowałem się wzorami obcemi: stwarzałem niedorzecznie chociaż mogłem dobrze naśladować, zachlacia-

to mi się bydź koniecznie narodowym pisarzem, iak gdyby każdy pomysł, ozdobiony wdziękami imaginacyi i oparty na zasadach zdrowego rozsądku, nie był już tem samem narodowym pomysłem?

Także i tego niezmiernie się wstydzę a razem mocno żałuję że dla tego iż byłem dosyć nie złym chemikiem w moim młodym wieku i że napisałem bez wielkich błędów kilka moralnych powieści, miałem się wduszy za wielkiego człowieka. Bohatyr, który się poświęca dla szczęścia przyszłych pokoleń, Monarcha który nadaie swobodne prawa narodom, woioownik który utrzymuje siłę i niepodległość państw, wymowny kapłan który zbawia ludy światłem wiary, urzędnik nareszcie który zaprowadza w kraju porządek i wymierza sprawiedliwość, powinni mieć pierwsze miejsce przed innemi. Nie przeczę ia tu iżby nauka i literatura nie były rzeczy chwalebne i przydać się nie mogły nawet bohaterom, woioownikom, duchownymi statystom; ale, zdaniem moim, do powszechnych uwielbień w nauce ci tylko mają prawo, którzy przez swoje znamienite zdolności lub ważne odkrycia wpły-

waią na szczęście i oświecenie ludów; słowem uczeni pierwszego rzędu obdarzeni wielkim geniuszem. Jeden tylko KOPERNIK może stanąć obok KAZIMIERZA WIELKIEGO, i tylko KRASIICKI, NARUSZEWICZ i CZACKI mogą się równać z CHODKIEWICZAMI, ZAMOYSKIMI i ZÓŁKIEWSKIEMI.

Uczyniłem przed tobą, kollego, porachunek sumienia z całego życia moiego i wyjawiałem ci wszystkie grzechy moje. Wprawdzie przypominam sobie jeszcze, że w młodości moiej przepisał cudze wiersze które posłałem za moje własne pewnej młodej damie; lecz myślę że to jest tak małe przewinienie iż o niem nawet wspominać nie warto. Tylko świętym ludziom przystoi spowiadać się z najmniejszych ułomności dla tego że większych nie mają. Biskup Hiponiski wyznał na spowiedzi że zjadł razu jednego komuś gruszkę: iabym miał niezmiernie wiele podobnych grzechów na duszy, osobliwie z owego czasu gdy: jeszcze był małym; ale ich liczyć nie myślę: byłoby obłudą z moiej strony zwracać uwagę kollegi właśnie na te przestępstwa które są najmniejsze.

Pozostaie mi tylko teraz wynurzyć ci, kollego, mój szczerý żal i oświadczyć tobie niezachwianą chęć poprawy. Zbliżony do kresu życia, nie uwodzę się żadném o-mamieniem światowém. Czuję cały ogrom moich przewinień i chęć za nie pokutować. Ażeby już nikomu nie dać więcéy zgorzzenia usuwam się od wszystkiego, porzucam świat, przestaię pisać. Uciekaiąc od pokus literackich zostanę przynajmniéy wolnym od grzechu; nie chodząc po téy śliskiéy drodze nie będę się na niéy potykał. Rozpamiętywaiąc na osobności nad moimi błędami będę się starał aby ie zapomniano. Tak żyjąc, umrę spokojnie a może i z chwałą. Zapewne téż kiedy potomni widząc moje szczerre i ostateczne nawrócenie się, powiedzą o mnie: «Ten człowiek nie był zatwardziałym grzesznikiem; miał on swoje słabości tak iak wszyscy literaci, ale z tych przy końcu starał się poprawić i oczyścić: nade-wszystko wyznał swoje przewinienia i żałował za nie: a ieżeli nareszcie wiego pi-sma wcisnęły się iakie błędy, te nie były ze złego serca, ale pochodziły iedynie ze

słabości ducha która prześladuje niekiedy samych nawet Poetów.»

W twoje ręce kollego, oddaę sławę moję.
In manus tuas dimitto animam meam.

ANASTAZY LUBICKI.

ODPOWIEDŹ.

*Bywałski z Alei Ujazdowskiéy do Pustelnika
z Krakowskiego Przedmieścia.*

SZANOWNY KOLLEGO!

Myśleliśmy dosyć długo że WPan, Mości Pustelniku, przeniosłeś się *ad Patres* i że już na tamym świecie posyłasz artykuły swoje do Gazety umarłym. Przez całe dziewięć miesięcy nie mieliśmy od ciebie nay-

Tom IV.

2

mniejszëj odezwy. A któż to słyshał tak się opuścić! Moia żona przekonana że nie żyiesz zmówiła już pacierz za ciebie; a nasze dzieci iędzily do Powązek żeby przynajmniëj widziëć grób Pustelnika.

Do tëj naszëj łatwowności przyczynily się takżë nie mało *plotki brukowe*: byli bowiem ludzie, mający w tëm zapewne własny interes, którzy się zaprzysięgali że WPanna widzieli *na marach*, że cię *sami odprowadzali* do miejsca wiecznego spoczynku i że nawet wskazaćby mogli ustronie w którëm ciebie, kollego, pochowano.

List twój, zacny Pustelniku, wywiódł nas wszystkich z błędu: iest on prawdziwie *Rezurekcyą* twoją. A więc ty żyiesz? Dzięki niech będą za to niebu! Żyiesz, i nawet dosyć widzę wesół: żarciki, iak zwykle, trzymają się ciebie ieszcze i sposób zabawny w iakim się spowiadasz, przekonywa nas że twoie siły, kollego, nie są tak osłabione iak ci się to wydaie, przynajmniëj pod względem umysłowym.

Nie umiem ci opisać radości którą mi sprawiła twoja spowiedź: iednakże daruy mi,

zacyjny Pustelniku, że ci nie mogę przesłać
żądanego rozgrzeszenia. Chcesz aby two-
ie literackie przewinienia poszły w niepa-
mięć, a nowe błędy popełniasz? Grzeszysz
nawet wtenczas kiedy idziesz na pokutę?
Nie tak postępuje ten kto się chce zupełnie
oczyścić, kto żałując za grzechy istotnie się
niemi brzydzi. Skrucza ta tylko może być
przyjęta za którą idzie poprawa.

Nie uniewinnia to ciebie najprzód żeś się
publicznie spowiadał. Wprawdzie, mówić
głośno źle o sobie nie jest to zmartwić bli-
źniego, osobliwie kiedy się kto tak nie o-
chronia jak ty kollego. Lecz nie oszczędza-
jąc siebie można bardzo przeto nie oszczę-
dzać i drugich. Błędy wspólnie popełnione
są własnością wszystkich *interessentów* i nie
wypada ich wyjawiać bez ich zezwolenia:
tam bowiem gdzie zachodzi *solidarność* mil-
czenia, skrucza *individualna* miejsca nie
ma; jest ona pokorą względem ciebie, a
ktem oskarżenia względem twoich kollegów.
Wystaw sobie, zacyjny Pustelniku, co by to
było za zgorszenie gdyby jaki swawolnik (*),
idąc za twoim przykładem, chciał się także

(*) Jak to uczynił Rousseau.

publicznie spowiadać; i dla pokazania ile się brzydzi grzechami młodości wymieniał osoby z którymi ie popełniał? Otóż to jest właśnie co ty uczyniłeś; biczując się za grzechy literackie iako romantyk, ideolog, iluminat, wychłostałeś całą rzeszę fałszywych wyznawców literatury, wysiekłeś romantyków, melodrammaturgów, zakamieniałych purystów, nieubłaganych pedantów, ciemnych reformatorów, którzy albo dawniiej z tobą grzeszyli, albo dziś ieszcze grzeszą bez ciebie: podburzyłeś przeciw sobie drażliwy ród który, iak te iadowite osy, nigdy nie przebacza i który nie da ci teraz chwili spoczynku; nadewszystko zagniewałeś na siebie potężne plemie romantyków; szczęściem przynajmniiej wielkiem dla ciebie że ich artyllerya jest źle obsadzona, że mając styl ciężki, myśli zawile, wysłowienia nie iasne, nie potrafią się dobrze wyrazić: a tak przecie połowa grotów które na ciebie będą wymierzać zginie w powietrzu!

Nie sądz, iż podnosząc przeciw nim oręż, masz prawdę za sobą: prawda siedzi wstuidni iak mówią niektórzy: jest to iakieś lilo-

zoficzne *absolutum* iak mówią drudzy: iest to nareszcie większość głosów iak utrzymują naynowsi. Dzięki tobie niech będą oświeceny dziewietnasty wieku, który wynalazł prawdziwą prawdę, owe pamiętne na zawsze axionia: *Quand tout le monde a tort: tout le monde a raison*, to iest że kiedy się wszyscy myślą wszyscy mają rozum. Uzbroiony tak potężnym oszczepem, który zabija od razu wszystkie rozumowania LOKA i KONDYLAKA, każdy teraz może śmiało powiedzieć że czterech głupców więcej znaczy niżeli trzech rozumnych, bo tamci pierwsi mają większość głosów za sobą. Ze Romantycy są w większój liczbie, to rzecz bardzo naturalna: ażeby uformować klaszyka trzebago długo i wiele uczyć; prócz tego nie każdy ma głowę klaszyczną to iest zdatną do nauki: gdy przeciwnie romantyk niczego nie potrzebuje; nie ma przyczyny niczego się uczyć. A na co iemu szukać prawideł albo wzorów? Alboż to on nie ma *natchnienia*? A natchnienie iest tak łatwo mieć, zwłaszcza przy ponczu! I dla tego też na stu rodzących

2*

się literatach dziewiędziesiąt ośmiu jest pewno romantyków.

Zważ więc coś uczynił! Jaką ogromną większość głosów, jaką prawdę będziesz miał teraz przeciwko sobie! Mocni liczbą będą ci mieli prawo powiedzieć żeś jest nieuk, żeś pełen prostoty i naturalności, słowem żeś klasyk, i dowiodą ci większością głosów że nie wart jesteś tylko żeby ciebie porównać z tym krótkim HORACYM lub z tym kuzynem BOALEM (*). Kto wie nawet czyli w gniewie nie nazwą cię z pogardy HOMEREM albo WIRGILIEM!

Lecz nie mówmy już więcej o tém, co się stało to się odstać nie może: myślmy tylko iak wyjść z tego niebezpiecznego położenia. Mówisz że się usuwasz od wszystkiego, że porzucasz świat i przestajesz pisać. Jakto? chcesz umrzeć z chwałą a z placu uciekasz? Jesteś literat a pisać się boisz? Wiedz o tém,

(*) Te same wyrażenia czytaliśmy niedawno w gazetach.

Że do sławy ten sobie źle toruie drogę,
Kto na wstępie niemężką cofa zaraz nogę.

Odwaga więc przystoi każdemu: cóżbyśmy powiedzieli o woiowniku któryby mając powierzone obronne stanowisko lękał się przeciwników dla tego że są liczniejsi? Albo któryby, iak ty, pierzchał przed nieprzyjacielem? Nie tajno ci iest zacny kollego, że w takim razie *dezercya*, równie literata iak żołnierza, śmiercią bywa karana, śmiercią niegodną walecznych.

Przyczyny które daiesz na usprawiedliwienie twoiego postępowania, nie dosyć wymawiaią ciebie, kollego. Chcesz uciec od pokus? Znay, że Antoni z Padwy nie byłby nigdy policzony między Świętymi gdyby był nie znał pokusy: Bo od pokus nie należy stronić, tylko ie zwyciężać potrzeba. Piękna téż to iest rzecz walczyć z przeciwnościami. Wielkie dusze lubią przeciwność: i nigdy geniusz nie iest świetniejszym iak wtenczas gdy się znayduje w krytycznym położeniu. Ah! czyliżby naprzykład twój ulubiony DEMOSTENES był sobie ziednał tak głośne

imię, gdyby zamiast pisać po nocach, przy swojej lampce, *filippiki* na MACEDOŃCZYKA, wolał był schować się przed swoim potężnym przeciwnikiem? Albo CYCERO, czyliżby zasłużył był sobie na imię szanowne oycy i zbawcy oyczyzny, gdyby się był nie starł zwycięzko z owym zawołanym wicherzycielem *Katiliną*, który był tém w polityce czém są nasi romantycy w literaturze. *Quousque tandem* w sławiło Marka Tulliusza.

I wiakimże to czasie chcesz złożyć oręż, przywdziać kaptur i pójść na rozmyślanie? Oto wtenczas kiedy tysiące ludzi, rozjątrzonych przez ciebie, przyjdą cię szukać, wywoływać, wyzywać i pytać się: gdzież on jest, gdzie się ukrył, czemu się nie pokazuje? W takim razie wyidziesz, ani wątpić o tém; wyidziesz, pokażesz się; ale wiakim stanie? Rozbroiony, obnażony, pióro mając w ręku przytępione, a może wcale bez pióra. Sądź więc iaki los, iaka kolęcy ciebie czeka! Tarcza twoja będzie leżeć na ziemi wtenczas kiedyby piersi twoje osłonić powinna; znay-

dziesz się bez puklerza w razie naywiększey potrzeby.

Lę kay się, zacny kollego, popełnić samobóystwo. Minęło ośmnaście wieków od owego czasu iak się Katon targnął na własne życie swoje, a do dziś dnia ieszcze nie mogą się zgodzić filozofowie w zdaniu nad moralnością tego postępku. Któż to wie czyli potomność nie będzie się równie spierać o ciebie? Któż ci to zaręczy że zamiast mówić o tobie iak sądzisz: « *Ten człowiek nie był zapamiętałym grzesznikiem* » — nie powiedzą raczély: — Ten człowiek był wielkim dziwakiem. Dopóki błąkał się w ciemnościach nocy, iako odszczepieniec, pisał melodramy i raził gust publiczny; a kiedy geniusz prawdy oświecił duszę iego, zwinął chorągiewkę, pozwolił szerzyć się zarazie, zakopał z sobą razem wszystkie skarby; i coby mógł zwycięzko wojować z grzechem, którego znał słabą stronę, ustąpił mu z mieysca, i przeżył sam siebie.»

Jeżeli głos mój, głos dawnego przyjaciela, kollegi głos miłym ci jest, zacny Pustelniku, nie daway na siebie tak straszny po-

tuchy: nie składay broni, weź się do oręża. Tym tylko sposobem możesz zyskać rozgrzeszenie, którego potrzebuiesz. Niech cnotliwi cieszą się na nowo widząc ciebie pod zbroią, a niech drżą występni. Powstań jeszcze raz przeciw wadom i przywarom ludzkim: nie masz za co przepraszać szarlatanów, obłudników, plotkarzy, zazdrośników, pedantów i innych. Ty korzystałeś z ich śmieszności, oni korzystali z twoich uwag; a jeżeli mimo tego będą niewdzięczni, jeżeli się zgromadzą i *viritim* na ciebie uderzą, nawet i wtenczas śmiej się jeszcze z ich złości: i chociażby cały świat wreszcie walił się na ciebie, pamiętaj na owe sławne *impavidum ferent ruinae*, i śmiało wszędzie dotrzymuy kroku: a gdyby wpośród tych literackich znoiw *fatalna Parka* przecięła nitkę dni twoich, gdybyś upadł pod przemocą losów z piórem wreku na polu sławy, natenczas to dopiero sprawiedliwie zawołamy wszyscy *žeś umart zchwata*; i twój dawny przyjaciel... (obym tego dnia nie dożył!) póydzie za tobą do *Powązek*... położyć ci na grobie zasłużony napis: *Bogi*

były za zwycięzcami, a za zwyciężonemi
Katon. VICTRIX CAUSA DIIS PLACUIT, SED VI-
CTA CATONI (*)

(*) Z dalszey osnowy ninieyszego dzieła przekona
się Czytelnik, że dobry i zacny Pustelnik poszedł
za radą przyjaciela swego, BYWAŁSKIEGO.

Przypisek Wydawcy.



Ner LXVII. 20 LISTOPADA 1819.

J A R M A R K.

Cuncti adsint, meritaque expectant praemia palmae.

VIRG. AENEID... lib V.

Nadziejdzaycie i odbierzcie nagrodę za wasze prace.

ZOSTAWIAM to do odgadnienia biegleszym odemnie, dlaczego wstolicach, gdzie panuie zwykle naywieksza niestałość mody i opinii, znayduią się ludzie których życie dla ich regularności możnaby przyrównać do biegu planet niebieskich, i których

nawet drobne czynności mogłyby służyć zamiast kompasu do regulowania zegarków. Między wielu innymi osobami tego rodzaju znam pewnego mężczyznę, już nie młodego, którego pozwolę sobie nazwać Panem *Punktualnym*. Patrzyć tylko zrana, idzie iak o zakład od bramy żelaznej o samęj iedenastej i wchodzi do Saskiego ogrodu; obraca na lewo około pałacu ZAMOYSKICH, przecina środkową aleję około *Lesla*, robi drugi raz to samo koło, wstępuje na filiżankę czekolady do cukierni gdzie się bawi pół godziny; wraca znowu do ogrodu, idzie pośredkiem raz ieden i drugi, potem wychodzi przez dziedziniec Saski i nareszcie znika zupełnie. Przyzwyczajeni będąc oba widywać się tam wzajemnie, zabraliśmy z sobą (ledwie rzekłszy dwa słowa ieden do drugiego) można mówić dosyć ściśle znajomość; tak dalece że nakoniec nam się już zdawało żebyśmy nie mieli o połowę przyjemności z przechadzki, gdyby ją każdy z nas nie razem odbywał.

Pewnego poranku przyszedłszy do ogrodu Saskiego o zwyczajnej godzinie, patrząc, nie widzę mojego kolegi; wniosłem zaraz

że się musiało przytrafić mu coś nadzwyczajnego. Dowiaduję się gdzie stoi, a myśląc że był chory idę go odwiedzić. Ludzie Pana *Punktualnego*, spotkawszy mię w drodze i zmówiwszy się przypadkiem zemną, zapewnialią mię « że ich Pan jest zdrów i wyszedł. » — Wyszedł! zawołałem, a nie ma go w Saskim ogrodzie? — Ale bo widzi Pan, odpowiadaiają służący, poszedł na Jarmark. Pani N*** nadawała mu sprawunków. — Na to słowo sprawunek, przypomniałem sobie że mi Pani *Liońska* zleciła kupić dla niéy książkę, pod tytułem *Pamiętka po dobréy matce*, czyli ostatnie iéy rady dla córki; dzieło szacowne ze wszech miar i godne aby było wręku wszystkich młodych panien. Kupiwszy tę książkę idę do Pani *Liońskiej*: wchodzę do pierwszego pokoju, idę na salę, nie widzę nikogo. Wszędzie poroztwierane, nigdzie żywéy duszy ażeby się zapytać i sprawić interes: aż nareszcie w dzieciennym pokoju spotykam piastunkę, która mię uwiadamia że Pani *Liońska* z całym dworem poszła na jarmark, i że ludzie służący którzy mieli domu pilnować rozbiegli się za przykładem Państwa, także

po swoich sprawunkach. Zostawało mi dnia tego bydź u *Notaryusza*, gdzie miałem poczynić nieiakie odmiany w testamencie który przed nim urzędownie zeznałem. Przycho-dzę, a wiedząc iż u niego potrzeba się u drzwi nastać, dzwonię i długo i mocno. «Jegomość na próżno będzie dzwonił, rze-cze do mnie ieden z młodych *dependentów*, który wtenczas schodził z trzeciego piętra, gdyż Pana Notaryusza nie ma w domu, po-szedł na iarmark.» — A pisarz gdzie iest, zapytałem. — I pisarz, odpowiada mi *dependent*, poszedł na iarmark.»

Ta osobliwsza iednomysłność i pociąg do iarmarku w ludziach różnego stanu, płci i wieku, nabawiła mię mimowolną ciekawo-ścią widzenia tego iarmarku. Nie ieden pró-żniak który się opiera przez dni ośm cza-ruiący potędze *czarwonego afisza*, nie mo-że się oprzeć na widok karet przed teatr za-ieżdżających; bo iakże można znaleźć nie-godném widzenia to do czego tyle ludzi tak skwapliwie dąży? Już gazety *Warszawskie* ogłosiły imiona kupców przybyłych z zagra-nicy, iuż i kupcy podali do wiadomości na-zwiska towarów, oświadczając grzecność

odstąpienia każdemu wszystkiego co się komu podoba za gotowe pieniądze. Nie wiele przeto myśląc wsiadłem do doroszki, i kazałem się zawieść do *Marywilu*, a najpierwéy przez ten plac przy ulicy Nowo-Senatorskiej, naprzeciwległy Ratuszowi, plac upiękniony gmachem, wystawionym w porządku Dorycko-Jońskim, ozdobiony wieżą w guście architektury XV wieku (*), a gdzie przed niedawnemi laty sławne z nieczystości i szachraystwa stało *Pocieiowo*, obok którego szła

... Uliczka wązka, ciemna i blotnista,

a na której

Za jednego wiernego było żydów trzysta.

Nie postrzegłem się że zaiazd przed nowy *Marywil* jest nierównie dogodniejszy, ile że ztamtąd można się idąc pod wspaniałą

(*) Ta wieża rozebrana została wr. 1825: w miejscu tem założono fundamenta do nowego teatru.

kolonnadą, dostać do starego *Marywilu*. Mój doroszkarz iadąc za drugimi powiózł mię przed bramę na przeciw kościoła Sgo Jędrzeia; cisnęliśmy się w tłumie poiazdów nie bez obawy aby nas kto dyszłem z boku nie przebił. W takim położeniu, przypomniałem sobie owe wiersze Krasickiego, napisane wrogatkach Warszawskich, gdy na Seym z Dubiecka powracał.

Cel przybycia moiego, Warszawę gdym zoczył,
Moge rzec, żem nie wiechał, ale żem się wtoczył.

Pierwsze wrażenie, wszedłszy w bramę *Marywilu*, nader przyiemnie duszę zajmujące. Piękny to jest widok tylu rozmaitych narodów, połączonych w iednem mieyscu dla dogodzenia wzaiemnym stosunkom handlu i składających przez tę wspólność interesów iakoby iedną familią. Wyszło dobre pół godziny nim obszedłem wszystkie korytarze starego i nowego gmachu, składy dolne i pierwszego piętra, których (licząc w to sklepy pośrodku dziedzińca wystawione) z górą trzysta bydź mogło. Jarmark iesienny tegoroczny jest zapewne ieden z najsławie-

tniejszych; ustanowiony w roku 1817 zwolna postępował: pomimo jednak niedostatku miejsca w początku na składy, niezupełney wiadomości o jego zaprowadzeniu, i niektórych celnych przeszkód, a wreszcie obawy handlujących o zawód w spekulacyach, przyszedł jednak stopniami do tego wzrostu że już w niczem nie ustępuje najsławniejszym zagranicznym. Terazniejszy także względu liczby i wyboru kupców, iako téż dobroci i pomiernéy ceny wszelkich towarów zapewnia naytrwalszą pomysłność naszemu handlowi.

Zaspokoiwszy oczy przeglądaniem różnych sklepów, pomiędzy któremi do naycelniejszych należą sprawiedliwie skład bławatny kupca paryzkiego *Mathias*, porcelany, bronzów i kryształów *Brünera*, gipsów i marmurów *Gagianiego*, futer Sybirskich *Spirydona*; zmieniłem przedmiot ciekawości, i wkrótce oddałem się zupełnie zwyczajnym uwagom moim, iako Pustelnik. Postrzegłem nayprzód, że publiczność i armareczna składała się z dwóch części, to jest z kupujących i *spektatorów*. Ci ostatni łatwi są do poznania po niepewnych krokach i oba-

wie aby nie zastępowali na próżno miejsca we drzwiach, i nie zasłaniali widoku chcącym pod okno towary przeglądać. Ich nieśmiały wzrok ukradkiem tylko przebiega owe niezliczone półki rzeczy kosztownych, których same nazwiska musieliby im właściciele najmniey przez trzy dni opowiadać: nauczeni skromnie używać widowiska, które im grzeczność handlujących *gratis* ofiaruje, ich stanowisko jest nayczęściéy na boku; nie robią wiele pytań ale słuchają z pilnością co kupcy mówią, a tak zebrane wiadomości idą kompletować u pięknych *piernikarek*, z którymi sądzą że mają prawo pomówić obszerniéy o różnych rodzajach obytu iarmarcznego.

Postawa osoby kupniącéy, damy naprzykład, która przybyła na iarmark dla porobienia sprawunków, jest zupełnie inna: oszczędzając bardziéy czasu nawet niż pieniędzy, przebiega spiesznie sklepy i podobna do pszczołki, wybiera co znajdzie naylepszym do swojego gustu. Już ranniejsze od niéy przyjaciółki zdały iéy dokładne rapporta w którym składcie co, i po iakiéy cenie znaleźć może; iéy plan jest w domu ułożony,

zaieżdża na pewno, często nawet sama wskaże kupcowi towary, których będzie potrzebować. Zbliżywszy się do stołu na którym kładzie swój woreczek i razem *konnotatkę*, probuje, mierzy, przegląda i prosi o cenę ostatnią: a tak zatrudniona kupnem sprawunków, zapomina nie raz godziny obiadu, i nie postrzeże nawet iż jest czas usunąć się przed wzrokiem mężczyzn którzyli ciekawe oko zwróciła na siebie iéy powabna piękność.

Temi i tym podobnemi postrzeżeniami wprowadzony że tak powiem w rozważanie, szedłem gdzie mię tylko wabiła większa ciżba ludu, albo sceny godniejsze mego zastanowienia. — Na iarmarku, iak w każdym publicznem mieyscu, a może bardziéy niż gdziekolwiek bądź, są oryginaly do poznania, i śmieszności do widzenia. Chciałbym wiedzieć, co robił naprzykład sam w owym sklepie, pośród 40 najmniej postawów sukna rozłożonych (pomiędzy któremi zaledwie go widać było) ów człowiek w granatowym surducie, który sobie ocierał czoło iak gdyby obrabiał kamień ciosowy, albo iak gdyby drzewo piłował? Powiadaią mi,

że nie mógł znaleźć koloru którego sobie życzył; to nie żart znaleźć kolor granatowy! A do tego robiąc cudze sprawunki, mówi, trzeba uważać co się kupuje. Bułeczkę można zjeść gdy się nie podoba, ale postaw sukna.... Kiedy tak bałamuci i od rana męczy siebie i kupca, tymczasem dano mu znać że w domu dwadzieścia kilka osób, mających do niego interessa, czekało na niego z niecierpliwością nie mogąc go zobaczyć i z nim pomówić.

W sklepie zaraz obok tego iegoomości który się zdecydować nie mógł, zastałem pewną damę która na siebie ściągnęła uwagę w sposobie zupełnie przeciwnym. Najprzód iey się nożyczki spodobały; potem flaszeczka, potem chciała mieć toaletkę ze wszystkimi porządkami, potem *Ekran* w lustrze do téy toaletki, potem zażądała lampy kryształowéy do oświecenia tego wszystkiego, potem mebli kątowych któreby temu *serwisowi* odpowiadały: myślałem że się zapyta kupca czy nie ma na zbyciu pokoju sypialnego gdzieby to wszystko mogła umieścić? Przedziwna osoba! która przyjechała zrobić sprawunek za kilka złotych, a wzięła towa-

rów za dwieście dukatów: jedyna do pomnożenia odbytu i podniesienia wartości wszelkich płodów kunsztu i przemysłu! Dla tego też powiadał mi ktoś z boku że zrobiła majątek nie jednemu kupcowi, co się znaczy że zruynowała nie jednego przyjaciela i krewnego, który sądził że potrafi ię dogodzić małym kosztem.

Widok trzech gracy alabastrowych i piersia marmurowego MARKA AURELIUSZA sprowadził mię do składu rycin kupca N***. Kilkanaście osób przypatrywało się tam portretom, tuszem robionym, *Maryi Ludwiki* i ię małżonka, a bardzię włosom naturalnym tychże, iak mówiono osób, które w miejscu malowanych były do portretów przykleione. Każdy wie, iaką wiarę zwykle do podobnych *relikwiów* przywiązywać należy; lecz ieden uczoney *fisyokrat* który sam napisał rozprawę o *znamionach*, zapewne kmotr sklepowy, radził każdemu nabycie téy pamiątki, utrzymując iż kolor owych włosów posłuży kiedyś do wyjaśnienia wielu zawilności w nowoczesnych dzieiach, iak odkrycie w *Herkulanum* różnych świeżych i ręką czasu nietkniętych zabytków, przyło-

żyło się do wyjaśnienia niektórych szczegółów historyi z czasu Rzymian.

Porzuciłem tego uczonego *wielounca* (*), a wmieszałem się do innej kupki ludzi, którzy w znacznej liczbie zebrawali się pod oknem gdzie był skład cacek dziecinnych. Od kwadransa ciągnęła się rozmowa, ażeby wiedzieć co mogła wyobrażać figurka w stroju starożytnym niemieckim, dająca rady młodemu człowiekowi, który podług wszelkiego podobieństwa pierwszy raz na świat wychodził. Wielu z przytomnych przypisywało tę *karykaturze* różne myśli polityczne. Jedni utrzymywali, że to był *Görres*, który się młodemu zwierzał uwag o Niemczech i rewolucyi. Drudzy wnosili, że to był *Oken* nauczający młodzież maxym *demagogicznymi*; inni jeszcze że to był *Wilhelm Tell*, obok którego stojąca młoda osoba miała być figurą allegoryczną mężstwa i nadziei. Nadszedł kupiec, który spojrzawszy

(1) Charakter tego człowieka jest dosyć komicznie wystawiony teraz w teatrze narodowym, w sztuce Kotzebuego, pod tytułem: *Wszystkowiedz*.

pod okno, rozśmiał się: — «To są, mówi, *Nasze przebiegi*, a ten stary w stroiu niemieckim, jest to *Abraham Hirsch*, który daje na drogę synowi błogosławieństwo a razem naukę iak ma zdzierac ludzi ażeby został bogatym.»

Godzina między 12 a 2 jest właściwą porą iarmarku dla osób wielkiego świata. Cokolwiek raniéy koczyki, doroszki, bryczki nawet, zastępowały miejsce główne wiazdu: o południu naypiękniejsze ekwipaże zaieżdżają przed Marywil. Licznie zebrana młodzież oczekuje w bramie: damy wgustownym ubiorze podając rękę znaiomym mężczyznom, dziwią się że ich przypadek iak gdyby nieumyślnie w te miejsca sprowadził. Odląd naywiększy ruch panuje po sklepach; kupcy nowomodnych składow przesadzają się w usłudze, towary idą na stół i są szykowane około siebie tak ażeby tém lepiéy mogły pięknoscią swoją uderzyć i zachwyć oko kupującego. Wszystkie są doskonałe; lecz ten, który miał zaszczyt byđz wybranym, jest lepszym od innych: nau czony kupiec zapisuje go w pamięci, ażeby nazaiutrz mógł powiedzieć parafianinowi;

«Taki sam kupiła Xiężna N*** takie same wzięto do pałacu N***. Nie będzie grosz takięy iak sto dukatów.»

Utrudzony chodzeniem miałem się oddalić: była może godzina w pół do trzecięy. Już nawet po sklepach ciżba się przerzedziła; w niektórych pozostali sami tylko kupcy, których rozmowy miały za przedmiot porównywać istotny zarobek iarmańczy z nadziejami zysku w drodze do Warszawy poczynionemi; gdy nagle uyrzałem na środku dziedzińca łudzi cisnących się na około wystawy na którey zdawało się że iakiś policyant prezydował. Była to *licytacya kontrabandy*, którą właściciel ustąpił dobrowolnie skarbowi, nie dawszy się nawet poznać z imienia. Ten akt sprawiedliwości celney, dopełniony w miejscu takim, gdzie przykład kary nie powinien był pozostać bez skutku, zdawał się mi naywłaściwszém przypomnieniem obowiązków prawego kupca: szkoda tylko że *risico* miiania się z komorą nagradza sownie powab tego omiiania, i że przypadki *konfiskaty* padają nayczęścięy na tych tylko którzy są *nowicyuszami* w rzemiośle przemycania.

Na samém wsiadaniu gdym się tego naymniéy spodziewał, spotykam Pana *Punktualnego*, który między innemi sprawunkami zakupił baryłkę winogron *ASTRACHAŃSKICH*, i niósł ją sam do pojazdu. Tym razem powitaliśmy się serdecznie, a że iak to bywa przy takiém spotkaniu się, że iest mowa zwykle o rzeczach potocznych, zapytałem się go coby mu naywięcéy na iarmarku spodobać się mogło? «*Marywil*, odpowiedział mi, to iest ta przezorność rządu, który w dzisieyszym obrocie handlu obmyśla, opatruie i pomnaża gmachy godne ażeby były składem i środkowym punktem wzaiemnég zamiany *AZYI z EUROPA.*»

Ta uwaga zdała mi się tak rozsądną i sprawiedliwą, żem uznał za rzecz właściwą udzielić iey moim czytelnikom.



Ner LXVIII. 20 GRUDNIA 1819.

SZTUKI DRAMATYCZNE.

Scribendi recte, sapere est et principium
et fons.

HOR. A. P. v. 309.

Wszelkie dzieła gustu opierać się powinny
na zdrowym rozsądku.

TEUM. wolne.

Od niejakiego czasu postrzegam że w War-
szawie jest pewien rodzaj ludzi który nie
mogąc mi inaczej okazać złej chęci wysta-
wia mię przed publicznością za człowieka
nie dobrego serca. Według tych ludzi, w
każdym piśmie moim ma być pewna licz-

ba osób dobrze znanych, poświęconych przezemnie jako ofiary nienawiści na wzgardę i pośmiewisko publiczne. Ci oskarżyciele nie wiedzą zapewne że ja moje ofiary biorę z książyk, i że te osoby dobrze znane na bruku Warszawskim; są to *Ateńczykowie* Teofrasta, *Rzymianie* Seneki; najczęściej zaś Francuzi i Anglicy wzięci z innych późniejszych autorów; słowem wzory z obcych narodów zastosowane tylko do kraju naszego. Tak to prawda, że niewiedomość jest matką wszystkich występków, i że ludzie którzy chcą szkodzić bliźniemu sami nie wiedzą co czynią!

Kilku z moich prawdziwych przyjaciół, trokliwsi o sławę Pustelnika jako uczciwego człowieka niżeli dobrego literata, donieśli mi o tych pokątnych szemraniach i wpływie *fatalnym*, iakiby mogły mieć na dobre imie osób istotnie znanych w Warszawie. Wiedném miejscu rozszerzono się dość długo nad wyliczaniem tych ofiar: każdy mój obraz, każdy przezemnie wystawiony charakter, miał znaną figurę do której się opis stosował. Naybardziej zaś użalano się nad losem Pana Niegoyskiego! Jak on mógł wy-

stawiać życie i przypadki, mówiono, tego zacnego obywatela? Kto iemu kazał opisywać nawet suknie jego i co iemu był winien ten człowiek? — W rzeczy samej, odpowiadam, ten człowiek nie jest mi nic winien; ale wistocie i to także prawda że ja onim wcale nie myślałem, chociażby nawet rysy przezemnie wystawione były do niego zupełnie podobnemi. Satyra, Mości Panowie, ma swoje przywileje, ma téż i granice. — Wolno jest każdemu wytykać w powszechności wady i przywary wieku, ale nie wolno nikomu stosować tych uwag do kogo bądź w szczególności. Nie ten więc jest złego serca człowiek, który sobie pozwala ogólnych wniosków nad obyczajami współczesnych, ale ten który je stosuje do pojedynczych ludzi, do osób żyjących, znajdując w nich podobieństwo, iakiego może i nie ma a które tylko chęć podwójna szkodzenia zwykła wynajdywać. Weźmy to dobrze na uwagę. — W rzeczach *epigrammatycznych* każdy ucziwy człowiek jest wyższy nad wszelką osobistą urazę: taki, jeżeli się sam za obrażonego nie ma, zapewne nie jest obrażonym. Wmawiać w niego skrzywdzenie, jest to pra-

wdziwie krzywdzić go, jest to samemu obrażać. W takim sposobie rzecz uważając, czemuże będą pisma moje? Zapewne zwierciadłem ogólnóm obyczajów, w którém każdy może się do woli przeglądać i poprawić na sobie co mu się podoba; ale w którém każdy ma prawo przeglądać się sam bez świadków, i poprawiać się bez cudzhey pomocy. Ten ktoś, skoro nie proszony, jest niewczesnym pomocnikiem, jest sędzią złośliwym, a raczej oszczercą. Takiego niecnotę opinia publiczna ściagać powinna, prawo karać może, satyra ochłostać jest w obowiązku: bo kiedy raz zadany przez Pustelnika, jako wymierzony w powietrze, nikogo nie rani i ranić nie może; raz który on zadaie, wymierzony będąc do osoby, szkodzi dobrej sławie żyjących i jest prawdziwym dowodem najgorszego serca.

Niech ta krótka przemowa służy za małejki wstęp i usprawiedliwienie do listu pewnego, iak się nazwał, ucznia literatury który wychodząc na świat, obrawszy sobie zawód dramatyczny, był tak dobry że mi zaufał, i radził się mię iak ma na téy drodze postąpić, w której widzi tyle ścieżek

ubitych. Idzie w téy odezwie iedynie o przywary gustu a nie bynajmniéy o wady osobiste iakie kto mieć może, a zatem o ludzi którzy lubo piszą nielitościwie, mogą dla tego mieć naylepsze serce. To powiedziawszy przystępuję do ogłoszenia listu i odpowiedzi którą na niego wydać musiałem.

L I S T

Ucznia literatury dramatycznój do Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia.

WIELMOŻNY MOŚCI PUSTELNIKU!

Różnica między WPanem Pustelnikiem, osiadłym na przedmieściu, a Pustelnikami braćmi WPana zamieszkałemi na puszczy, jest zupełnie na chwałę twoję i nasz pożytek. Ci poczciwi starcy, żyją wprawdzie na osobności, żywią się korzonkami, i nie robią nikomu nic złego; ale téż prawdę powiedzia-

wszy, nie są nikomu na nic przydatnemi. Jeżeli się zdarzy, że ktoś sądząc o ich mądrości po ich długiey brodzie, przyydzie do którego z nich, prosząc o wsparcie albo o radę, odpowie WPanu z pokorą: *moia duszo, my się wrzeczy doczesnewcale nie mieszamy.*

WPan przez ducha miłości chrześcijańskię, nierównie lepiej zrozumianego, zamiast uciekać od ludzi iak od zapowietrzonych, osiadleś wsamym punkcie ich zepsucia: i nie tylko prosisz za choremi do nieba o ich wyzdrowienie, ale zapisuiesz im nawet *recepty* i nie odmawiasz nikomu pomocy światła i doświadczenia twoiego. Chcięy przeto i mnie dopomódz, mam ciebie prosić o radę.

Jak wielu innych, którzy nie mają może moiego talentu, zachciało mi się bydź autorem, a do tego autorem dramatycznym. Na nieszczęście w pierwszych zaraz początkach postrzegłem różne trudności które mię wielce odstręczyły. Widzę bowiem że mi potrzeba dogadzać troiakięy klassie ludzi; a nayprzód aktorom którzyby chcieli rzeczy nie trudnych do grania, iakiemi są melodramy: powtóre ludziom światłym, którzyby

życzyli sobie mieć sztuki klassyczne; potrzebie publiczności która nie chce klassycznych ale tak zwane *narodowe*. Powiedz mi W Pan iak pogodzić to potrójne żądanie? Przyznam się, iż *Molier* i *Rasyn* przyłożyli się wiele do tego żem obrał stan literata, i że nieiako pod tarczą i hasłem tych wielkich ludzi cisnąłem się za drugimi do świątyni sztuk pięknych. Ich sławne przykłady zapalały moją imaginacją; w szczęśliwym marzeniu myślałem że będę uszczęśliwiał Polskę tragedjami takimi iak iest *Andromaka*, *Ifigenia*, *Fedra*; komedjami iak *Skąpiec*, *Świętoszek*, *Mizantrop*. Przekonany że nauka wzorów lepiéy mię może ukształcić niż własna imaginacya, kiedy iest *samopas* puszczona, nauczyłem się na pamięć *Laharpa*, poziadałem wszystkie kursa literatury dramatycznój, a nawet wiedziałem inż co mam sądzić o teatrze *Woltera*, bez pomocy tego złośliwego ale dowcipnego Pana *Geoffroi*; tak dalece że chociażem nie był pewny czy zagaszę kiedy wielkich poprzedników wsztuce dramatycznój o których wspomniałem, miałam przynajmniéy nadzieię że się postawię oboż FELIŃSKIEGO

i KROPIŃSKIEGO pierwszych dramatycznych pisarzy którzy zaszczycają Polską ziemię. Lecz o próżności żądy i zamysłów ludzkich! Za ledwie postąpiłem kilka kroków na partezie, przekonałem się z iakiemi to ludźmi, z jakim czasem i z iakiemi okolicznościami miałem do czynienia. «Wierz W Pan, mówi mi jeden stary wyiadacz sceny któremu wytłómaczyłem moje zamiary, wierz mi i porzuć twoich klasyków któremi sobie niepotrzebnie bałamucisz głowę; tu potrzeba ugruntować narodowość, i wystawić na scenę dzieje przodków naszych w sposobie komicznym: a na to nie ma innego środka iak chodzić często na teatr i przypatrywać się sztukom tamże dawanym. W nich to dopiero czerpać możesz wzory gustu które nie mają nic wspólnego z gustem autora *ATALII*, ani téż *MIZANTROPA*.»

Nie przekonany, ale iednak namówiony przez pokusę *Mentora* moiego, wrzuciłem w kąć nayulubieńszych autorów piérszý nigdy młodości moiéy i wzięłem się do pisania dramatów historyczno-komicznych, tudzież heroiczno-płaczliwych. Nie wyszło dwóch miesięcy, umiałem już zacytować *sen*.

tencyą, opisać wąsy i stroje polskie, powiedzieć iakie filozoficzne albo moralne przykazanie, a nawet dawać naukę królom, w rozumieniu że przecie który przydzie kiedy na moję sztukę. Nie uwierzysz W Pan iak mi się szczęściło w tym nowym zawodzie. Słuchając moiego arcydzieła nie ieden myślał że iest na kazaniu, albo że słyszy profesora gdzie na akademii w *Getyndze* lub *Halli*. Trzeba było widzieć iak przechodząc wpyszną *Prozopopeię* i unosząc się nad marnościami światowemi, wielbiłem rzeczy złe czy dobre, byle narodowe: a czerpiąc moje patryotyczne uczucia po różnych to zagranicznych, to krajowych ksiązkach:

Nasz Zamoycki (mówilem) i Sobieski,
I Chodkiewicz i Żółkiewski,
Co u świata sławę mieli,
W puchu pewno nie leżeli. (*)

Te i tym podobne talenta wyniosły mię wkrótce nad wszystkich moich współpraco-

(*) Z opery: *Zamek na Czorsztynie*.

wników. Wkrótce bardzo stałem się sławnym. Słyszałem z niewymowną radością iak mię nazywano filarem teatru i ozdobą sceny narodowey; tak dalece że chcąc chwaleć moję podnieść do naywyższego stopnia, podałem się na członka do towarzystwa uczonych, do których mniemałem że mam prawo należeć. Ale co WPan powiesz na to? Uczeni osądzili że moje dzieła były tylko melodramy. Sceny zdały się im nienaturalne, zdarzenia do prawdy niepodobne, sytuacye naciągane, ozdoby nie na swoim miejscu, styl napsuszony, żarty płaskie: krótko mówiąc, zmieszali z błotem moje biedne sztuki; a co gorsza, uznali je za przeciwnie prawdziwey narodowości!

Powiedz WPan dobry Pustelniku co ia mam teraz czynić? wyprowadź mię z tego *labiryntu*. Mamże ugruntować narodowość, lub tylko pisać tak iak pisali Grecy, Rzymianie, Francuzi, i wreszcie nasi dobrzy klassycy Feliński, Kropiński? Naucz mię nadewszystko iak mam pogodzić upodobanie aktorów z gustem publiczności i zdaniem ludzi światłych, którzy składają towarzy-

stwo uczonych, a do których grona chciał-
bym koniecznie kiedyś należeć?

Jestem z prawdziwym szacunkiem etc.

Uczeń Literatury.

ODPOWIEDŹ.

MOŚCI PANIE!

Sława doczesna i sława wieczna są dwie rzeczy bardzo pożądane, ale które nie zawsze się razem na iednęj drodze znayduią, a przynaymnięj rzadko są skutkiem iedna drugięj. Idąc za gustem współczesnych można często bardzo nie spotkać się z gustem potomnych. Wybieray przeto WPan! Zostałeś literatem, iak mówisz, dla tego ażebyś imię twoie nieśmiertelném uczynił? Nie *gruntuy* narodowości, ale się naucz twoiego rzemiosła; odłóż dzieie przodków do historyi, a teatrowi zostaw komedyą: nie pisz wiele, ale poprawiay długo to coś napisał,

a nade wszystko pisz do rzeczy: osnowaj, czy jest narodowa czy nie narodowa, powinna być dramatyczna. Niech twoje pisma mają zawsze charakter starożytny: te dzieła geniuszu, które się przedarły przez tyle wieków aż do nas, mają zapewne w sobie to powabne uczucie które się może duszą pięknych sztuk nazywać. Poświęć się WPan temu rodzajowi i spraw aby go twój talent mógł narodowym uczynić: wtenczas to prawdziwie zasłużyysz się dobrze oyczyźnie.

Jeżeli pracując w tym duchu, zechcesz mieć pewne zdanie o twoim dziele? Nie radź się zwodniczych oklasków nieoświeconego ludu, nie ciesz się choćby cię po kawiarniach nazywano filarem teatru i ozdobą sceny narodowej, ale się spytaj sam siebie: co by też powiedział HORACY gdyby moją sztukę przeczytał? Zdanie tych ludzi, których opinia zgodna wszystkich narodów i wieków uważa za prawodawców PARNASU, powinno być dla WPana świętym wyrokiem: Złóż z tych patryarchów gustu twój senat. Niech EURYPIDES, SOFOKLES, TERENCYUSZ, HORACY, BOALO, RASYN i MOLIER, otoczą stolik WPana

i będą twoim AREOPAGIEM, a jeżeli oni ci przysądzą iednomyślnie palmę zwycięztwa, ja cię zapewniam na wszystko co jest najswiętszego, że twoia sztuka choćby się nawet nie podobała w teatrze narodowym przeżyie nayspóźniejszye wieki, uczyni sławę oyczyźnie W Pana i *ugruntuie* przez to samo *narodowość*.

Ale jeżeli ci bardziéy niż o sławę idzie o zaspokoienie twoiéy próżności, jeżeli chcesz tylko byé wywoływany na scenę po kaźdey skończonéy sztuce, i widzié często na *affiszu* twoie dzieło *na powszechne żądanie* dawane, bez względu na to jakimi sposobami otrzymujesz te chwilowé korzyści: natenczas zapewne porzuc wzory klasyków a ucz się smaku czasu terażniejszyego, pochlebiay tym co ci klaszczą, stań się ich niewolnikiem, i jeżeli możesz zatrac do reszty tę odrobinę światelka które się ieszcze daie pomiędzy nami postrzegać. Pisz nędzne dramy, a na dobiecie gustu doday, że tego chce po nas oycyzna. Nadewszystko nie lękay się sponiewierać tego świętego słowa, bierz Imię Pana Boga twego naderemno, przypinay ten kwiatek gdzie możesz, pa-

miętał że i sam tytuł sztuki nie jest rzeczą obojętną, jeżeli ten tytuł może być narodowy. Daj nam *most* na Wiśle albo *groble* pod Łęczycą, a ja ci zaręczam że się będą bić o bilety, trzeba będzie wyrzucić resztę ławek z parteru żeby słuchaczów pomieścić. Imię twoje zostanie umieszczone w rocznikach teatralnych WIELKIEMI LITERAMI, a twoja sława rozeydzie się iak mgła iesienna po całym naszym horyzoncie.

Jednakże iakakolwiek będzie droga którą sobie wybierzesz, zaklinam cię na imie rozsądku i prawdy, nie chciej należeć do towarzystwa uczonych, jeżeli się nie możesz wynieść nad szczupły zakres dzisiejszego ducha czasu i panujących u nas przesądów ciemnoty, i jeśli hołdując próżney zawsze miłości własney, będziesz gonił za chwałą tymczasową, wyżebrywał *brava* i poświęcał sztuki piękne dla własnego ukontentowania twoiego. A jeżeli przeciwnie koniecznie ci idzie oto abyś do uczonych należał, nie rzucay wkąt nayulubieńszych autorów twoiéy pierwszocy młodości, pogódź się z temi naydawnieyszemi i naylepszeimi przyiaciołmi, i choćbyś téż nie zupełne z ich to-

warzystwa osiągnął korzyści, zawsze wiele uczynisz ieżeli się do nich przynajmniej zbliżyć będziesz wstanie.

Te są uwagi i rady które WPanu dać mogę z ustronia moiego. Dodaję i to ieszcze, abyś dobrze wiedział czego się trzymać, że *Pradon* nikczemny poeta słynął za życia RASYNA, i dzielił z nim a czasem mu i odbierał zaszczyty: i że Francya oświecona pismami samegoż Rasyna, dopiero wlat piętnaście po śmierci tego nieporównanego człowieka wyniosła ATALIĄ nad wszystkie płody uczonego świata, uważając ją za tryumf geniuszu i sztuki, za naydoskonalsze dzieło rozumu ludzkiego.

Proszę przyjąć zapewnienie etc.

PUSTELNIK Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIĘCIA.



N^o LXIX. 5 STYCZNIA 1820.

DZIECIĄTKO JEZUS.

..... Cui non risere parentes.

VIRG: ECL: IV,

Nie znaly uśmiechu własnych rodziców.

PRZESZŁEGO Wtorku będąc na obiedzie u Państwa Maxymowiczów, zastałem nieiaką Panią Marecką, osobę mądrą która się żaliła na przeznaczenie że iéy pozazdrościło szczęścia być matką. Siedzący obok niéy mężczyzna dowodził, że miłość macierzyń-

ska była uczuciem przysposobioném. Na dowód, mówił, że w tym razie więcéy działa przyzwyczajenie niżeli sama natura, można przytoczyć, iż matka której dziecię zamienione będzie przez podstęp mamki, nie pozna tego czynu przez samę domyślność serca, jeżeli się nie znajdą wyraźne ślady zamiany. Wychowanie, rzekł, które od nas odbiera dziecina, ten słodki nałóg patrzenia na małą ludzką istotę która w oczach naszych rośnie, rozwija swoje przymioty i doskonali się za naszym staraniem; oto jest pierwsze żeby nie mówić iedyne źródło miłości macierzyńskiéy.

Każda zdam, mówił daléy, może kiedy chce zostać matką, skoro w Warszawie znajduje się instytut sierót, założony na wieczną chwałę Boga przez świętego człowieka, który się poświęcił całej miłości bliźniego. W instytucie tym szanowne matrony, iako przybrane matki, przyjmują każde niemowlę opuszczone od własnych Rodziców. Tam często nayszlachetniejsza krew pomieszana jest wiednem kole ze krwią najpośpolitszą; owoce czy to niezastanowienia, czy namowy, czy błędu doznają troskliwości i

opieki iednakowey, a sama tajemnica, która otacza kolebkę tych stworzeń, dozwala imaginacyi domysłu że dziecko, które widzi, może bydź naylepszego rodu.

Czemu, (kończąc swój głos rzekł) tyle kobiet, które ieżdżą corok do wód, które się martwią, iak Pani Marecka, bezskutecznym żalem szczęścia, iakiego im natura odmawia, nie wezmą przedsię raczey tego środka przysposobionego macierzyństwa którego źródłem niewyczerpaném iest dla nich szpital Dzieciątka Jezus? Tam moja Mościa Dobrodzieyko, mówił daléy, przypadek nic nie ma do czynienia; iesteś Panią wybrać sobie iaką chcesz płéć: znaki zdrowia i sił, uśmiech przyiemny niemowlęcia, przymilenie i wdzięk iego twarzy, oto są przyczyny do dania mu nad innemi piérwszeństwa, przyczyny ugruntowane i niepodległe żadnemu trafowi. To będzie nietylko dziecię miłości twoiéy ale i dziecię twoiego wyboru, to iest takie iakiegobys sobie sama życzyła gdybys matką prawdziwą bydź mogła.

Było kilka osób u stołu, które słyszając tę rozmowę uśmiechać się między sobą poczęły: bałem się aby osobliwie dwóch młodych

kawalerów, z liczby tych którzy przez naukę *ekiwoków* i *kalamburów* chcieliby uzupełnić system wychowania swojego, nie podchwycili téj dobroczynnej myśli i w żart iéy nie obrócili; odezwałem się przeto w tym samym duchu ludzkości który aż do owej chwili panował. Natenczas powstała żywa sprzecзка pomiędzy damami które nie mogły przebaczyć matkom że miały aż tyle odwagi i nieludzkości żeby się rozstawać z własnymi dziećmi swoimi.

Ten zwyczaj, odpowie sąsiad Pani Mareckiey, daleko zasięga. Starsi pokoleń Spartańskich upoważniali rodziców do opuszczania dzieci źle ukształconych, a w Atenach powody nawet familiyjne czyli maiątkowe stały się niekiedy do tego przyczyną.

W Rzymie, rzekł, był już nie pamiętam na którym placu posąg czyli kolumna *Lactarya*, u stóp której składano dzieci rodziców będących bez sposobu do życia lub niechających żywić własnego potomstwa: liłość przechodniów wyrывała nie raz te istoty z łona śmierci.

Nie mamy się czego chlubić z naszą cywilizacją Europeyską, rzekłem prowadząc da-

Ięj rozmowę, iak skoro nie ma nad półtora wieku od założenia naypierwszego instytutu dla sierot. Przykład ten dobroczynności dali nam Francuzi. Kapłan ieden, którego filozofia wielkim nazywa, a który od kościoła pomiędzy świętych został policzony, fundator zakonu XX. Missyonarzy i zgromadzenia Sióstr miłosierdzia *Vincentius à Paula*, wykonał to sam, za pomocą religii i cnoty, czego przed nim żaden kray za pomocą bogactwa i potęgi publiczney nie mógł a przynaymniéy nie myślał uczynić.

Uważam to zawsze, iż wspomnienie ludzi cnotliwych obudza zwykle wspaniałe uczucia wduszach szlachetnych: przytoczone z życia S. Wincentego czyny, iego zachowanie się na rynku *St. Landry*, iego przemowa w kościele S. *Łazarza* do dam, ówczasowych opiekunek instytutu, tyle wrażenia sprawiły na umyśle Pani Mareckiey, że postanowiła pojechać ze mną nazajutrz do szpitala Dzieciątka Jezus, żeby poznać bliżey tę dobroczynną i prawdziwie chrześcijańską instytucją.

Szpital, Dzieciątka Jezus założony iest za panowania Augusta III. *Piotr Gabryel*

BAUDOUIN, Missyonarz u S. Krzyża w Warszawie (*) był tém dla Polski, czém S. Wincenty dla Francyi. Mąż ten bogoboi-ny, na którego pochwałę dosyć jest jego imie wspomnieć, powziął z następującego przy- padku myśl założenia instytutu sierot, myśl godną wiekopomnój czei i sławy. Będąc uczestnikiem prac parafialnych, powracał raz wieczorem od chorego; w tém postrze- ga psy szarpiące nad parkanem główkę niemowlęcia, ieszcze świeżą. Dziecię to by- ło od rodziców opuszczone. Boleśnie do- tknięty tak okropnym widokiem, idzie sza- nowny kapłan do swojego przełożonego, i bierze nayprzód od niego, a potem od wła- dzy wyższój duchownej i rządu świeckiego upoważnienie do otwarcia przytułku dla ta- kich nieszczęśliwych istot, i zyskuje tym sposobem przywilej ratowania cierpiący ludzkości. Częścią z własnych funduszków,

(*) Opisanie życia Boduena i krótka wiadomość o szpitalu przez niego założonym, wydana przez Win. *Gawareckiego*, znayduje się w drukarni u XX. Pija- rów w Warszawie.

częścią ziałmużny, zakłada nayprzód tam gdzie stoi teraz pałac Karasiowski dom dla sierot, a późniéy na gruncie przez siebie zakupionym w miejscu gdzie iest dzisiejszy szpital, ustanawia instytut dla dzieci tych rodziców, którychby albo wstydlivość, albo téż ubóstwo zmuszały do zaparcia się własnego swojego potomstwa. Pani Marecka nie mogła się wstrzymać od łez, gdym iéy opowiedział na iakie obelgi cnotliwy kapłan był wystawiony w pewnym domu, zbierając składkę, i z iaką anielską pokorą przyjął ten upominek w imieniu Boga miłosierdzia-Damy, którym natura więccy niż męźczyznom dała czucia i delikatności, były naycelniejszą podporą Boduena i z tego powodu można powieźdieć że im się w udziale połowa iego pięknyéy chwały należy.

Tak rozmawiając o założeniu instytutu zbliżyliśmy się do dzieła wiecznyéy pamięci Boduena. Jakiż napis stósowniejszym bydź mógł nad ten któryśmy czytali na piérwszém bramie szpitala, wyięty z Psalmu XXXV. *« Mój oyciec i moja matka opuścili mię, a Bóg przyjął mię do siebie. »* W przysionku zawieszono są imiona i obrazy dobroczyń-

ców szpitala, iako to: Królów Augusta III. i Poniatowskiego, Królewicza Xawerego, który położył pierwszy kamień fundamentów; *Hilsena* Smoleńskiego i *Józefa Załuskiego* Kujawskiego Biskupów, *Solhouba* Woiewody i innych, po których prawy ręce jest odmalowany gmach instytutu przed którym stoi święty założyciel Boduen, przyjmujący dziatki który zakończa godnie tę szanowną galeryą. Z wyobrażenia na płótnie szpitala ma ieszcze przechodzący przed sobą widok rozległości i planu wszystkich zabudowań iako téż kościoła, które wzięte razem z przyległemi dziedzińcami i młynem, zawierają 8,039 łokci kwadratowych powierzchni.

Siostry miłosierdzia, sprowadzone przez Królowę Maryą Gonzagę do Polski w roku 1662 zarządzają bezpośrednio szpitalem, pod opieką *Rektora* i trzech kapłanów, z których jeden jest Prokuratorem. Oprócz tego najwyższy zewnętrzny dozór zawiera się w téj chwili w osobie Xiędza Szymonowicza, iako Wizytatora Generalnego zgromadzeń Missyonarskich i zakonów sióstr miłosierdzia. Panna starsza czyli przełożona zgromadze-

nia Dzieciątko Jezus poprowadziła nas najprzód do Świątyni Pańskiej. Chorzy mają oddzielną kaplicę; dla dzieci jest kościół. W tym przybytku miłosierdzia odbierają pierwszy Sakrament. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz ZBAWICIELA ŚWIATA w postaci dziecińcy, przez *Canalettego*, rzadkiej piękności. Drugi obraz S. WINCENTEGO, odnowiony lat temu 16 przez *Fryderycego*, zawieszony jest nad chrzcielnicą. Święty ten zda się przyjmować pierwsze słowa wiary które nowo narodzeni Bogu zaręczają.

Oddawszy pokłony nasze Najwyższej Istności, poszliśmy odwiedzić chorych. Nad każdą salą czuwa jedna Siostra Miłosierdzia. Mężczyźni, (było ich wtenczas około trzechset) niewiasty w liczbie z górą dwóchset podzielone zostały stosownie do rodzaju chorób na nerwowe, gorączkowe, słabe na rozmaite niemocy i kalectwa, nareszcie na pokaleczenia i rany przy pracy odniesione. Cierpiące pomieszanie zmysłów miały oddzielne schronienia. Wszyscy doznawali w tym przytulku litości dowodów naytkliwszej opieki.

Przyście nasze nie było przewidziane, nie przyszliśmy także w dzień świąteczny; a jednak zwrócił przedwszystkiem uwagę naszą doskonały porządek i ta można mówić wyszukana czystość, którąśmy postrzegli w każdym najmniejszym kątku: wszędzie powietrze było świeże, wszędzie temperatura iednakowa i umiarkowana; wszędzie iednym słowem godna siostr miłosierdzia troskliwość.

Drugą połowę gmachów zajmują sieroty. Na pierwszym piętrze mieszczą się niemowlęta. Widok równie czuły dla oczu iak dla serca! Kilkadziesiąt kolebek, z którymi każda na dwoie dzieci, pokryte będąc płótnem rzadkiéy cienkości i zawieszzone dwoma rzędami, kołysały te słabe iestestwa którym Opatrzność ieszcze ostatnią rękę podała. Na każde dwoie dzieci była iedna mamka. Przypadki troyga dzieci u iednéy mamki są rzadkie, co nigdy iednak nie trwa dłużej nad godzin 24, po którym to czasie mamka osobna z miasta czy też ze wsi znayduje się i zabiera dziecię do siebie. Naywiększa część dziatek iest zwykle na wsi pod osobnym dozorem kapłanów po parafiach:

kobieta, przychodząca z okolicy nie dostaje nigdy więcéy iak iedno dziecię, od którego stosowną opłatę pobiera. Kontrola tych wzajemnych obowiązków jest godną uwielbienia. W dolném pomieszkaniu są chłopcy mający wkrótce iść do rzemiosł; ci uczą się zawczasu czytać i pisać; przywitani nas okrzykiem, który miał znaczyć: *Upadamy do nóg WPaństwa Dobrodzieystwa*. Podobnie przywitani byliśmy u dziewcząt, które siedząc *ordynkiem* uczyły się szyć, haftować i dziergać. Łóżeczka tych dzieci, w osobnych izbach szpitalnych, tak są porządne, tak czyste, a nawet można mówić tak wytworne, żeby się na podobne wmiernym stanie ludzie nawet pracowici zdobyć nie porafili. Dla zupełnego obejrzenia instytutu zwiedziliśmy pralnię, haftarnię, skład bielelizny, kuchnię, a nakoniec piekarnię i magazyn żywności. W tém ostatniem mieyscu dowiedzieliśmy się iż porcja iedna samego chleba, który jest bardzo smaczny, wynosi z górą 1100 funtów na raz.

Przechodząc kurytarze, ozdobione kilku staremi malowidłami, Pani Marecka zadziwiła się że ieszcze żaden z naszych sła-

wniejszych artystów nie poświęcił swojego pędzla do uświetnienia tego chrześcijańskiego domu. Ileż wielkich myśli geniusz malarzski nie znalazłby w samem życiu Boduena! Historia zakonu Misyonarzy i zgromadzenia Sióstr miłosierdzia byłaby zapewne dosyć obfitą w przedmioty godne przeznaczenia sztuk pięknych! Któżby nie widział z upodobaniem, w tym zbiorze kompozycji, żyjącej jeszcze Wizytatorki *Bożuchowskiej*, która przez 38 lat będąc Panną Starszą w zgromadzeniu szpitalném, przyjęła sama jako Przełożona około 13,000 dzieci do siebie? Malarze nie zaponnieliby także szanownej siostry *Zofii Kotakowskiej*, dzisiejszej przełożonej tych Panien, których poświęcenie się i cnoty anielskie chyba tylko w niebie znajdą nagrodę (*).

Wizyta nasza w szpitalu skończyła się na zwiedzeniu apteki i tak zwaney izby Pisarza. W piérwszém z tych mieysc dano nam

(*) Rzeczą jest godną uwagi, iż te Panny, chociaż mają wolność wystąpienia z Zakonu, nayeściej jednak do śmierci sierotom i chorym usługują.

krótką wiadomość o sposobach leczenia chorych i szczepienia dzieciom ospy; w drugim otrzymaliśmy objaśnienie dotyczące się administracyi wewnętrznej i akt stanu cywilnego oddawanych do szpitala sierot. Szczupłość miejsca pozwala mi tylko o niektórych szczegółach nadmienić.

1. Przyimują się dzieci niewiadomych i wiadomych ubogich lub zepsutych rodziców.

2. Sieroty zostają na mamkach w szpitalu dopóty dopóki nie trafią się kobiety ze wsi chcące je wziąć za pewną opłatą.

3. Oddając dzieci na wieś, zawieszają na sierotach znaczki, których zdjęcie można zszyć, bez zepsucia wybitego stępla.

4. Zostają na wsi na wielkiem świeżem powietrzu, dopóki nie są zdadne czegoś się uczyć.

5. Wracać powinny ze znaczkami, lub świadectwem władz miejscowych, jeżeli je straciły.

6. Uczą się w szpitalu, dopóki nie idą do rzemiosł, do prywatnych posług lub do innych wiatowych powołań.

7. Przy oddawaniu na świat zachowane są ostrożności przepisane od władz krajowych.

8. Połowa dzieci odchodzi ze szpitala przed rokiem dziesiątym: rzadko zaś jest aby które do lat 14 zostawało, wyjąwszy gdy za osobną umową poświęcać chce swoje prace klasztorowi, albo kończyć w niem ma zupełną edukacyą.

W roku 1762, od którego pozostały prowadzone rejestra, oddano już dzieci do szpitala w tym roku 342. W roku 1777 weszło ich 405. W roku 1781—636. W roku 1790 — 763. W roku 1794 — 837. W roku 1812 — 912. Ogółem odebrano u Dzieciątka Jezus od założenia do dnia dzisiejszego wszystkich dzieci 33,781.

Progressya śmiertelności, w miarę przybywającej coraz większój liczby dzieci wzięta od roku 1798 przez lat ostatnich dwadzieścia, wynosi na 12685 dzieciach, 7822, to jest blisko $\frac{2}{5}$ części umarłych. Progressya ta nie jest za wielka dla tego kto zna lub zważy że w zwyczajnym biegu życia, nawet przy najstaranniejszych wygodach bogatych rodziców, połowa ludzi rodzących

się nie dochodzi lat dziesięciu. Dodajmy do tego, iż do Dzieciątka Jezus oddawane są najczęściej dzieci pochodzące zmatek chorowitych, wycieńczonych, małoletnich, zatrutych lekarstwami i że się dostają nie raz *do koła* na pół zgłodniałe, w konwulsjach zimna i bólu, tak iż je piérwéy do życia przywracać iak wychowywać potrzeba: nareszcie *monstra* na których opisanie wzdryga się natura.

Zapytałem się pisarza, zkąd mogła powstać ta wieść że wszystkie dzieci zwykle w tym szpitalu wymierają?— Ah! toby była osobliwsza anekdotka, odpowie Pisarz. Patrz Pan, rzecze, oto są rejestra. Mamy wprawdzie, dodał, dwoiakié dzieci. Jedne oddané na wychowanie, inne na naukę, ale ale tych ostatnich osobne rejestra prowadzimy: biorąc liczbę dzieci z iednego rejestru a śmiertelność z obu, można wpaść w szczególniejsze pomyłki, i wyrachować nie tylko tyle umarłych ile oddanych, ale nawet i więcéy. Na dowód, zaś że wszystkie dzieci w tym instytucie nie wymierają, mogę przytoczyć że ze 305 dzieci uczących się w

téy chwili w szkole szpitalney, 142 jest oddanych na naukę, 163 od dzieciństwa w nim wychowanych.

Przełożona zgromadzenia, obecna temu tłumaczeniu, przypomniała sobie inny zarzut, uczyniony w Gazecie Warszawskięy w numerze 39 z roku 1819, to jest że dzieci wprawdzie wychowują się w szpitalu, ale że się źle wychowują. Że ten zarzut uczyniony był szczególnie co do dziewcząt, że im nie dawano wyobrażenia, *co to jest służyć?* (złym Paniom chciał zapewne mówić autor), Przełożona otworzyć kazała przed nami świadectwa zapisane w księgach dziewcząt, wychodzących na świat, z których wprawdzie wiele poszło wyżéy nad swój stan to jest za kupców, restauratorów, albo do zakonu i stanu nauczycielskiego po miastach, (co zapewne nie może być skutkiem złego wychowania) ale téż w saméy Warszawie było kilkanaście oddanych na posługi do najpiérwszych domów, gdzie z powszechném ukontentowaniem Państwa inż od lat kilku pełnią gorliwie swoje przeznaczenie, i na to

maią dowody. Wreszcie, dodała odprowadzając nas Przełożona, i w najlepszym wychowaniu trafić się mogą złe, uparte, krnąbrne i niewdzięczne dzieci. Dla czegożby się w szpitalu takie trafić nie miały? Wiemy źródło z którego te ostatnie nacyzęściey pochodzą. Winić nas o ich *kręwość* byłoby niesprawiedliwością.

Potrzebowalbyśmy wielu kart na wyrażenie tego co mi mówić pozostaie: lecz muszę zamknąć się w kilku słowach. Zdarzył przypadek iż wychodząc nie zastaliśmy stan-greta u koni; podczas kiedy lokay poszedł szukać go po szynkowniach przynieśli dwójce dwoje dzieci do kraty. Jedno z nich było tak opuchłe i pokurczone, że tylko co zdążyli zapisać go w księgę i ochrzcić już się niemowlę na tamten świat przeniosło. Drugie, była dziewczynka przesłicznój urody, ze dwa lub trzy miesiące mieć mogąca. Zrobił się tłok około dziecka; wszyscy chcieli mu się przypatrzeć. Pani Marecka, zdjęta iak drudzy ciekawością, zbliżyła się do sierotki. Na szyice miała dziewczyna zawieszoną kartkę, na której zapisane

było imię *Angelika*. Porządna i czysta poduszeczka, obwiązana faworkami różowemi, zachęciła Panią Marecką że wzięła sierotę na ręce, żeby ją sama oddać mogła Przełożonéy. Tymczasem noga iéy się usuwa, trąca dziecię o ławę niechcący: małeńka płakać zaczyna. Pani Marecka tuli ją do siebie, ściska i całuje: dziewczynka się uśmiecha, i wyciąga rączkę na znak zgody. Pani Marecka, przeięta żalem i do żywego wzruszona, powtórnie sierotkę całuje; w tém nadchodzi Przełożona, i chce ją odebrać. — Czybym nie mogła ja sama wziąć tego dziecka na wychowanie, rzekła Pani Marecka z żywością i ze łzami w oczach do Panny Starszély? — Czemu nie, odpowiada Przełożona, abyś tylko Pani chciała być iéy matką. — I owszem, to jest moja myśl w téy chwili i na zawsze moja nieodmienna wola, zawołała Pani Marecka. — Panna starsza skłoniwszy się iéy z uszanowaniem kazała przynieść zwykłe warunki: Pani Marecka podpisuje akt przyięcia; Angelika jest iéy córką przysposobioną. Naytkliwsze starania otaczają teraz kolebkę tego dziecka; i ta którą los

chciał upośledzić, zaraz przy pierwszym na świat przyśściu, opływa dziś w szczęście iakiego nie wszystkim ludziom udziela w tэм życiu łaskawe Niebo.



Ner LXX. 3 LUTEGO 1820.

LOMBARD.

Multis occulto res crescit foenore.

HOR. EPI. I. lib. I.

Wielu bogaci się potajemnie lichwą.

PEWNY człowiek, znający się na wartości pieniędzy a szczególniey też procentów, prosił mię czybym nie mógł napisać satyry na PROCENTOWICZÓW. — Ta iego myśl przypomniała mi niejakiego Pana *Kutwica*, człowieka możnego, który poszedł był raz

Tom IV.

7

do zakrystyi prosić xiędza ażeby miał kazanie przeciwko lichwie. Oiak się cieszę moia duszo, mówi mu duchowny, że przecie Pan Bóg cię natchnął i chcesz porzucić... «Porzucić! bynajmniey, odezwie się stary grzesznik, nie iest o tém mowa. Jeżeli cię proszę, mój oycze, abys powstał z *ambony* przeciwko wysokim procentom, to tylko dla tego iż się namnożyło teraz w Mieście tak wiele lichwiarzy że człowiek, iak ia, nie może nic zarobić. Gdybys ich pobożny oycze nawrócił, mnieby przez to lepiey szły interessa. — Ten Pan *Kutwic* miał nadto dobrą opinią o swoich kollegach: na nich nie do kościoła ale do policyi udać się należy: piękne kazanie uczynić nie potrafi tego skutku co kara porządkowa. Nadewszystko powinny być po wielkich miastach urzędzenia tamujące źródło zarazy; potrzebne są instytuta ułatwiające pożyczkę: środki nabycia pieniędzy niechay będą w stosunku z łatwością ich stracenia; należy podpomagać ludziom wydatkuiącym których hoyność i wspaniałość wynosiemy nie raz pod obłoki, i przemysł który nam nastręcza tyle sposobów do wypróżnienia naszey szkatuły,

powinienby także pomyśleć i nad t \acute{e} m iak-
by t \acute{e} szkatu \acute{l} ę napowrot zapełnić.

Nie żądamy od ludzi geometryczn \acute{e} y ści-
sł \acute{o} ści w wydatkowaniu. Kt \acute{o} ż b \acute{e} dzie tak
skąpym żeby mierzył swoje dochody! Wszak-
że przy \acute{e} to w naszym kraiu nazyw \acute{a} c skne-
r \acute{a} tego kt \acute{o} ry nie żyje nad możność: roz-
rutność pokryta jest nazwiskiem wspaniało-
ści. Jednakże naylepszym lekarstwem na li-
chwę byłoby przyprowadzić ludzi do tego
rządneg \acute{o} stanu kt \acute{o} ry wyłącza wszelk \acute{a} myśl
zgubn \acute{e} y pożyczki. Wtenczas to walka mi \acute{e} -
dzy marnotrawstwem a *żydostwem* usta-
by musiała i możnaby zastosować owe wier-
sze z *Cyda*.

Et le combat a cesse faute de combattans.

I wojna sie skończyła gdyż woyska nie było.

Czy to pochodzi z niedostatku dobrych u-
rządzeń, czy t \acute{e} ż z nieukształcenia ludu na-
szeg \acute{o} , dosyć że nigdzie dochody nie s \acute{a} tak
niepewne iak w kraiu naszym: osobliwie
t \acute{e} ż w Warszawie nic trudniejszego iak usta-
nowić pewny bilans mi \acute{e} dzy dochodem a po-
trzebami, do kt \acute{o} rych to ostatnich w naywię-

kszéry części należą nasze rozrywki. Zliczby zaś niewyrachowaney tych osób, które niemogą nigdy pogodzić *percepty* z *expensą*, mała bardzo ilość ma znajomości z uczciwemi kapitalistami, którzy się kontentują legalnym to iest małym procentem. Niedostatek pewny hipoteki ścieśnia ieszcze niezmiernie szereg tych zacnych ludzi.

Potrzeba więc iest u nas bardziéy, niż wiakimkolwiek europejskim kraiu, iść w pomoc nieszczęśliwym *gołym*, młodym ludziom z dobréy familii czekaiącym na spadek po rodzicach, parafianom zasiedziałym na bruku wyglądaiącym na próżno ze wsi pieniędzy, piniaczom którzy rozpoczęli processa w drodze exekucyi, karciarzom którym się ręka pośliznęła w *natassowaniu*, ludziom nadewszystko którzy rachuią długi do nayspewniejszych swoich dochodów; osobom wreście wszelkiego stanu których niedostatek, choroba lub inne iakie nieszczęście przymusza do opłacania lichwy.

W zwyczajnym biegu życia ludzkiego każda klasa pożyczaiących znajduie odpowiedni stopień *Procentowiczów*. Nayrzadsi iednak między temi ostatniemi są ci nieomył-

ni przyjaciele których worek iest zawsze otwarty i którzy nie lękaia się, pożyczaiąc pieniędzy, stracić z niemi razem i przyjaciela którego zobowiazali: szczęśliwi ieszcze ieżeli nie kupia sobie za tę uczynność od zaopatrzonego dłużnika coś więcéy iak iego niewdzięczność! Następuią potém ci *autentyczni* ludzie, których nie można inaczéy zobowiazac tylko przed Notaryuszem i którzy zasadaia wysokość swoich procentów na pewności odebrania kapitału. Zamykaia nareszcie szereg lichwiarze wszelkiego rodzaju, którzy biorą *dusery*, przypisuią do rewersu, każą sobie płacić procent od procentu, zbywaią zastaw przed terminem wykupienia albo go zamieniaia, wciskaią do ręki różne stare sprzęty w mieyscu gotowizny, daią obrzynane dukaty, pobieraią po pięć od sta na tydzień i liczą dwie prowizye jednę z góry drugą *decursive*.

Na takich łotrów ustanowienie Lombardu iest prawdziwym do ich wytępienia sposobem (*). Oddaymy sprawiedliwość téy do-

(*) Ustanowienie Banku dobiło lichwę i tak zwane wexlarstwo. — Wydawca Pustelnika.

brocznyej Instytucyi! Była to myśl prawdziwie godna Oycza S. ażeby otworzyć dom publiczney na fanty pożyczki, któraby w nagłych potrzebach nieść mogła rozsądne wsparcie ubóstwu i nieszczęściu. Papież Leon X. jest pierwszym założycielem téj świetley administracyi która do dziś dnia w Rzymie istnieje, i godna jest nosić szanowne imie *Montis pietatis*, dane iéy w początkach. Jest to właściwiej dom wsparcia niż pożyczki. Pożyczający nie opłacaia żadnych procentów, fant nigdy nie przepada, sprzedaż iego następuje tylko za wolą i na zysk właściciela.

W naszym kraiu Lombard jest mniéy liberalnie urządzony: ma iednak swoje moralne i dobroczynne cele. Procent umiarkowany pozwala pożyczającym odkładać terminu wykupna fantów do czasów sposobniéjszych. Pożyczka dawana bywa do znaczney wysokości, jeżeli wartość fantu nie ulega zepsuciu i ma swoją stałą cenę. Sprzedaż fantu idzie na korzyść właściciela i przeżytki dostaje się do rąk iego: nakoniec (i ten warunek zawiera wobie wszelkie pochwały) dochody lombardowe zyskane i

pobrane na ubóstwie, marnotrawstwie, nie-szczęściu i nędzy idą na wsparcie szpitalów i domów miłosierdzia.

Jeden z moich dawnych znajomych, oyciec pewnego kawalera bawiącego zwykle w stolicy, przysłał mi był ostatnią pocztą bilet, wydany w Lombardzie (pierwszy który w życiu widziałem) z prośbą ażeby wykupić zegarek na tym bilecie zapisany. List moiego przyjaciela nauczał mię że ten *re-petyer* był klejnotem familiynym, kosztownym dla swojej starożytności i który *sukcesjonalnie* z kieszonki do kieszonki przechodził przez lat osmdziesiąt z oycia na syna, od prapradziadka począwszy aż do praprawnuka, który to praprawnuczek zastawił go w Lombardzie za 58 talarów na kilka dni przed wyjazdem z Warszawy.

Zasiągnąwszy wiadomości o mieyscu, czasie i szczegółach potrzebnych dla uskutecznienia wykupna, udałem się między godziną 9 a 10 na Ratusz, na przeciwko Marywilu. Po lewéj stronie wielkiéj sieni jest wniście do Lombardu iak wskazuje napis, wielkimi literami, na głównych drzwiach przybity. Wyobrażenie o wartości

tego publicznego skarbcu dać poniekąd może zachowywana w jego strzeżeniu ostrożność, te porostawiane wszędzie warty, te blachą okute okiennice, opatrzone kratami okna, obite żelazem drzwi. Kilka osób stojących w sieni namyślało się czyby wniść do kantoru *expedycyi*: wnosićby można było po ich niespokojności że szukały sposobu nie bydź widzianemi w tém mieyscu. Zapytałem się sam siebie co może bydź za przyczyna która przywiązuie wstyd do rzeczy z siebie tak niewinney, iaką iest pożyczanie na fanty nasze własne pieniędzy gwałtownie nam potrzebnych? I znalazłem że to nie może pochodzić tylko z wyznania przed sobą samym niedostatku który się w tym czynie daie postrzegać.

Tak rozmyślaiąc usłyszałem nagły turkot w bramie; była to doroszka z różnemi fantami. To są nasze rzeczy, odezwała się iedna panienka do swoiëy towarzyszki, które wracaią od przysięgłego taxatora, pod strażą policyiną. Otworzono drzwi: policyant zabrał ruchomości, panienki weszły za nim, ia za panienkami; stanęliśmy u kratak. Kassyer i Kontroller, zaięci expedyo-

waniem osób które raniéy od nas przyszły, prosili nas tymczasem abyśmy na ławie usiedli: uczyniłem zadosyć temu żądaniu, a włożywszy na nos okulary i oparłszy brodę o kiy zacząłem się rozpatrywać po izbie. Postrzegłem nayprzód iż publiczność mieszcowa, pod względem humoru i wesołości, dzieliła się na dwie nierówne części. Jedni (tych była mniejsza liczba) mieli dobrą minę, mówili głośno, byli niecierpliwi, chcieli prędko być expedyowanemi, poglądali na drugich z uczuciem litości żebym nie powiedział pogardy: drudzy mieli smutną postać, mówili nie wyraźnie, bali się obrazić na siebie expedytora, czekali cierpliwie końca i stali skromnie pod oknem: a jeżeli wreszcie zapytał się ich Kontroller na czyie imie zapisać bilet, dawali pocichu swoje nazwiska z obawy ażeby ich kto nie podsłuchiwał. Łatwo się domyśli czytelnik, iż tamci przychodzili swoje fanty wykupować, ci swoje zastawiać.

Expedyowano nayprzód młodą panienkę; przychodziła wimieniu swoiéy Pani zastawić tuzin batystowych koszul podobnych raczéy do przezroczystego obłoku niżeli

do włókna: tak rzadkiey były cienkości. Sztuka naybiegleyszych haftarek pracowała nad przyozdobieniem brzegów służących za obwódki do tęg bielizny. Byłem niezmiernie ciekawy wiedzieć co mogła bydź za potrzeba pożyczania się osobie która miała tak piękną garderobę, a zatém która była tak bogatą: lecz panna Strzygalska (nazwisko pokoiówki) uwiadomiła nas, iż ięć Pani była w niezmiernym kłopotcie o kapelusz z piórami, nayświeższey mody, którego pewna kupcowa stroiów nie chciała dać na kredyt ani spuścić tanięć iak dziesięć dukatów. Taxator oświadczył, iż nie może dać na bieliznę więććy iak ośm czerwonych złotych: tymczasem summa koniecznie potrzebna była dziesięć dukatów. Panna Strzygalska prosiła ażeby ieszcze raz ięć rzeczy ocenić, zaczęła nawet gniewać się; nic nie pomogło: rada nie rada musiała z szyi pozłacany łańcuszek dla uzupełnienia żądanych pieniędzy, za pomocą którychby mogła nabyć tak drogi dla serca ięć Pani z piórami kapelusz.

Po *młodszy* (*) zbliżyła się do kratki stara ale dosyć przystoyna osoba z żąda-

(*) Tak ieszcze nazywaią w Warszawie pokoiówki.

niem ażeby iéy pożyczyć pięć talarów na kołdrę iedwabną pikową. Los téy biednéy niewiasty mocno mię wzruszył: pomyślałem sobie, nieszczęśliwa! przymuszona jest obnażać łożę a jeszcze w téy porze roku, zapewne w celu ratowania słabego męża lub chorych dzieci! Pobudzony uczuciami ludzkości, chciałem iéy pożyczyć z moich własnych pieniędzy trzydziestu złotych bez żadnego obowiązku zastawu, gdy ona tymczasem nachyliła się do znajoméy sobie sąsiadki i wyznała przed nią to co sama nazywała słabością. Jéy córka nie widziała jeszcze *Machabeuszów*: oyciec naciśniony domowemi potrzebami nie chciał nic odłożyć na żaden *melodram*; trzeba więc było matce postarać się o to, ażeby dogodzić żądaniom córki i zapewnić iéy szczęście ofiarą najpotrzebniejszego iaki był w domu sprzętu. Ten osobliwszy dowód miłości macierzyńskiéy nie uiał mię tak mocno iakby się to zdawać mogło: iakoż zamknąłem czempredzéy mój woreczek i schowałem go skwapliwiéy do kieszeni niżeli kiedym go dobywał.

Zaledwie ta dama odeszła, przystąpił pewny kupiec, ieden z tych poczciwych który się ieszcze nigdy nie podał za bankruta. Przychodził on wykupować *kleynoty*, które wolał zastawić w Lombardzie niżeli je ukryć przed okiem wierzycieli. Zona iego, która mu naywięcący dopomogła w tém szlachetném przedsięwzięciu, (gdyż to były iéy *brylanty*) przychodziła przywitać się, po długiem niewidzeniu, z przedmiotami naymilszych swoich uczuciów. Radość z oglądania tych drogich rzeczy, zupełnie całych i nietkniętych, podwajała się w tych ludziach wspomnieniem dobrego uczynku do którego te kosztowne sprzęty dały im powód. Wyliczywszy pożyczony kapitał i zabrawszy z sobą zastaw odeszli, zostawiając wszystkich w podziwieniu danego przykładu rzetelności. Był nawet ktoś z obecnych który sobie ich imie w pugilaresie zapisał, ażeby w razie wiedział gdzie pieniądze swoje ulokować: tak to prawda że dobra wiara iest piérwszym węzłem ufności między ludźmi i że kupiec który ma czyste sumienie, posiada skarb, oparty na niezachwianym kredycie, iaki

mu daie iego uczciwość. — Ciżba się pomna-
żała: tłok był coraz większy. Administra-
torowie postrzegali iż największy napływ
osób do Lombardu bywał zwykle w czasie
zapust lub ciągnięcia loteryi klassycznej.
W tym tłumie odchodzących i przycho-
dzących zwrócił uwagę moję chłopczyk,
nie mający ieszcze lat ośmnastu, który
chcąc dać koledze swojemu na bilarze *re-
wanż* przychodził za dwa dukaty zastawić
portrecik swoiey kochanki, obsadzony *nie-
zapominaykami*. Zaraz obok niego iedna
nieszczęśliwa matka składała swoje rzeczy,
chcąc w nich znaleźć zasilek na wyżywie-
nie troyga dzieci. Historia téy interessu-
iącéy niewiasty, którą samà wkrótkości o-
powiadała, przeięła żalem wszystkich obe-
cnych. Dla uzyskania żądanéy summy po-
zostawało iéy tylko ieszcze zastawić krzyż
rubinami wysadzany z którym, widać to
było, rozstawiała się nie bez wielkiego ża-
lu. Ludzie są naturalnie dobrzy, gdy nie-
mi interes osobisty albo iaka namiętność
nie powoduje: pomiędzy obecnemi był ie-
den z tych dobroczynnych dziwaków któ-
rych zachmurzone czoło nie zawsze iest do-

wodem złego serca. — Wieleż to Pani chcesz, pyta się, na ten krzyż pożyczyc? — Pięć dukatów Mości Dobrodzieiu. — Ey do licha! mówi, przedawać rzeczy święte! Bierz Pani, oto masz twoie pieniądze, a weź krzyż na powrot i miéy w Bogu ufność. — To rzekłszy dał iéy ładunek z rublami. Niewiasta chciała go wręce ucałować. — Fi! zawołała. — To przynajmniéy niech dam rewers, mówi. — A to na co; wszakże będę jutro u Pani, miéy w Bogu ufność, mówiłem ci, uspokój się. — To powiedziawszy wyszedł i zniknął.

Po wyprawieniu kilku innych *expectantów* przyszła koléy na mnie. Kontroler zaprosił mię z sobą do Magazynu. Kilka sal obszernych napełnionych było od wierzchu aż do ziemi sprzętami rozmaitego kształtu i rodzaju, z których iedne zamknięte w szafach, drugie na wolném powietrzu. Tysiące łyżek srebrnych, lichtarzy, grabek, waz, tac, kawtyerek; różne wyroby bronzowe, strzelba, zegary, obrazy, bielizna, futra, bryllanty, suknie, mundury i siodła: wszystko co tylko przemysł ludzki do użycia podał, oprócz iednak szkła i porcellany, leżało w tym składzie

według porządku alfabetycznego, iak gdyby dzieła iakięj biblioteki, ułożone systematycznie tak że dozorca mógł na każde zawołanie wynaleźć zaraz exemplarz fantu iakiego kto żądał. W tym ogromnym zbiorze, nayeściej starych *gratów*, były także i rzeczy wielkiey wartości: pokazywano mi pierścień którego jeden bryllant, ważący karatów 13 szacowany był w Lombardzie 72,000 złp. na co właściciel złp. 30,000 pożyczki otrzymał. Ludzie modnego świata, przymuszeni będąc udawać się do Lombardu, przesyłają swoje ruchomości nayeściej na ręce *faktorów*: lecz nayewiększa liczba fantów należy do klass nayeźniejszich bogatych. Te żyjące archiwa marnotrastwa i nędzy są nayewiększym dowodem rozmaitych przemian fortuny. Na widok téj publiczney *tandety* przychodzi mimowolnie na myśl historia nie jedney rodziny: tu filozof moralista mógłby czerpać pobudki do naygruntowniejszych uwag i odkryć nie jednę tajemnicę ludzkich czynności: dosyć byłoby nie raz dla niego wziąć do ręki fant i spytać się o nazwisko osoby do której należy ażeby zgadnąć zdarzenia

ię życia począwszy od chwili w której ten sprzęt kupiła aż do czasu gdy iey przyszło zastawiać go w Lombardzie.

Odebrawszy zegarek praprawnuczka, powróciłem do kantoru ekspedycyi, gdzie zastałem wiele nowych osób odbywających różne czynności. Jedni przychodzili płacić procenta, drudzy przedłużać terminu wykupna, inni deklarować zgubione bilety, tamci odebrać pieniądze należące im się od przewyżki iaka wynikła z przedaży fantu na licytacji. Dwóch rzemieślników pomieniawszy się na sprzęty które zastawili w Lombardzie, przychodzili nie wykupując ich prosić ażeby ta zamiana zapisana była na bilecie: jeden z nich który zastawił cztery chomąta, swój *maystersztyk* rymarskiego kunsztu, przyprowadzał z sobą kupca na nie, który obeyrzawszy to arcy-dzieło i zgodziwszy się z właścicielem o cenę złożył wykupne, fant odebrał, i resztę do ręki pieniędzy oddał rzemieślnikowi.

Pośród tych handlowych zatrudnień i obrotów przemysłu ludzkiego postrzegłem formujące się koło rozmaitych osób które spokojnie oczekiwały aż się wszyscy przy-

tomni rozeydą. Zapytałem się Inspektora Lombardu o ich charakter. — To są kapitaliści, mówi, którzy przychodzą w Lombardzie lokować swoje pieniądze. Pewność regularnego procentu i łatwość odebrania kapitału na każde zawołanie sprowadza ich tu w daleko znaczniejszą liczbę niżeli tego potrzeba: gdyż my nie możemy przyjmować wszystkich summ, nie mając tak obszer-nych spekulacyi. *Konkurrencya*, która się otwiera między niemi, przynosi dla instytucyi rozmaite korzyści na które się oni podpisywać muszą: i gdybyś Pan był tu po obiedzie, widziałbyś że z taką ochotą znoszą do nas swoje pieniądze z jaką gdzie- indziej chcieliby je odebrać.



N^o LXXI. 1 MARCA 1820.

KAWA WIEYSKA.

Simplex munditiis.

HOR. lib. I. Ode V. 5,

Prosta w swoi^oy czysto^oci.

NIE jednemu nie mo^ze si^e pomie^oci^e w gło-
wie, i jakim sposobem naprzykład *Łokietk* (*) tyle razy grany byd^z mo^ze w tea-

(*) Niezmiernie slaba sztuka kt^ora iu^z miala kilka-
dziesiat *reprezentacji*.

trze? I dla czego sztuki które są nierównie wyższego rzędu od téy tak zwancy opery, zaledwie liczą na scenie dwa, trzy, a iuż naywięcéy kiedy pięć wystawień? — Każdy, kto tylko posiada cokolwiek zdrowego rozsądku, przyznaie że osnowa Łokietka nie ma w sobie naymniejszego podobieństwa do prawdy, a przecieź ile razy włożą go na *affisz*, dyrekcyja znacznego przychodu w kassie swoiey spodziewać się może. — «Rzecz wzięta jest z dzieiów kraioowych, mówią niektórzy, a ta iedna przyczyna jest iuż dostateczną dla miłośników narodowości, (którzy lubią widzieć na scenie dzieie oyczyste, a przynaymniey coś podobnego do dzieiów oyczystych) do usprawiedliwienia tego wyboru. Dobrze jest, odpowiedziałbym, ale czemuż LUDGARDA np. *Kropińskiego*, BARBARA *Felińskiego*, nie mogą się wznieść aż do wysokości sławy Łokietka przez liczbę odpowiadającą wystawień? Czyliż osnowa tych dwóch wybornych tragedyi nie jest równieź narodową? I wczemże to król *maryonетка* (notabene iak nam go wystawia szanowny autor opery) zaślubiony z Wiśliczankami na weselu chłopskiem i oswobodzony sposobem nad-

zwyczajnym przez dziewczęta wieyskie, wyższym bydź może od ZYGMUNTA AUGUSTA, który dla dotrzymania wiary prawey małżonce, bierze na siebie pogroźki i nienawiść Królowey matki, a co większa niebezpieczniejszą nad to niechęć narodu? Czyliż mowa *Boratyńskiego*, wyrażona wierszem iaki ieszcze nigdy nie pieścił ucha polskiego, (i podobno bardziéy historyczna niżeli cudowne rozbroienie mężnych Czechów przez polskie *Amazonki*) nie iest warta większych pochwał i uwielbienia od owych scen fantasmagorycznych, owych słów uprzywilejowanych i tych Proroctw przychodzących po czasie, które każdy kto zna historią zrobić może, a nad któremi nigdy się tak niespracował autor opery, iak się za każdym razem spracować musi machinista, który dekoracyami z za kulisy kieruje (*).

Zastanawiając się nad wzrostem i początkiem tych pożyczanych wziętości, téy sławy która przyidzie nie wiedzieć zkąd i trąbi

(*) Cały sen odbywa się na scenie za pomocą różnych teatralnych machinery.

nie wiedzieć dla czego, nie można dosyć wydziwić się z iak niedościgłych źródeł wypływa czasem opinia publiczna i przez iakie niepoięte ścieszki idą nie raz i tworzą się ludzkie nałogi! Będzie przypuścmy dwóch kupców, mieszkających w iednym domu, prowadzących iednakowy handel: obadwa mają zarówno dobre towary, obadwa porówny cenie takowe przedaią; ieżeli ieden jest grzeczny i uprzejmy, i drugiemu nie można nic zarzucić; ieżeli tamten pięknie sklep ustroił i ładnie towary wystawił, i ten się sadi na ozdoby żeby oczy wszystkich do siebie przywabić. Tymczasem do tamtego wszyscy się cisną, do tego nikt nie chce zaiechać; i kiedy pierwszy liczy na stole pieniądze które zarobił, ten drugi stojąc na progu liczy tylko osoby które weszły nie do niego ale do iego sąsiada. Znak który na froncie wywiesił i pomalował, zdaie się że jest straszidłem od którego publiczność ucieka; gdy przeciwnie znak rywala ma iak gdyby cnotę magnetyczną która każdego przyciąga.

W Pamiętniku warszawskim, w r. 1816 iest zabawny obraz *Londynu*, wycięty z podróży

przez Pana GOFDE odbytey. « Ponieważ w szczegółowym handlu, mówi autor pisma, chodzi w Londynie naywięcący o zwrócenie uwagi tego roiu (Iudzi) ustawicznie tłoczącego się po ulicach, można więc sobie wystawić że kupcy naywiększego starania dokładać muszą ażeby znakom i doniesieniom o swoich sklepach nadać postać naymocniey w oczy biiącą: iakoż niekiedy cale *fronty* ich domów są niemi okryte. Na placu *Ludgatchill*, przed domem pewnego *Shrop*, który za brzytwy do 40,000 f. s. to jest do 1,600,000 złp. zrobił maiątku, widzieć się daie napis w głóskach *na trzy stopy* wysokich, uwiadamiający publiczność że *tutylko* dostać można nieporównanych brzytew. Korzennik pewny w tym mieście pod znakiem wielkiego ula miał nadzwyczajny odbyt; zaledwie dostrzeżono że wszyscy udaia się do ula, zaraz więcący niż sto znaków korzennych dawnych znikło; a zastąpiono ie piękniemi i należycie wyzłacanemi ulami: co korzennika wspomnionego handlu znagliło do głoszenia w gazetach, że *on tylko ieden* jest istotnym posiadaczem oryginalnego ula. Taki sam przypadek miał pewny *Ingleton*,

korzennik z ulicy *Cheapside*, którego sklep był pod znakiem ogromnéj szarańczy. Jak tylko zaczęto udawać się pod wielką szarańczę, natychmiast szarańcza rozmnożyła się po wszystkich zakątkach miasta. Wszelako wielu młodych kupców, nie chcąc rozplądzać tego owadu z krzywdą pierwszego tedy właściciela, dokupili się u niego znaku za pieniądze, to jest że mogli naznaczyć sklepy swoje w sposobie prawnym i uczciwym, kładąc napisy wielkimi literami: « Szarańcza, od sławnéj oryginalnéj i nieporównanéj szarańczy Pana *Ingleton*, z ulicy *Cheapside* ród swój wiodąca » etc.

Te wszystkie uwagi i myśli przyszły mi na pamięć z powodu Kawy Wieyskiéj którój samo nazwisko jest prawdziwym ulem dla właściciela, i gdzie przed kilku dniami przypadkiem będąc zastałem nadzwyczajny ścisk ludzi. Ta kawa, od lat już kilkudziesiąt, po części słusznie nawet lubiona od publiczności tutéjszój, jest nieiako teatrem Warszawy gdzie się różne klasy mieszkańców, szczególniéj porą zimową, zbierają przed samym wieczorem. Nie ma doróżkarza ani sankarza, któryby nie wiedział drogi na

Kawę Wieyską, któryby osobliwie wświęto nie rachował na zarobek iechania na Kawę Wieyską, i któryby wsiadającego do powozu albo do sanek o czwartę z południa nie chciał wieźć bez pytania na tęż Kawę. Szczęśliwy odbył miejsca tak uczęszczanego, poniekąd usprawiedliwiony powabem prostéy ale porządnej powierzchwości (*), jest rzadkiem zjawiskiem w naszych obyczajach: pamiętam nawet te czasy, kiedy naysprzedniejsze osoby iadąc do Wilanowa we Srodę wstępną, wstępowały na Kawę Wieyską: była to pierwsza stacya gastronomiczna, na której się układały projekta do dalszey przeiażdżki. Opisanie tego miejsca w niektórych szczegóbach wchodzi do planu obrazów Warszawy przezemnie rozpoczętego: czego tém chętnie dopelniam, iż wielu z korespondentów moich wieyskich wzywali mię już po kilka razy, aby im udzielić wiadomości o téy Wieyskiej Kawie, która często u nich na parafii gra wielką rolę w rozmowach młodzieży powracającej ze stolicy.

(*) Właściciel od tego czasu znacznie swój dom upiękniał. — Wydawca Pustelnika.

Wzaprzeszłą niedzielę miałem u siebie na obiedzie moję córkę, która przybyła na zapusty z Wołynia do Warszawy. Były z nią Hrabina Rohaczewska, Pani Marszałkowska córka Hrabiny i wiele innych osób, o których miałem honor donieść już czytelnikom w Tomie I. w artykule moim pod tytułem *Bielany*. Podczas stołu postrzegłem że się jakiś projekt układał pocichu. Po tych słowach mów ty, prosz ty, wiem że ci nie odmówi, a zawsze spoglądając na mnie, widziałem iż mi mają udzielić coś takiego co się mnie osobiście tyczyło. Nareszcie zabrał głos Pan Marszałek, zięć Hrabiny Rohaczewskiéy. — Oto, mówi, te Damy mają prosić Pana ażebyś im jako tutejszy, chciał po obiedzie przewodniczyć i pokazać, gdzie to jest ta sławna Kawa Wieyska. — Zmiłuycie się, rzekłem, dzisiay dosyć zimno. Nie macie żadnego względu na moje stare lata. — Jak nas kochasz Pustelniku! odezwie się stara Hrabina. — Nie mogę; odmówiłem już dziś obiadu u Pana *Habińskiego*. — Nie będzie nikt o tém wiedział odpowiedz mi. — Nie mam nic na pogotowiu; trzebaby mi się ciepłéy ubrać. — To

nic nie szkodzi, zawołali, my cię ubierzemy.

Nie można się było wymówić, poiechaliśmy. Kto chce mieć wyobrażenie ludności i czynnego ruchu stolicy naszej, niech przed samym zachodem słońca uda się na Nowy Świat i przebieży choć raz ieden w całej długości tę ulicę. Na widok tylu powozów i sanek, krzyżujących się bezustannie poczwornym rzędem i w całej szybkości rozbieganych koni, obojętny z boku patrząc pomyśleć może iż publiczność *kurs* odbywa, i że niepodobna ale chyba idzie o zakład do mety i że iakaś znaczna nadgroda postanowioną byź musi dla tego, który ją najpierwszy dopędzi. W dwanaście może minut stanęliśmy na miejscu, nie bez trudności iednak wiechania w dziedzińcu, dla zbyt wielkiej liczby sanek, zastępujących miejsce przed bramą. Kawa Wieyska, iest to domek drewniany, iak są na wsi porządne dworce szlacheckie: okolnik oparkaniony w stylu starodawnym, przydaie temu porównaniu nowego do prawdy podobieństwa. W samym ganku, kilku ubogich żyjących z miłosierdzia, wskazuje

przychodzącym wniyście do kawy, którey może nigdy nie pili. Na lewo i wprost drzwi siennych, są główne *appartamenta*: zwyczaj jednak chce ażeby wchodzić przez kuchnię. Sześć czy siedm pokoi, z których największy salą się nazywa, ściany wapnem wytynkowane i pomalowane w średnim guście, okna nie wielkie przyozdobione kwiatami, klatki z ptastwem zawieszzone pomiędzy firankami, kilkadziesiąt stolików, kanap i krzesel porządnie utrzymywanych, kilka luster, nareszcie klawikord niestroiony może od roku 1806, oto są ozdoby i sprzęty wewnętrzne kawiarni (*). Półtora sta najmniéy męźczyzn i kobiet znaydowało się zebranych wtenczas gdyśmy weszli. Osoba która ożywia ten przemysł, która się może nazywać duszą kawiarni, nie jest to elegantka iak owe paryzkie *limonadierki*, siedząca na tronie hebanowym, mahoniowym lub złotym, ubrana w *dyadem* z kosztownych kamieni i czy-

(*) Pustelnik zapomniał, że i ogród należy do ozdób miejsca tego, zwłaszcza letnią porą.

Wydawca Pustel.

niąca z powagą prawdziwie maiestatyczną *libacyie* nad ofiarnikami; iest to dobra i pilna gospodyni, która za pomocą kilku dziewcząt dosyć przystoynych, zaspokaia z niesłychanym pośpiechem wszystkie żądania kawiarzy. Wyszedł iednak dobrze kwadrans, nim ukwestowaliśmy dla siebie kanapkę, któręj nam ustąpiła grzeczna młodzieź, widząc w gronie naszym kilka dam poważnych. Wkrótce przynieśli też kawę. I kiedy moja córka zatrudniała się nalewaniem, chwalać doskonałą śmietankę, ia tymczasem zaiąłem się uwagami nad zgromadzeniem osób mnie otaczających, o których wyobrażenie iakie na prędcie powziąć mogłem, będzie zamykać osnowę dzisieyszego pisma.

Sala, gdzieśmy się znajdowali, była rozporządzona w następującym sposobie: w samym kącie przy drzwiach, siedziała dama w towarzystwie mężczyzny, *eleganta* najnowszy mody, niemniéj iednak śmieszne go i pełnego próżności (dowiemy się wkrótce dla czego tak starannie kryła swoje wdzięki pod szalem wkoło twarzy obwiniętym). Po prawęj stronie téj Damy, przy innym

stoliku, uważałem panienkę piękny urody, lecz roztargnioną: tak iż się zdawało że iak gdyby nie należała do grona osób z którymi przybyła. Nie mogłem zgadnąć od razu co byli za jedni mężczyźni, którzy na przeciw nas siedzieli: nie długo iednak po tych słowach *gratyfikacya*, przydatek do pensyi, Izba obrachunkowa, które z ust ich słyshałem, wnosić można było że musieli mieć iakieś zasługi w Biórach Rządowych, na które liczyli. Kilku żwawych młodzików, uziąbłszy zapewne na mrozie, zagrzewało się gorliwie ponczem przy piecu. Po naszey lewey z drugiey strony drzwi, siedziały dwie damy znaiące całą Warszawę, ile sądzić można było po ich ustawicznem kłanianiu się wszystkim wchodzącym. Również za nami stało dwóch mężczyzn, z których gdy ieden częstował babką małego *szpica*, drugi czynił uwagi krytyczne z niewypowiedzianą trafnością nad wszystkimi obecnymi. Nareszcie zajmowały po stolikach pobocznych i innych miejsca różne figury, nie maiące fizyonomii, i kilku z tych niezbędnych oryginałów, uważanych za meble inwentarskie właściciela, a którzy iak

mi mówiono, nie opuścili żadney Wiejskiéy Kawy od lat naymniéy dwudziestu.— Tak z oryentowawszy się, i posadzony trafem szczęśliwym w samym środku moiego *Obserwatorium*, zwróciłem naprzód oczy na ową roztargnioną panienkę: po nieiakiem dochodzeniu postrzegłem, iż naprzeciwko drzwi siedząc, rozmawiała na migi z młodym mężczyzną będącym aż w 3 pokoju. Twarz kawalera, którój rysy odbijały się w lustrze zawieszoném nad młodą osobą, wyrażała naprzemiany to gniew, to ukontentowanie, to znowu smutek i zazdrość, z powodu iak się było domyślać potrzeba, innego *Aspiranta* do ręki młodéy panny, który się kręcił około stolika téy damy. Nic zabawniejszego iak patrzeć było na tę ich tajną korespondencyę; osobliwie gdy panienka chcąc na pocieszenie okazać tamentu, iż nie dzieli skłonności nowego współzalotnika, (w chwili właśnie kiedy tenże zalecał się iéy rodzicom) wystawiła w sposobie szyderskim i nader komicznym wstręt swój od niego, malując gestami garbaty nos rywala i iego zadartą brodę, podnosząc wreszcie ramiona dla okazania, iż miał

nadto krótkę szyję, ażeby mu mogła bydź wzajemną.

Nagły wrzask owego eleganta śmiesznęj postaci, przerwał tę *minikę*, która nie była może tak skrytą, iakby dla panienki żyćzyć należało. Mężczyzna, o którym mówiłem, nie zważając że jego towarzyszka miała widoczny iakiś powód *incognito* zachować, krzyknął całą gębą: *Hey! Garson*, (wołając na dziewczynę) proszę cukru więcej! — Zmiłuj się, mówi mu dama siedząca iak na szpilkach, wołaj ciszej; wszysej się na nas patrzą. Prawdziwie żałuję, dodała, że tak nierostropność popełniła dla ciebie. — Jakaż to nierostropność? — Alboż nie wiesz, odpowie mu, iż gdyby *on* tu był i poznał mię... — Jak cię ma poznać w tém ogromném futrze, i obwiniętą w ten szal który ci wcale nie do twarzy. — Zapewne! wołałbyś może, ażebym dla dogodzenia twoięj próżności, zdięła z głowy i kapelusz, i aby iutro po całym mieście mówiono: Czy wiecie co? Pani N** była wczoraj na Wieyskięj Kawie sam na sam z Waclawem R*** — Otóż iest, mówi Waclaw, znowu się Pani guiewać będziesz. — Jak gdyby nie

było ó co, odpowie dama: wiesz dobrze, dodała, iż mamy kilka chwil wolnych pod jego niebytność; oddałam tobie do woli rozrządzić naszym czasem; a ty nie możesz wymyśleć nic lepszego tylko mię prowadzisz pomiędzy najmniej 200 osób. Przeszłym razem prosiłam cię, ażebyś mi wziął łożę na drugiem piętrze, a ty dla zachowania większego *sekretu*, chciałeś mię do krzesel poprowadzić.

Zostawmy czytelnikom dalsze domysły z powodu tak osobliwéj rozmowy, a nade wszystko kto to mógł byź ten *on*, względem którego zachowywano tyle ostrożności. Teraz zwracam uwagę na rozmowę męzczyzn za mną stojących. To mi *konwersacya*. Tyle rozdziałów ile frazesów, tyle wyrazów ile rzeczy! W przeciągu niespełna kwadransa przeszli w krótkości historią życia wszystkich osób przytomnych, i jeszcze im się zostało czasu mówić o powrocie Pani CATALANI, o wilkach i *benefisie* ŻÓŁKOWSKIEGO, o nowych nominacyach i o paszkwilach. Z kolei przyszła mowa na piśmie peryodyczne. Dla zachowania historycznéj wierności nie odmienię iednego

słowa z całej tej rozmowy. Mówcie co chcecie, rzecze pierwszy, że to są młodzi ludzie, a ja utrzymuję że ich Gazeta (*) jest najpierwszą w całym królestwie. Najprzód jest jak mówią sami wydawcy tego pisma, prawdziwie liberalna, (*vrai liberal*) powtóre, zajmuje się stanem politycznym naszego kraju; potrzecie, kocha oyczyznę i nie dopuszcza ażeby się u nas działy jakie nadużycia. — Nie rachując, odpowie drugi, że ma talent działać zupełnie przeciwnie swojemu powołaniu, że sama popełnia nadużycia, że nadto wymyśla nową ortografią, kaleczy język polski a nadewszysiko że sama nie wie jaki tytuł dać pismu swojemu. — Otoż to jest właśnie największa ięć zaleta, odpowie tamten: gazeciarz który nam objawia coraz nowe *prospekta*, wymyśla coraz inne godła i sprawia zawsze nowe okładki do swoięć gazetki, jest bardzo uprzejmy człowiek, przez wzgląd na potrzebę zmysłów naszych które chcą odmianny. — Pod tym względem odezwał się dru-

(*) Tygodnik, a późnięć Orzeł Biały, kronika i t. d.

gi, są oni wzorowi. Ogłosili iż będą wię-
céy wydawać *Nót*, iak dotąd, ale za to
Rycin mniéy. I to jest cała ich nowość! —
Jużem raz powiedział, rzecze znowu pier-
wszy, że nowiniarz powinien sam byđz no-
wym, i kiedy mam wyznać prawdę, gazeta
Warszawska, która przez dwadzieścia pięć
lat wychodzi zawsze pod jednym tytułem,
jest iuż tém samem strasznie stara wiado-
mość. — Zwłaszcza kiedy ta gazeta mówił
drugi, jest rozsądna i umiarkowana. —
Pierwszy: co mi po umiarkowaniu; ia lubię
kiedy mi się gazeciarz zapala, i przybiera
na siebie charakter iakiego stronnictwa.
Kiedy się np. smuci z losu Pana *Gregoire*,
albo się cieszy z pomyslności politycznych
Reformatorów, lub téż powstaie na inkwi-
zycyą w Madrycie. Chciałbym nawet, aże-
by było we zwyczaju iak mu przyidą po-
myslne nowiny z *Kolumbii*, ażeby wziął na
siebie suknie galowe, albo oświecił kantor
gazety. — Żeby z siebie sceny robić, odpowie
drugi. — Żeby pokazać energią, rzecze pier-
wszy. Zapal iego udziela się tym sposobem
iego czytelnikom, a to zaięcie publiczney
opinii więcéy bawi, niżeli owe powieści

naszego Pustelnika. Co nam po jego *moratach!* Wiem że iak był młodym to samo co i my czynił! — Na te ostatnie słowa przysunąłem do nich nieznacznie krzesła moiego; lecz Pani Rohaczewska przerywając mi uwagę: »Pustelniku! rzecze, to ci kawa ostygnie: powiedzże nam o czem tak myślisz? Jegomość Dobr. mówi zięć, zbiera tu zapewne wzorki do iakiego nowego artykułu. — Ale *à propos* twoich artykułów, rzecze Hrabina, ty musisz znać całą Warszawę; nauczże nas kto to iest ta dama, co z taką troskliwością odpowiada na zapytania tego pięknego dziecka, które pierwszy raz podobno będąc w tak wielkiem zgromadzeniu, każdą najmnieyszą rzeczą zdaie się bydź zaięte? Gdym odpowiedział, że dama o którą się Hrabina pytała, była razem dobrą matką i sławną artystką, Pani Rohaczewska prosiła mię znowu, ażebym iéy z kolei opowiedział kto przy każdym z osobna stoliku iakie mieysce zajmował, i iakie było iego nazwisko? Czyniąc zadosyć powtórnemu wezwaniu Hrabiny, o ile byłem w stanie wiedzieć, (z wszelką iednak delikatnością iaka sie należy osobom kiedy iest mowa

o nich w szczególności) nie tailem Hrabinéy, iż obok dobrych matek i przykładnych żon, były także mniéy przykładne i mniéy dobre, i że w tym zbiorze różnych stanów, były pomiędzy klassami które arystokracya do siebie przypuszcza, znajdujących się i wiele takich, które przesąd słuszny lub niesłuszny z grona klass wyższych wyłącza. Pani Hrabina z większą wyrozumiałością niżelam się spodziewała odpowiadając na moje uwagi, oświadczyła mi że poymuie to dobrze, iż w każdém miejscu publiczném nie tak się o to starać należy iżby nie było połączenia rozmaitych stanów, iak raczély aby wszystkie miały przystoyną powierzchowność, zachowując się iedne względem drugich z należną grzecznością; dodała także w końcu iż w ogólności ton zachowywany na Wieyskiéy Kawie dosyć się iéy podobał.

Kilka osób nowo przybyłych przypomniało nam, iż iest czas ażeby im miejsca ustąpić: na samém iednak wsiadaniu byliśmy świadkami sceny o którój czytelnik w kilku słowach wyobrażenie powziąć może.— Kiedyśmy wychodzili z pokoiów wszedł iakis chudy mężczyzna wysokiego wzrostu,

ozdobiony znakami zagranicznemi, *lornetując* mocno po sali, iak gdyby szukał iakięy zguby. Jeden z przyjaciół Wacława, a może i damy kryjącę się, iak tylko go zobaczył przybiegł do nich i zawołał: uciekajcie! to *on!* — Na te słowa, które obecność chudego dobitniejszemi ieszcze uczyniła, piękna dama tuląc w piersiach odgłos przełknięcia, wstała nagle od stolika, i byłaby pewnie uszła przed wzrokiem *Argusa*, którego kilku młodych umyślnie zabawiało ażeby go zatrzymać; gdyby na nieszczęście lorynetka iego wymierzona przed wszystkim na *szal* będący na damie, *szal* bardzo rzadkię a od lorynetującego podobno bardzo znanęy piękności, gdyby mówię ten klejnot nie był w nim obudził podeyrzeń które sprawdzić postanowił. Ciekawy byłem niezmiernie, iak się skończy ta scena której rozwiązanie było tak bliskie: nadewszystko chciałem widzieć pierwsze spotkanie się obojga. Dama miała tylko kilka kroków przed sobą: zdawało się niepodobieństwem ażeby *on* ięy nie dogonił. — Z tēm wszystkim uszła iednak przed wzrokiem tego nie-

litościwego szpiega. Przeziaki cud zręczności i dowcipu stać się to mogło? *On* wybiegł aż za bramę i pojechał za nią górą ku miastu; *Ona* poboczną furtką umknąwszy spuściła się na dół ku *Łazienkom*.



Nr LXXII. 4 KWIETNIA 1820.

BONIFRATRY.

Ten chce za rozsądnego uchodzić przed światem,
Który dobrze zważywszy, sam iest waryatem.

BOILEAU, Sat. IV.

WOLTER w swoich powątpiewaniach *filozoficznych*, wniósł do rozwiązania myśl czyli nasza ziemia, w systemacie słonecznym nie iest czasem pomiędzy planetami przeznaczona na szpital waryatów.

GORCZYCZEWSKI, w tłumaczeniu satyr *Boała*, powiada:

Wszyscyśmy nienaymędrsi i mimo staranie
Każdy z nas ma mniéy więcéy iaką śmieszłą manię.

Ztę wszystkiem ponieważ jest przyjęto na świecie żeby uważać za waryatów tych tylko których *mania* nie zgadza się z powszechnemi dziwactwami ludzi, i których obłąkanie wchodzić nie może do cyrkulującej massy ogólnych niedorzeczności, mówić będą stosownie do zwyczaju o samych tylko waryatach zamykanych. Ci co chodzą wolno po świecie należą do historyi towarzystw.

Niektórzy *psychologowie* rozumieli iż tylko człowiekowi służy przywilej być waryatem, i że *instykt* zwierząt, pewniejszy od naszego rozumu, utrzymuje te stworzenia daleko bliżej rozsądku; słowem że się bydlęciu nie tak łatwo może w muzgu przewrócić. Twierdzenie to zbite jest nie iednym doświadczeniem, wziętém z historyi czworonożnych zwierząt a nawet i ptaków, którym była dowiedziona waryacya tak dobrze iak komu co siedzi u *Bonifratrów*, i króre musiano aż oddać pod osobny dozór z zabronieniem téy nawet cząstki wolności któręj zwykle używają zwierzęta.

Trudną zaiste jest rzeczą do wytlómaczenia dla czego pospolicie więcey ubole-

wamy nad waryatem niżeli nad osobą która cierpi *podagrę*, *chiragrę* lub *scyatykę*. To pewna, że na widok szaleńca który drze na sobie odzież, ciska się po ziemi która mu służy za łożę, i który szarpie własne ciało dopóty aż póki go siły nie opuszczą, dusza nayobojętniejszego człowieka cierpieć musi; ale przy naywiększym uczuciu litości możemyż smucić się nad nieszkodliwą manią, która nie oznacza żadney fizyczney dolegliwości? Nie żałujemy losu głupca, czemużbyśmy się mieli rozrzewniać nad przeznaczeniem waryata? Ten który myśli że iest OYCEM PRZEDWIECZNYM, iest że bardziéy chory od tego któremu się zdaie że iest CYCERONEM? Cała różnica że piérwszy zamknięty w klatce *perorue* do ścian, drugi rozprawia gdzie w Akademii albo w towarzystwie iakiem uczoném i nudzi publiczność, dlatego tylko że go ieszcze w szpitalu nie osadzono.

Mnie się tak wydaie, że abyśmy tylko chcieli sprawiedliwość oddać waryatom, im się nie litość ale szacunek należy; oni powinni mieć piérwsze miejsce przed głupcami. Nie tak łatwo zostać można

waryatem i nie każdy nim jest kto chce: trzeba na to pewnego zapasu. Utrata rozumu dowodzi przynajmniej że *pacyent* był kiedyś w posiadaniu tego daru Nieba; waryacya jest to bankructwo które się tylko może przytrafić ludziom bogatym; *nie-dolęga*, prosty i bezwarunkowy nigdy nie zbankrutuje; od urodzenia nie mając rozumu cóż on mógł kiedy utracić? Słowem nie wszyscy ludzie są tak zdolni ażeby byli nawet dobrimi waryatami.

Położyłem umyślnie te kilka słusznych uwag dla objaśnienia przypadku pewnego *FAKIRA*, którego historia znajduje się opisana w zbiorze powieści mędrca *SAADI*.

Pewny *Fakir*, nazwiskiem *MELIK*, sprowadzony był na dwór *SZERIVANA Szacha*. Monarcha wezwał go, jako Doktora do leczenia waryatów, którą to sztukę *Melik* w wysokim stopniu posiadał. *Szerivan*, chcąc się naocznie przekonać o jego talencie, wydał rozkaz przystawienia mu kilku waryatów, z pomiędzy najgorszych. Tymczasem zaś nim nadeszli, zaproszono doktora do sali audyencyonalnej, gdzie miał oczekiwać na przybycie Xiążęcia i gdzie już kilku zna-

komitych dworzan zebrało się również w oczekiwaniu Monarchy. Fakir wchodzi z temi osobami w rozmowę, notuje sobie ich odpowiedzi, zbiera rozmaite zdarzenia z ich życia, i czyni nad nimi uwagi: a skoro już postrzegł że się SULTAN przybliżał, schyla trzy razy przed nim głowę aż do ziemi i tak do Króla Królów przemawia. — «Słońce sprawiedliwości! Te kilka chwil które przepędziłem z waryatami, sprowadzonemi tu na twoje rozkazy, przekonały mię dostatecznie o naturze ich słabości i jeśli pozwolisz abym leczył tych ludzi (skazując na dworzan z którymi rozmawiał) gotów jestem uczynić próbę... Na te słowa Sultana nie mógł się wstrzymać od gniewu, bo widział że Fakir brał za waryatów pierwszych urzędników jego pałacu; lecz pobożny *samotnik* przybliżając się do Tronu z uczuciem największej pokory, rzekł dalej: *Xiąże! pamiętaj na ten przepis ZOROASTRA: Człowiek, który czyni bez zastanowienia, podobnym jest do nierozumnego stworzenia i nie będzie nigdy widział światła niebieskiego. Racz mię posłuchać a przekonasz się czy jestem tym człowiekiem*

którego *Zoroaster* potępia. — Powołałeś mię do siebie abym leczył waryatów. Oto stoi nayprzód obok Tronu twoiego ten stary. Jego drżąca i słaba ręka za ledwie może unieść miecz którym się uzbroiła na twoię obronę. Już lat dwadzieścia minęło iak godzina iego oddalenia się wybiła dla niego. Ma znaczny majątek i piękny pałac nad brzegiem Eufratu: mógłby swobodnie żyć w ustroniu. Tymczasem woli zgiełk i przekłada znoie życia stołecznego nad powaby wieyskiéy spokojności, a to wszystko iak sam wyznaie czyni dlatego ażeby się mógł pochłubić u dworu znaczeniem którego Mu ty odmawiasz. Ten człowiek, nie walam się tego powtórzyć, iest waryat.»

«Tamten (skazuiąc na wyschłego i wysokiego mężczyznę) iest twóy nadworny uczony, naybiegleyszy iak mówią w całym państwie *Erudyt* i który bierze za to na rok tysiąc kies od ciebie. Jak sądzisz, wspaniały Sultanie, że ten mędrzec używa twoich dobrodzieystw? Oto zamiast nauki swoje stosować do pomyślności twoiego kraju, przez wpływ iakiby mieć mogły na kunszt, handel i rękodziela, uwiadamia ka-

żdego kto go chce słuchoać, iacy są ludzie na xiężycu, które zwierzęta widziano przed potopem na wyspie *Teneryffie* i z iakiego metalu był miecz *SKANDRA* (*Alexandra*). — Powiedz sam co trzymać należy o podobnym uczonym który tak pięknie obraca swój czas, swój geniusz i twoie pieniądze?»

«Mamże, mówił dalej *Fakir*, położyć między rozumnymi tego *Huke-Bedar* który się ma za naydostoiniejszego męża w *Narodzie* z powodu że ród iego posiada od czterech wieków przywiléy zapalania tobie faiek? I który, iak mi to oświadczył, ma ciebie prosić abyś mu dał pierwszeństwo i umieścił go na liście przed *Generałami* obrońcami kraiu i *Ministrami* wykonawcami twoiéy sprawiedliwości?»

«Czyliżbym naprzykład ieszcze nie był sam waryatem, gdybym nie postrzegł iak wiele ucierpiał rozum tego otyłego *oficyalisty*, który nie ma brody, a któremu *Wasa Wielkość* powierzyłéś dozór twoiego *se-raiu*? Mógłżeby kto inny iak waryat, będąc tém czem on iest, myśleć i mówić o kobietach, *Eunukach* i *Haremie* który za-

łożył dla siebie samego, ażeby Waszą Wielkość naśladować?»

Tu Fakir zatrzymał się na chwilę a *Szach* uznał za rzecz przyzwoitą na tém przestać; i nie wymagał dalszego usprawiedliwienia się Melika. Widział bowiem prawdę w dowcipney Satyrze i chciał Doktora przy sobie zatrzymać. Lecz Melik daleki od próżności i dumy, podziękował za wszystkie dobrodzieystwa Monarchy, prosząc tylko o to iedynie aby mu wolno było nazywać *Szacha* najmędrszym z ludzi dlatego że się za prawdę nie gniewał.

Ale tak rozmawiając o Fakirze zapomniałem czytelnikowi wyrazić powodu który mi nastręczył sposobność rozbierania przedmiotu o waryatach. Jeden z moich znaiomych pisał do mnie list ze wsi ażeby mu się wywiedzieć o warunkach potrzebnych dla umieszczenia w szpitalu Braci Miłosierdzia pewnego z kuzynów którego los mocno go obchodził. Jak się mogłem domyśleć, naywięcący szło moiemu znaiomemu o to, ażeby braciszek stryieczny nie utracił zupełnie majątku, ile że był bezdzietny: chciał się więc zapewnić, co do tego tak

ważnego przedmiotu i to była przyczyna całej jego troskliwości o zdrowie krewnego. Okoliczność ta dawała mi sposób poznać zbliska Instytut Braci Miłosierdzia o którym zawsze słyszałem wiele dobrego: obrawszy więc sobie dzień pogodny pojechałem odwiedzić tych dobrych Braci.

Za Teatrem jest uliczka *Nowiniarska*, sławna z błota (*) za którą na lewo cokolwiek idzie w tym samym kierunku *Bonifraterska*. Tam stoi, obok małej lecz dosyć gustownie zbudowanej Świątyni Pańskiej, Szpital Waryatów. Uspasabia do uczuć litości każdego wchodzącego położony z pisma *S.* na kościele napis: *Błogostawiony który ma miłosierdzie nad niešťczęśliwemi a Bóg w złey chwili nie opuści go.* Podwaja to wrażenie historya SAMARYTANA, obraz *Płersza* zawieszony nad drzwiami głównego wnyścia, iako godło Szpitala. Wchodząc w te ponure korytarze pomyślałem sobie na świętą przysięgę Braci

(*) Teraz osiadła przez żydów ale przecie wybrukowana.

Miłosierdzia, którzy się zobowiązują, czyniąc śluby, usługiwać chorym tak nieprzyjemnym aż do śmierci. Religia, która sama nakłania (bo iakież widoki światowe mogłyby tych zakonników pobudzać) do poświęcenia się tak nieograniczonego, i która, iak to już mówiłem o siostrach miłosierdzia, wznieca podobny heroizm w ludziach, jest prawdziwie Boską religią, czyli wiarą Boga prawdziwego! I ona też jedyna zdolna jest nagrodzić tyle cnót które zdają się być nie z tej ziemi ale z Nieba raczej wzięte!

Przeor, którego zastałem w ogrodzie, przyjął mię nader uprzejmie i oprócz żądanych objaśnień, udzielił mi także krótkiey wiadomości o początku i założycielach szpitala. Nieiaki Uleyski ufundował najpierwszy klasztor Braci Miłosierdzia w Warszawie na Lesznie. Szczupłe były ich dochody i przez długi przeciąg czasu żyli raczej z jałmużny, aż póki Bóg nie natchnął dobroczynney familii *Morsztynów*, która uposażając hojnie Instytut, przeniosła Bonifratrów w tę stronę miasta gdzie dziś znajduje się ogród Saski. Król Au-

gust II rozszerzając przyległości Saskiego Pałacu, dał Braciom Miłosierdzia znaczną summę pieniędzy, która im pozwoliła raz jeszcze przenieść się i urządzić wygodnie w tem miejscu w którym dziś zostają. Najwięcący jednak przyłożył się do stałego uposażenia i zabezpieczenia potrzeb tego Instytutu dom CZARTORYSKICH. Ze szczodrobliwości domu tego wystawiono cały gmach po prawej ręce kościoła, opatrzone aptekę w pierwsze zakłady i wszelkie zapasy lekarstw, ustanowiono kilka łóżek *etato- wych* ze wszelką pościelą i potrzebnymi wygodami, iako to: łazienką i *infirmarią*. Tak więc ród Xiążąt Czartoryskich, który tyłu światłym mężom udzielał swojej rady i opieki, przychodził także w pomoc i ludziom obłąkanym; wspierał zarówno uczonych iako i waryatów.

Szpital Braci Miłosierdzia zostaje teraz pod opieką Rządu, i przy dobrym porządku który panuje w tym instytucie, nie lęka się doświadczać wielkiego niedostatku.

Powszechny sposób leczenia waryatów, czyli *specificum kuracyi* jest dyetą i spoczynek: przytém łagodne obchodzenie się

Bracia Miłosierdzia są dalecy od tych gwałtownych środków, używanych gdzieindziej, które zdrowych nawet ludzi mogłyby waryatami porobić. Szaleni nawet doznają powolnego nad sobą dozoru: odięta im jest tylko sposobność szkodzenia.

Słabość waryatów pochodzi najczęściej z dwóch głównych przyczyn, ze zbyt nie rozpalony czyli romantyczny imaginacyi, i z rozwolnienia iakięj złey namiętności: przypadki fizyczne, iako to uderzenia, stłuczenia, przewrócenie muzgu, wstrząśnienie głowy, składają bardzo małą ilość w porównaniu z tamtymi. Dlatego téż, oprócz nie wielu mocnięj działających lekarstw, używane są naywięcéj takie w instytucie które mają wpływ na moralne usposobienie duszy.

Przełożony zaprowadził mię do chorych: zastaliśmy wpiérwszý sali kilkunastu tych nieszczęśliwych, *sumopas* chodzących. — «Nie lę kay się Pan, mówi zakonnik, tu są waryaty którzy cierpią *intervalla*: mają zatem swoje chwile przytomne i właśnie teraz zostają wszyscy przy rozumie.» — Wesołe ich uśmiechy, radość okazana przez nich na widok zakonnika, podawanie mu

rak na znak przyjaźni, te były niezbite dowody że bracia miłosierdzia są prawdziwymi opiekunami tych nieszczęśliwych istot. Wtem uderzyła godzina czwarta: przyniesiono im zupę. — To jest ich *kolacya*, mówi przełożony. — Waryaty, pomyślałem sobie, ieść wieczerzę wtenczas kiedy piękny świat zaledwie do obiadu zasiadł. Zakonnik wytłómaczył mi iż potrzeba rychłego spoczynku doradzała ten wczesny posiłek: są iednak, dodał, *convalescenci* którzy iadają o szóstey.

Przeszliśmy potém na mały korytarz, na którym znaydowali się w osobnych przegrodach, kratami żelaznymi opatrzonych, waryaci w ostatnim stopniu szaleństwa będący. Straszliwe wycie dało nam się słyszeć na samo zbliżenie się nasze do tych iam okropnych. Stałem przecięty boleścią na widok iednego z tych nieszczęśliwych, którego gorzki i rozpaczający uśmiech wystawiał nam naysmutniejszy obraz cierpiący natury. — Ten człowiek, mówi zakonnik, był kiedyś w dobrym bycie; lecz natura nie dała mu najlepszego serca. W młodości swojey popełnił wiele występków z których się

późnięć śmiał ieszcze wynosić. Dostawszy pomieszania zmysłów ze złości i nie mogąc już więcéy źle czynić bliźniemu, wywiera teraz na sobie samym całą zaciętość przewrotnego charakteru swojego. Oddaliliśmy się czempędzëy od tego szkodnika który nam dał na odchodnem to przyziacielskie zapewnienie: « *Poczekajcie łotry! iuz ia was wszystkich ze skóry obedrę!* »

Udaliśmy się na inny korytarz, do waryatów których *manie* będąc weselsze, składały nieiako wydział komiczny. Jeden z nich domawiał zawsze iakieś niezrozumiałe słowa, *loki, breloki! loki, breloki!* Rzecz iest taka, mówi zakonnik, ten człowiek iak Pan widzisz dostał brzydką twarz; ale trzeba wiedzieć iż był bardzo bogatym. Ożenił się z piękną lecz ubogą panienką. Osoba ta dawała mu częste powody do zazdrości do której był skłonnym z przyrodzenia. Miał, a raczëy zdawało mu się że miał *rywala* (bo nie trzeba sądzić o nikim) młodego człowieka którego natura ozdobiła wszelkimi wdziękami, prócz włosów których nie wiele dostał na głowę i był przymuszony z tego powodu zapelniać próżne mieysca fał-

szywemi lokami. Nie wiem iakim sposobem ten podeyrzliwy mąż dostał do rąk ów *instrument* nieszczęścia swojego, to iest *lok* rywala; dosyć że od tego czasu zdawało mu się że piekło było na iego głowie: i zazdrość doszła w nim do takiego stopnia, że zwaryowawszy powtarza po całych dniach *loki! loki!* na samo wspomnienie kobiety.

Ledwie Przełożony skończył te słowa, dał nam się słyszeć z klatki pobliskiéy głosno ten wyraz: *attendez!* — To iest gracz, mówi mi zakonnik, któremu się zdaie że siedzi u stolika i gra w karty. Wierny ten sługa Króla Faraona był dosyć długo szczęśliwym w natassowaniu i zebrał znaczny majątek; lecz razu iednego *trafiła* iak mówi przysłowie *kosa na kamień*: znalazł lepszego od siebie. Zgrał się do szeląga, i ieszcze go osadzono za to w policyi. Te dwa ciosy dobiły iego słaby rozum; przewróciło mu się w głowie i zawsze teraz mniema że widzi przed sobą owego szulera który go oszwabił i nie przestaie wołać *va-banque!* iak gdyby ieszcze miał co w banku.

Na drugiéy stronie kórytarza postrzegliśmy człowieka któremu gwałtem wkładano

gorset druciany, wiążący mu ręce. — Przełożony nauczył mię że ta ostrożność była potrzebną dla tego iż waryat dawał różne obrywki dozorcóm. Był to poeta który w młodości swoiéy lubił pisać *paszkwile*. To rzemiosło nie iest bez przypadków: ludzie którzy się gniewaią nie zawsze patrzą co maia w ręku. W iedném spotkaniu głowa poety uderzyła o kiy przeciwnika, i straciła zmysły. Odtąd iak zwaryował odmienił zupełnie charakter: nie pisze więcéy przeciw nikomu aleby chciał bić każdego.

A tenże drugi, zapytałem się, co siedzi obok i patrzy wgórę czy także poeta? — I iaki ieszcze, odpowiedział zakonnik, bo romantyk. Pierwsza księga którą w życiu czytał byli Zbóycy *Szyllera*. Odtąd zapaliła mu się głowa. Marzył same okropności, widma, rozboie, duchy, upiory i diabły. Kilkaset bezsennych nocy, strawionych przy ponczu, w którym szukał *natchnienia*, przewrociły do reszty iego móźgownicę. W tej chwili powstaie na wiek Ludwika XIV. — Zdaie mu się że *Rasyn* nie był poetą, że w wieku tym sławnym nie widziano ani iednego wielkiego człowieka, że wszyscy po-

eci którzy rymy składali byli wierszoklety! I że prawdziwa poezya jest ta w której nie ma zdrowego rozsądku!

Jeżeli ten człowiek nie ma innéj waryacyi, odpowiedziałem zakonnikowi, to bardzo nie-słusznie że go zamknęliście. Tysiące ludzi którzy tak myślą i tak mówią iak on, chodzi wolno po świecie i nie widzę dla czego by iego tylko iednego miano karać za wszystkich? — To prawda, rzecze zakonnik, ale ten waryat ma ieszcze i drugi talent, to jest że lubi wydrapywać oczy każdemu który mu powie że klassycy mają więcéy rozumu od romantyków. — Kiedy tak, odpowiedziałem, niechże siedzi póki nie przestanie być romantykiem. — Co zapewne nigdy nie nastąpi, rzecze Przełożony.

Zapytałem się naówezas czyli kobiet nie było w tym Szpitalu? — Waryatki, odpowiedział duchowny, są u *Dzieciątka-Jezus*; lecz mamy tu waryata który nam przypomina dosyć nie źle słabości niewiast. Zdaie mu się że ma lat 30. mniéy niżeli iego wiek wskazuje, uśmiecha się do każdego kogo widzi i rozumie że dosyć jest spojrzeć na niego ażeby się w nim pokochać.

W tłumie tym rozmaitych pacjentów odznaczał się szczególniejszą powagą jeden waryat mający na sobie różne orderowe wstążki. — Jest to człowiek osobliwszy, mówi zakonnik, który ieszcze w tenczas gdy uchodził za rozumnego, myślał że dusza człowieka ma swoje siedlisko w pięcie i że tanciec, w którym celował, ze wszystkich przymiotów naywięcéy zbliżał nas do Bóstwa. Teraz gdy jest waryatem zdaie mu się że został Posłem Wielkiego Mogoła. Ubrany w gwiazdy i ozdoby rozmaitych krajów rozplywa się nad tą uroioną wielkością i daie co dzień w swojej klatce posłuchanie publiczne, z powagą dosyc zabawną, która nie jest bez wzoru na wielkim świecie. Nie staramy się nawet uleczyć go: cóżby zyskał howiem na tém? Nie jest iuż w wieku ażeby mógł skakać, a powrót do zdrowia pozbawiłby go Poselstwa.

Mnóstwo ludzi ze wszystkich stron nadchodzących zaczęło napełniać korytarze. Zapytałem się duchownego, co to byli za iedni: spodziewam się, rzekłem, że to nie są waryaty? — Owszem przeciwnie odpowiedział zakonnik, to jest publiczność która przychodzi

odwiedzać nasz szpital. Jest bowiem dziś odpust u nas czyli *Emmaus*, święto tak popularne na Bonifraterskiej ulicy iak są Bielany u Kamedułów w czasie Świąt zielonych.

Zadałem sobie niesłychaną pracę żeby wyjść z tego tłoku: tysiące powozów, doroszek otaczało już instytut. Powiększały tę ciżbę baby z ciastkami, przekupnie z orzechami, ludzie pijani idący piechotą, i młodzież ochocza iadąca na koniach.

Była może godzina szósta gdym się z tego tłumu wydostał: resztę wieczora przepędziłem w liczném zgromadzeniu osób czyniąc dalsze uwagi nad waryatami, nie postrzegłszy tego nawet że to już nie było u *Bonifraków*.



Nr LXXIII. 9 MAJA 1820.

ODPUST W WOLI.

Decipimur specie recti.

HORAT. Ars. Poet. V. 25.

Zwodzimy się pozorem przyzwoitości.

OD czasu iak zaczęto rozprzestrzeniać ulice w Warszawie, gust do świeżego powietrza zaiął wszystkie klasy mieszkańców. Za pierwszym znakiem stałéy pogody panowie dziedziczni wyjeżdżają na wieś, ażeby się dowiedzieć czy téż wszystko to prawda co im ekonomowie pisali. Spekulanci wybierają się zachwycić iaką dzierzawkę

w bliskości, gdzieby mogli tracić pieniądze zarobione lekko w mieście stołecznem. Kommissarze ekonomiczni, których podwoda nie kosztuje, wyjeżdżają poprawiać anszlagi porobione z rozstargnieniem przy iakiéy młodéy dzierżawczyney. Na koniec kupcy, adwokaci, a nawet krawcy maiętnieysi, którym ochota dobrego bytu pozwala udawać że są chorzy, iadą do *Karlsbad* lub do *Töplitz*, ażeby się dać nazywać *Gutsbesitzerami*, i przyimować od *Kelnerów* po oberżach tytuły *Euer Excellenzen*.

Nie mając pieniędzy tylko tyle ile potrzeba do stracenia na bruku warszawskim, ani zdrowia i cierpliwości dosyć aby dobra ziemskie posiadać; ograniczam moje spacery wtowarzystwie nayeczęściej tych dobrych mieszczan, którym roztropność poniekąd słuszną radzi zawsze po zachodzie słońca wracać na nocleg do stolicy. W Warszawie, iak po innych wielkich miastach, iest nie mała liczba ludzi którzy nawet w naysmielszych swoich wędrówkach nie obłąkali się nigdy daléy nad sto sążni od okopów. *Rakowiec*, *Raszyn*, są dla nich

kraie zagraniczne; a jeżeli kiedy wyiadą na wieś, to iest do *Koszyk* (*) i widzą pola, łąki, lasy (w ogrodzie Bacciarellego) starają się przynajmniéy, ażeby w tych wiejskich przejażdżkach nie stracić z oczu widoku wieży S. Krzyskiéy, ani kopuły kościoła Ewangelickiego, do którécy zdaie się że iest przywiązane ich szczęście domowe.

Z takimi to dobrimi ludźmi przechodząc się pzeszłego poniedziałku po Lesznie postrzegłem wielką liczbę pojazdów, które wszystkie zawracały ku Orłéy ulicy. Na widok tego nadzwyczajnego ruchu, w godzinie zwłaszcza i mieyscu gdzie nie zawsze piękny świat widzieć można, domyśliłem się iż musi byđz iakaś uroczystość w okolicy: tylko nie mogłem sobie przypomnieć gdzie i na iaką pamiątkę. Jedno wspomnienie przywodzi wkrótce drugie na pamięć: przypomniałem sobie, że Szambelan *Szarmancki* był za czasów Króla Poniatowskiego iednym zdworzan, który nayle-

(*) Koszyki, wieś dziedziczna Hrabi Morskiego leżąca w obwodzie miasta, wewnątrz okopów.

piey wiedział o wszystkich świętach i uroczystościach, iakie gdziekolwiek były lub bydź mogły w obwodzie miasta stołecznego. Wielki ten znawca kalendarza, który razem był i poetą, miał zwyczaj cieszyć się piérwszy (czytając dzieła swoje po domach) z komedyów które sam napisał; a ieżeli zdarzyło się że nikt oprócz niego nie przyszedł na teatr śmiać się z iego sztuki, mawiał zawsze że temu przeszkodą był odpust w Czerniakowie, albo iarmark w Rokitnie, albo nareszcie iakie święto na Biełanach. Order <S. Stanisława, którym go zaszczycono na *instancyą* kobiet, przypomniał mi że to był dzień właśnie S. Stanisława, obchodzony niegdyś u dworu z największą okazałością, a który może był powodem tego nadzwyczajnego ruchu pojazdów. Chcąc się lepiéy o tém przekonać przywołałem doroszkacza. — A co iedziemy? pyta się. — Jedziemy! — A gdzie Pan każe, czy nie do Woli? — Jedź za temi powozami. — A to do Woli Panie, na odpust; przytém rocznica poświęcenia kościoła; Święto *duże*, i państwa *ogniście* wiele. Jużem tam powiozł dwóch kawalerów i dwie panny,

potem iednego kawalera i iedną pannę... —
Dobrze, iuż dobrze, iedź tylko, odpowie-
działem.

Widok ulicy Elektoralněj a wkrótce i
pola elektoralnego, dą którego przywiązuia
się naysławnieysze pamiątki w historyi pol-
skiěj, zwrócił myśl moję po raz drugi do
czasów przeszłości. To nie żart iakim
starym bydź musi kto iak ia pamięta *Ele-
kcyą* Stanisława Augusta pod Wolą, osta-
tniego Króla obranego według dawnych
zwyczajów narodu polskiego. Szczegóły
tego ważnego zdarzenia mocniěj są w mo-
iěj pamięci ugruntowane niżeli wypadki na
które wczora patrzałem. Zdaie mi się że
ieszcze widzę przed sobą owe zakryte
szranki, pośród których *Prymas* ŁUBIEŃSKI,
otoczony nie wielką liczbą Senatorów, a
ieszcze mnieyszą rycerstwa konno *assystu-
iącego*, postępował z powagą naywiększego
ceremoniału do wezwania Boga, aby oświe-
cił umysły i natchnął serca zbawienną ie-
dnością. Ziazd szlachty nie był to ten
burzliwy i niepohamowany, iak przy ele-
kcyi Wiśniowieckiego i Augusta II. Głu-
che milczenie panowało na polu; i myślę

że nie można lepiéy odmalować owego czasu iak przytaczając słowa umierającego starca, który był duszą tego wyboru, do Narodu mianę: *«Nie galerya, pełna obrazów przodków, mówił KAYSERLING na pochwałę Stanisława, nie pamiątka nadlziadów stanowi szlachectwo: nikt nie mógł żyć przed nami dla naszej chwały; bo tylko wielka dusza czyni wielkich Ministrów, sławnych ludzi, a nawet samych Królów.....»*

Kiedym tak rozmyślał nad elekcyą Poniatowskiego (*) iadąc do Woli, tymczasem doroszkarz stanął, i ostrzegł mię że daley postąpić nie można dla nacisku ludzi i poiazdów: policya stała wszędzie dla robienia porządku, trzeba się było zatrzymać. Krótka iednak ta chwila poczekania nie była dla mnie straconą. Uważałem że wysiadając każdy z przybyłych mierzył się w godności podług stopnia *ekwipażu*, w którym przyjechał. Ele-

(*) W galeryi Hrabi CHODKIEWICZA iest obraz *Canaletego*, wyobrażający elekcyą Stanisława Augusta; drugi taki znaydował się w Zamku Królewskim w Warszawie, lecz ten ostatni zabrany został do Paryża przez Pana *Denona*.

gancik wyskakując z *faetonu*, rzucał wzrok pogardy na ciężką kolasę która przywiozła całą familią uczciwych kupców; familia uczciwych kupców śmiała się z zaprzęgu wdowy, którey konie zdawały się do kogo innego należeć, a kocz do kogo innego; wdowa skazywała palcem na ładowne bryczki które nazwoziły młynarzy z przedmieścia Marymontskiego: z czego wniosłem że ci, którzy stali skromnie i nikogo palcem nie wytykali, musieli zapewne przyiść piechotą.

Nie byłem, przyznam się, w Woli od roku 1794, to jest od czasu kiedy to miejsce ożywione przepychem i gustem bankierów warszawskich, mogło się nazywać najpiękniejszym przedmieściem stolicy. Kolej zdarzeń wojennych zniszczyła nawet ślady tych wytwornych domków, które dawniey łączyły Wolę z Warszawą: czas nareszcie wydrze je wkrótce i z pamięci żyjących. — Poszedłem najprzód do kościoła, a przed wszystkiem przypatrzyłem się fabryce *votów* i wyobrażeniom świętych, których pobożność wystawia z wosku na wniyściu do domów Bożych. Nie zastałem w Świątyni Pańskiéy nikogo, oprócz pospo-

litego gminu: myśląc że nie trafiłem na godzinę nabożeństwa, zapytałem się iednego z przytomnych o którym czasie piękny świat przyidzie się modlić? Rozśmiał się z moiéy prostoty człowiek odemnie zapytany. WPan staruszkku, mówi mi, musisz byđz zagraniczna osoba. — U nas nie iest w dobrym tonie modlić się; moda, która ma także swoje przepisy wiary, gdzieindziéy w tég chwili poprowadziła świat piękny; i ieżeli WPan chcesz byđz na odpusćcie pięknego świata, nie chodźże do kościoła ale idź do ogrodu.

Usłuchałem rady moiego przewodnika. Ogród Wolski nosi na sobie niektóre ślady dawnéy okazałości: podobny do człowieka, który kiedyś był w dobrym bycie, i na którym nieszczęście nie zatarło cechy lepszego wychowania, w samym upadku swoim przypomina że ieszcze byđz może czemśei, aby mu tylko los pomyślniejszy zaświecił. — W wielkiéy alei był niezmierny tłok ludzi: widziałem zebrane próbki wszystkich klass ludności Warszawskiéy: połowa przechodziła się *ceremonialnie*, zaglądając w oczy drugiéy; druga, biorąc się do czegoś grun-

towniejszego, zazierała w talerze i kufle które wszędzie roznoszono. Na widok tych *kalteszanów*, i tych *butersznytów* któremi stoliki hoynie zostały pokryte, pomyślałem sobie że naytrwalsze *kluby*, nayściślejsze *koteryie*, iakie były kiedy i będą na świecie między ludźmi są te, które mają za przedmiot iedzenie i picie. Nic tak nie łączy, nie spaja ludzi w ieden węzeł, iak żołądek. — Inna uwaga, co nie tyle może pospolitą chociaż równie prawdziwą wydawać się będzie, iest ta która się tycze zarozumiałości i tonu dzisiay przyiętego: uważaiąc pyszne miny niektórych osób przedemną defiluiących, przypomniałem sobie mimowolnie owe słowa z komedyi *Zmyślone Niewiniątko*: że każdy pisarek z bióra tak szumnie teraz paradiue iak Pułkownik, a każdą żonę adwokata możnaby wziąć za Prezesową.

Przeszedłszy się kilka razy po szpalerach uczułem że nogi moje potrzebowały odpoczynku; co widząc iakaś panienska, dosyć przystoyna, mówi mi: W Pan Dobrodziéy pozwól sobie weyść do tego domu, a tam zapewne znajdzie się ieszcze iedno miejsce dla niego. Była to, iak mi mówiono, Pan-

na *Radix*, córka właściciela kawiarni. — Wchodzę: co za ludność! iaki ruch, iakie życie! Kilkadziesiąt osób cisnęło się w trzech pokojach dla znalezienia miejsca. Dziewczęta pokoiowe nie wiedziały kogo słuchać: ten woła o chłodniki, tamten prosi o co rozgrzewającego; Niemiec porywa tacę czaiu który był przeznaczony dla Kommissyонера, a elegantce, która prosiła o filiżankę lodów, dają szklankę ponczu za którą wzdychał Inspektor. Jednakże przytomność i zimna krew, nareszcie niezomordowana czynność gospodyni domu, naprawiała nieustannie te krótkie nieporozumienia gości z ludźmi służącymi. Chcąc się przyłożyć do odbytu miejsca, kazałem sobie dać porcyą kawy. Sama Panna *Radix* wzięła na siebie nasmarować mi bułeczkę. Mamunia (Pani *Radix*) dozierała śmietanki, ażeby się nie nadwarzyła, a starsza córka pilnowała ażeby wszystko było w czystości. Tyle zachodu około iednego człowieka, ta grzeźność dla starca, ta uprzejmość mówię i troskliwość do tego stopnia mię zobowiązały, że gdyby w Polsce, iak za granicą, płaciło się za uprzejmość i troskliwość,

byłbym z największą chęcią cały mój wóreczek dla tych dobrych ludzi wypróżnić.

Tak przepędzając czas na odpuszcie postrzegłem przez okna kawiarni że się zebrała znaczna liczba włościan przed karczmą. Widziałem już iak się bawi piękny świat w Woli, chciałem jeszcze widzieć iak się bawią wieśniacy. Niestłychana ich ciżba nagromadziła się w izbie, w sieni, w koło okien i w bramie: kilku żydów, zachęcających temi słowy, *dobry trunek na frasunek*, roznosili toasty pomiędzy wiejskie chłoptwo, i zaledwie mogli wystarczyć ochocie pragnącego ludu. Mężczyźni, kobiety, dzieci nawet, topili swoje smutki w tych nieszczęśliwych kieliszkach w których najmnieysze złe, iakie znaleźć mogli, była strata w iednéy godzinie owocu krwawéy pracy całego tygodnia. Piianstwo iest wadą w mieście, na wsi iest występkiem. Gdyby była u nas, iak dawniéy w Rzymie, magistratura przełożona nad obyczajami, a chciano mi tymczasowe zastępstwo *Cenzora* powierzyć, pomiędzy innemi przedmiotami ulgi, należnéy włościanom, uwolniłbym ich nayprzód od pańszczyzny kwar-

cianey, czyli od zaciągu na który chodzić muszą do karczmy; korzystałbym z przykładu Wielkopolan, którzy dali sobie słowo, że będzie ostatnim ten z pomiędzy nich który zechce dłużey trzymać żyda na karczynie; a dla tćm pewniejszego skutku moich zamiarów, kazałbym w dni świąteczne wszystkie karcziny pozamykać. Trunek potrzebny włościaninowi, ale przy pracy; potrzebna mu jest i rozrywka, ale nie przy kieliszku. Zamiast upiiania się, za którem idzie utrata zdrowia i rozsądku, obudziłbym w nim szlachetniejszą emulacyą, wyznaczając nagrody dla tych którzyby celowali w iakię zabawie, do którejby potrzeba było zręczności, wprawy i sztuki, to jest iak widzimy po wielkich miastach zabawy dla pospolitego ludu, zaprowadzone od Rządu, w pewne dni uroczyste, a których zagraniczne kraie, iakimi są Niemcy, Szwajcarya i Francya, dostarczają w obfitości wzory wszelkiego rodzaju....

Kiedym tak wmyśli moię reformował nieproszony obyczaje włościan, nagle iednym razem otoczony zostałem od mnóstwa chłopców i dziewcząt którzy zaczęli

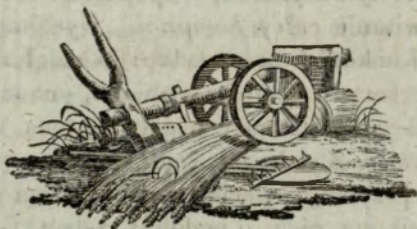
mi krzyczyć nad uszami: *To on, to Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, który nam kupi ciastek i pierniczków! — Nie pomyślałem wcale z kąd mi się wzięła ta sława na prędcę; byłem pierwszy raz w życiu moim w karczmie Wolskiej, gdzie nie znałem nikogo, ani od nikogo nie byłem znany. — Zkądże wy mnie znacie moje dzieci? pytałem się, widząc iż ciżba około mnie zaczynała być coraz większa, a do której przyłączyło się dwie przekupek z ciastkami. — Zkąd my Pana znamy? odpowiadają mi, alboż my to nie wiemy że Pan jesteś *piśmienny* który piszesz co ludzie robią. — W tym wysunęła się mała, a iak na wieśniaczkę dosyć przystoyna dziewczynka: Jak to, mówi mi, Pan nie poznajesz swojej gospodyni? Przecież ja jestem *Pani Sobieradzka*? — Za ten żarcik który mię mocno rozśmieszył, kupiłem małej kilka pierniczków które sobie sama wybrała. Lecz sto dziewcząt obkoczyło mię natychmiast, wołając. *I ja także jestem Pani Sobieradzka! I ja także! I ja także!* tak dalece że wiednym oka mgnięniu oba kosze pełne pierniczków i ciastek

zrabowane zostały w imieniu Pani *Sobieradzkiej* za którą musiałem dług zapłacić.

Jużem był wydał co miałem w woreczku, nie poymuiąc wcale zkąd takowa zdrada, gdy znagła slyszyć śmiechy Państwa *Maxymowiczów* i kilku z ich przyjaciół, którzy wyszli (z zakarczmy gdzie się ukryli) iakem tylko przekupki popłacił. Wesole przywitanie całej *kompanii*, wytłómaczyło mi nakoniec tę zagadkę: widziałem, że sobie żart ze mnie zrobiono, nauczaiąc dzieci wieyskie iaką miały ze mną scenę odegrać. Z radości, żem spotkał moich najlepszych przyjaciół, zapomniałem gniewać się na nich o podobną zabawkę: dawna zażyłość moja z niemi przebaczyła takowéy pustocie: tylko moja дума, która iuż rozumiała że jest znaną nawet pomiędzy ludem wieyskim okolic Warszawy, musiała tym razem poprzestać na małej ale szacznój liczbie zności miejskich pomiędzy którymi przepędzam nie raz chwile tak miłe i wesole.

Noc się zbliżała: zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na piękną równinę

która się ku *Górcom* rozciąga. Pani Maxymowiczowa wzięła mię do swego koczka: wróciliśmy do Warszawy, wprzód jednak zakupiwszy na wsi kilka piszczałek które mi dzieci bawiły się przez resztę wieczora.



Nr LXXIV. 6 CZERWCA 1820.

KORRESPONDENCYA.

Quis funem quem meruere dabit ?

Kto da chłostę na która zasłużyli ?

I.

Z HOTELU WILEŃSKIEGO.

U TRZYMUIĄ powszechnie, Mości Pustelniku,
że wielkich ludzi tworzą okoliczności. Bydź
to może: nie spieram się o to bynajmniej;

Tom IV.

13

lecz myślę iż okoliczności dają nam także poznać wiele rzeczy którycheśmy nie znali. I tak ja, Mości Pustelniku, iestem parafianin i nie znałem Warszawy. Siedząc spokojnie na wsi nie myślałem nigdy robić dalekich podróży i byłbym może nie widział stolicy Królestwa Polskiego, gdyby nie pewna okoliczność, to iest sprawa w Sądzie appellacyjnym. Nie wystawisz sobie W Pan, ile mi było przykro z początku mieć process w Warszawie: nie znałem nikogo, i nie mogłem się przyzwyczaić chodzić po tych waszych ostrych kamykach. Lecz wreszcie są i na bruku pociechy, Mości Pustelniku: nauczono mię że się mogę dobrze bawić w Warszawie nim zapadnie wyrok, to iest nim sprawę wygram: i dla tego téż bawię się iak można naylepiéy w oczekiwaniu tego pomyslnego wypadku. Przedziwne téż to miasto do wszystkiego ta Warszawa! U restauratorów dają wszystko *na kartę*, co się nie ma znaćzyć pożyczanym sposobem, na oblig, ale mogę sobie wybierać z karty iak z książki iedzenie które mi się podoba. Na wsi chcąc się ochłodzić musiałem stawiać kazać lodownie, sprowadzać machiny; tu za złoty stu

cukierników gotowi są dać mi to czego potrzebuję, bez żadnych zachodów. Znudzą mię naprzykład drzewa prawdziwe? Idę w teatr, i widzę malowane lasy. To samo mówić mogę o twarzach których tu jest wszędzie pełno rumianych, nawet u kobiet podeszłych. Słowem, przewyborne miasto! I człowiek zasmakowawszy w niém chciałby mieć nie jedną ale sto sprawek w Sądzie appellacyinym.

Zachodzi przecieź pewna okoliczność która mi się wydaie nie bardzo przyjemną w Warszawie, to jest że trzeba ustawicznie u was rękę trzymać w kieszeni. Pieniądze lecą tu iak szalone, i obawiam się aby moje pociechy nie przeszły tak prędko iak moja kassa, która iuż prawie kona.

Wprawdzie ia to rozumiem, że chciawszy przyjemnie żyć, trzeba téż i przyjemnie płacić, i że nic darmo, osobliwie w Warszawie; ale jednak są pewne rzeczy które się w niczém do przyjemności naszego życia nie przykładają a jednak wiele kosztują. Nayprzód, chcąc moim ludziom ułatwić poznanie Warszawy, przyjąłem *Lenlokaia*. Wyborny człowiek! mówi wszystkiemi językami, zna wszystkie ulice, domy

i osoby znakomitsze i zrobi sam jeden w godzinie to czego by wszyscy moi służący nie zrobili w tygodniu. Ale cóż kiedy ma iedną brzydką wadę, to jest że straszny *marnotrawca*. Ani w mennicy nie biał tak prędko pieniędzy iak on ie topi w swoich ręku. Wprawdzie czynię co mogę ażeby w nim uśmierzyć ten zapal do wydatków; lecz on mi dowodzi że wszystkie moje *expensa* są potrzebne, że obywatel ze wsi nie powinien tak żyć iak żyje bióralista albo iaki kalkulator: nareszcie tak mi się zawsze ślicznie wyrachuje, iego registryk napisany jest zawsze na tak pięknym welinowym papierze, że w końcu przyimuię wszystko co mi tylko podaie.

Inny rodzaj wydatków, na który najmniéy rachowałem, są moje znaomości. Mówią że kto przyiaciela znajdzie, ten skarb znajdzie. Ja znalazłem wiele takich skarbów i więcéy niżeli się spodziewałem w Warszawie; ale nie wiem w czém te kleynoty mogą mié bogatszym uczynić. Jeden z nich zwierzył mi się w poufałości serca, że miał znaczny majątek, i chociażem mu wierzył na słowo,

okazał mi dwa dekreta, zapadłe w ostatniéj Instancyi, którym nie dostawało tylko wykonania: to wszystko uczynił w celu żeby mię wziąć na stronę i prosić o pożyczenie kilku dukatów na koszt wykonania dekretów i zapłacenia komornika. Drugi, jeżeli mu mam wierzyć, jest mój brat cioteczny i niezmiernie się z tego wynosi że do naszéj familii należy: ale że jest przytem, iak mówi, dumny i nie chce się wdawać z nikim obcym, udaie się więc zawsze prosto do mnie to jest do moiéj szkatuły. Najlepszym iednak z tych wszystkich, którzy mię otaczają, jest pewny rodzaj *eleganta*, któregooby można bezpiecznie nazwać *faktorem* wszystkich potrzebnych. To pewna że nigdy za sobą nie prosi, ale iednak zawsze wyciąga mi pieniądze z kieszeni. To iakaś uboga artystka, dla której, mówi, trzeba wziąć łożę na koncert; to znowu iakiś do wyciągnięcia w pierwszój loteryi liczbowój bilet na fortepian, wiedeńskiéj roboty, albo na koleczyki który mi gwałtem wciska w ręce. To jeszcze iakaś prenumerata na pismo peryodyczne które może nigdy nie

wyidzie; to znowu dzieło które mnie samemu autor z iego naypodobniéy namowy *dedykował*, a za które muszę cztery razy tyle zapłacić ilebym dał za nie u księgarza, przypuszczając żeby warto było go kupić. Nareszcie wczoray przyniósł mi iakiś *systemat*, na mocy którego, kiedy cały kraj będzie płakał na niską cenę zboża, ia się będąc śmiał bylebym tylko na moje dobra dług zaciągnął. Dziewięć złotych dać musiałem za exemplarz tego *systematu*.

Mości Pustelniku! W Pan który mi się zdajesz mieć gruntowną znościomość świata i iego obyczajów, choć tylko mianujesz się Pustelnikiem, chciéy mię nauczyć, iak dalece wypada ażebym ia się wdawał z temi ludźmi; i powiedz o ile szlachcic, który ma do domu daleko, i który ieszcze nie iest pewny czy nie przegra processu i nie będzie musiał zapłacić kosztów sądowych, powinien zważać na ten rój obsiadających go osób, bez ubliżenia uczuciom które winien iest przyzwitości, względem iakie ma zachować dla siebie samego i nareszcie prawom gościnności

które były zawsze uważane za klejnot herbowny rodu Domatorów.

Jestem z prawdziwym szacunkiem etc.

JERZY DOMATOR RYMGIEYŁO.

II.

MOŚCI PUSTELNIKU!

Jeżeli W Pan byłeś kiedy Sędzią albo kiedy na sądach będziesz znał moje imię i przeczwoisko: znajduie się bowiem zapisane na wszystkich wokandach we wszystkich izbach ustępowych. Nie chwając się ale ia utrzymię istotnie sądy w ciągłej czynności; bezemnie nie miałby Trybunał czasem co robić: ia to sprawiam że się Sędziowie muszą wcześniéy zieźdźać na sessyą; dla mnie wreszcie w czasie *feriów* jest postanowiony ieden wydział który pilnieysze sprawy rozsądza. — Lecz kto tyle sprawiedliwość zatrudnia, kto ma tyle spraw co ia, nie dziwnego że też

czasem process przegra. Ołóż właśnie w takim położeniu znajduję się teraz, i z tego powodu przymuszony jestem pisać do W Pana.

Nazywam się, a raczém ściśle mówiąc nazywają mię *Dłużnickin*. Była dosyć długo wielka i zacięta sprzeczka w *heraldyce* żeby wiedzieć czy Dłużnicy pochodzą od tego że wiele długów narobili, lub czyli też dlatego narobili wiele długów że się Dłużnickimi zowią. Cóżkolwiek bądź jest o *procedencyi* moich przodków, to tylko pewna, że co do mnie, moim ulubionem rzemiosłem było od dzieciństwa długi robić. Ja się przyznam że nigdy nie miałem tego fałszywego wstydu żeby nie pożyczać i nie wzdrygałem się, ile razy mogłem, podpisać obligu. Dla tego też, na dobry czas, kiedy jest popłata zboża i więcéy pieniędzy krąży między ludźmi, zrobić zwykle dziesięć do dwunastu tysięcy rocznego długu.

Chcąc W Panu dać wyobrażenie moiego talentu, muszę ci powiedzieć, (daruy mi bo sam nie mogę wstrzymać się od śmiechu) pożyczyłem od iednego żyda, znayostrożniejszych iaki tylko byđź może między

kahalnemi, 700 złotych na *fant* który nie wart był złotych siedmiudziesiąt; zrzekając się do tegoż fantu wszelkich praw mi służących, na przypadek niewykupienia go na terminie. Ale też to była chwila moiego tryumfu; czułem, oszukując żyda, w sobie cały geniusz Dłużnickich; prawdziwa krew moich przodków płynęła wtenczas we mnie, zwyciężyłem jednego z największych filutów, słowem Prezesa lichwiarzów i dostąpiłem doskonałości idealnéj w moim rodzaju.

Lecz iak to mówią i największy wojownik musi przegrać bitwę kiedy go szczęście odstąpi. W roku bieżącym spotkał mię okropny *feralis*: wszyscy moi wierzyciele tak mi się pokurczyli, że tam skąd dawniey miałem nayszybsze źródło dochodu, dziś nie mogę grosza wycisnąć. Jeszczeby to wreszcie niczem było gdyby to było wszystko: *witam cię nieszczęście jeśli samo przychodzisz*, mówi przysłowie: lecz wystaw sobie WPan, pozwany zostałem od jednego z tych ludzi kłótliwych, który bez względu na krytyczne czasy i na *moratorium*, nie wstydił się *pieniąc* mię o swoją należytość.

Wprawdzie zapewniłem go w rewersie że mu oddam niezawodnie na S. Jan roku tego który już upłynął; lecz potrzeba ażebyś WPan wiedział, iż podpisując ten rewers zrobiłem w duchu *restrykcyą* iż mu oddam wtenczas iak będę miał pieniądze: a zatem prawdziwy termin ieszcze nie nadszedł dla niego i powinien był poczekać. Żeby więc zemścić się nad nim i ukarać go za iego złość, zrobiłem mu wszystkie prawne *excepcye* iakie mi tylko przyszły do głowy; korzystałem iak mogłem z procedury; wodziłem go więcęcy niż sześć miesięcy to od Podśędka do Trybunału, to od Trybunału do Podśędka: lecz nareszcie od słowa do słowa, od wyroku do wyroku, przyszło do tego że mi *przyaresztowano* cały mój majątek ruchomy i nieruchomy, a raczëy pierwszy wyłącznie, bo drugiego już oddawna przecie się pozbyłem.

Tak więc zacząłem nową wojnę z Komornikiem. Moie stare graty nie były wprawdzie tego warte, i widzi Bóg że mi nie szło o te kilka sprzętów, ale ia od młodości moięy miałem zawsze tę szlachetną *ambicyą* żeby na swoim postawić, i z tego powo-

du ukryłem pod cudzém imieniem *obiekt* *execucyi*. Jeden z dobrych przyjaciół dał mi się użyć do téj sprawy i pożyczył łaskawie swojego imienia. Dla większój pewności (przyjaciel bowiem mój nie chciał się sądowi naprzykrzać na słowo) zrobiliśmy kontrakcik *antydatowany*, to jest przydaliśmy mu wieku. Tak uzbroiony w drogą sercu iego formalność uczynił *oppozycją* *trzeciego*: wierzyciel przerażony chciał się ze mną układać, ja *tryumfowałem*. W tém nową *fatalność*: niedołęga fabrykant papieru na którym spisaliśmy akt, wydrukował niewiedzieć na co, na arkuszu rok iego *rodowodu*: tym sposobem *fabrykacya* naszego dokumentu wydała się, kontrakcik był starszy o dziesięć miesięcy od papieru na którym się urodził. Wreszcie nie było to nic nowego: tyle rzeczy podobnych dzieie się na świecie! Lecz adwokat strony przeciwnéj, nie mając lepszego dowodu, chwycił się téj *permowencyi*, że to jest Dokument *falszowy*; zaczął popisywać się z swoją wymową a nie zważał na to że tonący brzytwy się chwyta, i że snadno było być pocziwym, iemu, który brał *honoraria* i

miał z czego obeyść się bez zmyślonych dokumentów.

Jakożkolwiek bądź, ta sprawa nie podobala się Sędziom: uchwycili się za to słowo *falsum* i zapakowali mię niewinnego razem z przyjacielem między cztery ściany aż do dalszych rozkazów.

Nie będę W Pana nudził dłuższym wywodem całego tego zdarzenia: dosyć powiem że oto siedzę w *kozie*, i cały mój geniusz na próżno sili się żeby skrócić to niezasłużone nieszczęście. Cóż W Pan mówisz o naszym przypadku? Poradź nam: iako zamknięci i odludni mamy prawo do względów Pustelnika. Czyby naprzykład nie można ieszce do kogo appellować? Wszakże fałsz odkryty przestaje być fałszem; a skoro się prawda znalazła czegoż nas karać za iey zgubę? Któż będzie więził ludzi za to tylko że nie umieli źle czynić? Ci są daleko winniejsi którym się ta sztuka udaie.

Z tém wszystkiém, Mości Pustelniku, więzienie nasze iest *Factum*; iest to wypadek który nam zepsuć może całą *karyerę* dalszego robienia długów. Nadewszystko ponieważ chcemy iść drogą Łaski, trzeba

nam mieć za sobą okoliczności łagodzące: chciej WPan wrzucić kilka słów między ludzi, niech publiczna opinia będzie za naszą stroną, niech wiedzą żeśmy poczciwi, niech się litują nad nami: wystaw nas jako ofiary potrzeby, odmaluj jako męczenników zbiegu okoliczności i czasów krytycznych, jako istoty poświęcone zawziętości naszego wierzyciela, cierpiące przez niedołęztwo fabrykanta naszego papieru, wielomówstwo przeciwnego nam adwokata i surowość naszych Sędziów.

Bo wreszcie cóżeśmy uczynili? Cała nasza wina, żeśmy broniąc się użyli środka może zbyt delikatnego. Tegoby nie było gdyby nas był niecnota przeciwnik nie pozwał: iemu więc wszystko przypisać należy.

O! jeżeli WPan masz czułe serce, Pu-
stelniku, skróć nasze umartwienia tym sposobem albo innym! Jeżeli my będziemy zamknięci a beczynnie życie nasze ma upływać, to któż będzie za nas długi robił?—
Może w téj chwili iaki poczciwy wierzyciel kręci się z pieniędzmi i nie wie gdzie ich ulokować. Przyszli mi go WPan, ia mu

dam dwadzieścia pięć od sta, i złożę w ręce
iego fant który będzie miał daleko pewniey-
szą wartość niżeli owego żyda o którym
wspomniałem. Oprócz tego daruję WPanu
za przysługę ieden z nacyiekawszych iaki
mam *manuskrypt*, ułożony już w więzieniu,
i który uważam za owoc trzydziestoletnich
moich doświadczeń. *Jest to sztuka robienia
długów*, czyli zasady ogólnego i bezwa-
runkowego kredytu we 2 tomach. Wydru-
kowanie i rozprzedaż tego dzieła przynie-
sie ci, szanowny Pustelniku, wiele korzy-
ści w wieku dzisiejszym w którym nikt nie
chce na siebie pracować, i w którym ka-
żdy ma tak wiele potrzeb a dochodu tak
mało.

DŁUŻNICKI et *Compagnie*.

III.

KOCHANY STARCZE!

Chociaż jeszcze iestem dosyć młoda nie
zgorszy to zapewne nikogo że cię kocha-

nym nazywam: wszakże sam przyznałeś się że masz lat siedmdziesiąt, a w tym wieku namiętności nie są już gwałtowne i przywiązanie moje do ciebie nie pociągnie, spodziewam się, żadnych skutków za sobą. — Oprócz tego *miłość* moja opiera się jedynie na szacunku jaki mam dla twoiego talentu: nie tylko bowiem że jesteś iak uważam ciągłym przyjacielem kobiet ale jeszcze możnaby cię wziąć za wzór grzeczności i dobrego tonu, za *poradnika* w rzeczach przyzwoitości. Mając naywiększe zaufanie w twoim światle, kochany Pustelniku, (pozwól mi raz na zawsze tego tytułu) udaię się do ciebie iako znawcy w jednym ważnym punkcie, który się tyczy równie sławy moiej iako i zdrowia moiego. Chciałabym pogodzić przepisy doktorskie z przepisami obyczayności i oto jest w krótkości o co właściwie rzecz idzie. Mieszkam zwykle na wsi: mój mąż, który miał różne interessa do ułatwienia w Warszawie, wziął mię z sobą do miasta. Nieprzyzwyczaiona żyć powietrzem, darujesz mi że powiem, nieco zgęszczonóm waszcy stolicy, straciłam cerę,

późniéy *apetyt*, a nareszcie spoczynek: z tego wszystkiego wynikła choroba. Za przyściem do zdrowia doktor kazał mi używać świeżéy *aury*. Gdy nie znam nikogo w Warszawie, chodzę sobie samotnie po ogrodzie Saskim, ile że niedaleko z tamąd mieszkam; i każdego poranku ile razy iest pogoda przejdę się dwa lub trzy razy wokoło. Piękność miejsca i czyste powietrze które tam panuje ma wpływ nader zbawienny na moje słabe nerwy; i byłabym już zupełnie zdrowa gdyby nie mąż który mi się sprzeciwia utrzymując, iż kobieta nie mająca ieszcze lat pięćdziesiąt i która iest nie zupełnie brzydka, nie powinna chodzić sama po ogrodzie, ażeby nie dała przez to o sobie naygorszego rozumienia. Prawda żem ia nieraz to postrzegała, iż mi się niezmiernie przypatrywano, alem uważała tę ciekawość w sposobie nierównie pochlebniejszym dla moiéy miłości własnéy.

Móy mąż nie lubi kiedy mu się kto sprzeciwia; iest przytém uparty i chce koniecznie ażebym iego wołą wypełniła; lecz w podobném zdarzeniu, (gdyż tu idzie o moje zdro-

wie) nie może mi prawa przepisywać, tak dalece że będę chodziła sama dopóki WPan nie obiawisz mi wyroku swojego i nie powiesz iak się mam w tój mierze zachować?

Proszę przyiąć wyrazy życzliwości.

ELEONORA D.....

ODPOWIEDŹ PUSTELNIKA.

Przywiązanie twoie do mnie, szanowna Leonoro, nie będzie miało, iak to słusznie wnosisz, żadnych dalszych skutków. Był czas kiedy podobne oświadczenie i ten szacunek iaki niesiesz dla moich talentów, byłby mię nabawił naywiększój ciekawości. Lecz nie mówmy iuż o tём.

Żądasz moiéj rady: tę ci udzielę ze wszelką otwartością serca, i byłbym niegodnym twoiego zaufania gdybym ci całój prawdy nie powiedział. I dla tego chociaż iestem

dosyć skłonnyim dawać słuszną żonom przeciwko ich mężom, iednakże, szanowna Leonoro, wrzeczy o którój iest mowa, nie mogę bydź innego od męża twego zdania. — W Warszawie młoda i piękna osoba nie może pokazywać się sama po ogrodach i miejscach publicznych, najprzód nie tylko że to nie iest w dobrym tonie (co ieszcze nie wiele znaczy) ale że to iest nieprzyzwoicie. Trzeba się więc od tego wstrzymać; bo iakkolwiek kobieta nie zawsze iest w obowiązku iść za modą, nigdy iednak nie powinna lekce ważyć powszechny opinii.

Teraz gdybyś mię zapytała, szanowna Leonoro, dla czego zwyczaj który zabrania kobietom chodzić samym, pozwala im przechadzać się w towarzystwie kilkunastu mężczyzn, a co gorsza w towarzystwie iednego tylko mężczyzny, na to nie mógłbym ci dać inszey odpowiedzi, tylko że są sprzeczności pewne w obyczajach naszych, których tak trudno byłoby usprawiedliwić iak i przełamać, i że wreszcie iest wiele rzeczy bardzo niewinnych na świecie, których czynić nie trzeba dla tego tylko, że są uży-

wane od pewnych kobiet z któremi należy unikać wszelkiego porównania.

Jestem z winnym uszanowaniem, zacna Leonoro D..... etc,

PUSTELNIK Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.



Nr LXXV. 15 LIPCA 1820.

G Ł U P C Y.

Spartańczykowie chcąc nauczyć wstrzeźliwości, pokazywali pijanych niewolników na ulicy, i w tym stanie gorszym od bydlęcego, wystawiali ich na widok wolnych ludzi.

ANACHARSIS. Podróż do Grecyi.

Wziąwszy dobrze pod kredkę mamy trzy rodzaje głupców na świecie. Jedni są którzy nic nie wiedzą, drudzy którzy biorą rzeczy z fałszywego punktu lub je znają tylko z jednej strony, inni nakoniec którzy wiedzą wszystko prócz tego coby wiedzieć powinni. Ta ostatnia gałąź głupców

jest dziś naypospolitsza: możemy iednak nie lękać się ażeby nam zabrakło na dwóch pierwszych.

Przed kilku dniami potrzebowiałem pisarza czyli inaczéy kopisty: wszyscy mi radzili żeby się udać do Pana *Serwacyusza*. Po pierwszém przywitaniu pyta mię ten sławny kalligraf czy ja czytałem gazety paryzkie i mówi do mnie z takim zapalem o polityce iak gdyby był członkiem lewéy strony Izby Deputowanych francuzkich. Chwaląc liberalny sposób myślenia Pana *Serwacego* przystępuję do rzeczy; proszę go o przepisanie mi na czysto dzieła pewnéy damy w rękopiśmie ieszcze będącego. Pan *Serwacyusz* zapytuje się mię, iakim charakterem? — Charakterem prostym i zwyyczajnym, odpowiedziałem. Pytanie to nie było bez celu; przyniósł mi bowiem w kilka dni pracę swoię, do któręy użył zgłosek tak dziwacznych, przytém narobił ogonków do liter tak fanfaronskich że przy zupełnym niedostatku *punktuacyi* i *ortografii* pismo stało się prawie niepodobném do czytania.

Wynurzyłem mu zadziwienie moje. Pan Dobr. nie miéy mi za złe, mówi, że użyłem sposobu pisania iakiego teraz zwykle wszyscy używają: trzeba się do mody stosować. Mamy literaturę romantyczną to jest niezrozumiałą, mamy także i kalligrafią romantyczną, to jest nie czytelną. Ale ktokolwiek tylko umie odgadnąć te *sstrychy* będzie wiedział co znaczą. To powiedziawszy, zaczął uczoną rozprawę o charakterach gotyckich które po upadku państwa Rzymskiego były powszechnem piśmem prąyętém w Europië, i dodał że zgłoski łacińskie, z małą odmianą takie iakie dziś widzimy, zaczęły bydz używane dopiero po odrodzeniu się kunsztów w wieku 16.— Pan Serwacy pomyślałem sobie, pomimo całej piśmiennéy erudycyi swoicy, jest wielkim głupcem.

Inny półgłówek podjął mi się był znowu, iako biegły w rzeczach kraiowych, i świadomy wielu prowincyi polskich, dawać szczegóły tyczące się rolnictwa narodowego. Szczęściem, że ieszcze nie ogłosiłem prenumeraty na dzieło które ziego powodu o *gospodarstwie kraiowém* wydać mia-

łem zamiar. Po kilku odbytych z nim narodach przekonałem się, że ten człowiek nie ma żadnych miejscowych wiadomości; że nie był ani w Krakowskiem, ani w Litwie, ani nawet na Podlasiu. Że parę razy jeździł saneczkami do Łowicza, na reduty, i że to była cała jego znajomość we względzie kraju polskiego.—Zapytany dla czegoby mię chciał uwodzić?—Uwodzić! zawołał, wcale nie; ja znam, mowi Polskę daleko lepiéy z opisu ludzi (zapewne takich którzy ją także z opisu znaią) niżeli z naocznego przekonania którego wcale nie potrzebuję. Wszakże ja wydałem, mówi, w roku zeszłym dzieło o Botanicie, nie będąc nigdy w ogrodzie botanicznym; i wieleż to jest ludzi którzy piszą o gospodarstwie krajowem nie znaiąc ani gospodarstwa, ani kraju inaczéy iak z książek krajowych a czasem nawet zagranicznych.

Żeby rozpędzić zły humor iaki mi dali ci dŕway ludzie poszedłem do Saskiego ogrodu myśląc po drodze o głupcach w powszechności i o ich powodzeniu na tym świecie. Rzecz jest osobliwsza, mówiłem sam do siebie, uważaymy tylko to co się

zwykle dzieje; im zdanie czyje jest pozor-
nieysze tćm wićcćy znajduie wielbicielów:
wszystkie miłości własne ludzi miernych
cisną się zaraz około niego ażeby mu hołd
oddawać. Niechże zaś powie kto iaką pra-
wdę zaraz będzie prześladowany (*). Zda-
nie rozsądne jest nacyjcćy ostatnie któ-
remu ludzie wierzą, i trzeba nie raz żeby
aż było długićm doświadczeniem 'stwier-
dzone, nim się oiego rzetelności zechcą
przekonać. Byłoby to dlatego że się lu-
dziom nie zdaie rozsądek rzeczą naturalną?

Kiedym tak zastanawiał się nad budową
głów ludzkich przystąpił do mnie i powi-
tał mię Pan *Moncewicz*, ów lekarz Pani So-
bieradzkićy, którego mocno polubiłem od
czasu iak mię był powiózł w kulisy. Sie-
dliśmy sobie oba pod drzewem na ławeczce
i zaczęliśmy rozmowę o głupcach których
się Doktor ustanowił obrońcą. Żeby nie
uchybił wierności w opowiadaniu słów tego

(*) Sokrat, Galileusz i tylu innych cierpieli za pra-
wdę, gdy przeciwnie wszyscy kuglarze, kabalarze i
szarlatany mają za sobą zwykle publiczną opinią.

Mecenasa głupich, przytoczę tu rozmowę iakąśmy z sobą mieli, nie odmieniając nawet iednego słowa.

P. Moncewicz. Zarzucaią Bóg wie nie co głupim, a to przez zazdrość że oni posiadają wiele przymiotów, które im tylko samym są właściwe.

Pustelnik. Przyznay Doktorze, iż nie wiele odwagi pokazałeś kiedyś wziął na siebie stronę mocniejszą.

P. Moncewicz. Przyznajesz im więc Pan wielką siłę.

Pustelnik. Ja tylko mówię o ich liczbie.

P. Moncewicz. Alboż to nie dosyć: i naywięksi woioownicy nie bili inaczey iak *massami*. — Wszakże i Napoleon zwyciężał *massami*. Chwała głupców iest w ich liczbie.

Pustelnik. Nie spodziewam się Doktorze abyś mówił szczerze o chwale głupich.

P. Moncewicz. Jeżeli Pan na to nie pozwolisz, aby tam gdzie iest zwycięztwo była i chwala, to ci mówić będę o szczęściu głupich. Zważ sam i powiedz, czyli miłość własna głupca nie iest sprężyną nay-

mocniejszą, iaka bydź może na świecie do poruszenia wszelkich namiętności? Jaka wytrwałość w nadziei! Jaka sprężystość wuporze! Nic mu się oprzeć nie potrafi: iest to skała oderwana z wierzchołka góry, która z całym ciężarem swoim leci.....

Pustelnik. Aż póki dna nie dosięgnie. Do prawdy, mój Doktorze, za nadto daiesz wziętości głupstwu.

P. Moncewicz. Daię tyle ile się iemu należy. Witam go iako Bożyszczce Swiata.

Pustelnik. Nie uznajesz więc ducha czasu?

P. Moncewicz. I owszem uznaię; lecz widzę, że oba panuią na przemian a raczej wspólnie: iak jednego tak drugiego zarówno lękać się należy.

Pustelnik. Bać się głupich! to iest na co ia się nigdy nie zgodzę.

P. Moncewicz. Bardzo źle Pan czynisz. Mądrych nigdy lękać się nie trzeba, ale głupich każdy bać się powinien. To są nieprzyjaciele tém zradliwsi, im mniéy na nich zważamy. Ich taktyka iest ta, ażeby napadać na śpiących; a iak się kto o-

budzi i chce z niemi walkę zacząć, robią prawo w tył; pogarda zaś służy im wtenczas za puklerz, za który się chowaią iak żółwie za swoje skorupy. Jeden z uczonych, dodał Doktor, którego sobie nazwiska nie przypominam, napisał dzieło o szczęściu głupich, gdzie nie dosyć uwielbia ich przymioty, przez które oni dostępują tej szczęśliwości tak powszechnie im zazdroszczonéy.

Głupcy maią nayprzód charakter: że im tego zaprzeczyć nie możemy, nazywamy to uporem. Jednak ten zarzut nic nie stanowi: co oni chcą, chcą silnie, chcą zawsze, chcą niezmiernie. Nie można im też odmówić otwartości. Głupi, iak to mówią, zawsze się wygada; i aby tylko taki człowiek mógł się zastanawiać, tego momentu wiedzielibyśmy wszyscy o czém myśli. Przyznaię, mówi Doktor, że fortuna ma zawsze iakąs słabość do nich; ale czyliż to niczem iest że oni stoią ciągle na pogotowiu dla korzystania z iéy dobrodzieystw? Wiedząc że Bogini iest ślepa i że biega iak waryatka, wychodzą naprzeciw niéy i czekaią iéy

cierpliwie na drodze; kiedy tymczasem rozumny na próżno się sili ażeby ją dogonić. Zktóreyże strony jest rozsądek?

Również i wziętość głupca ma swoją podstawę: a przynajmniej może się bardzo szczęśliwie ważyć z wziętością rozumnego. Można równie ziednać sobie sławę przez iaką szczęśliwą niedorzeczność, tak iak ją można utracić przez iedno nierostropne, chociaż mądre słowo. Krótko mówiąc, rzeczy Doktor, wyłuszczę Panu całą myśl moję sposobem geometrycznym. Rozumu i głupstwa nie uważam ia bynajmniej iako dwóch linii równoległych które się nigdy z sobą nie zeydą, ale owszem utrzymuję że iest taki rodzaj głupstwa który prowadzi *dyagonalnie* do rozumu.

Pustelnik. Teraz zaczynam poznawać, kochany doktorze, iż twoia obrona czyli pochwała głupich iest tylko żartem dla naszéy zabawki, wyjąwszy co o ichi złości powiedziałeś. W téy mierze więcéy dodam i będę utrzymywał z Janem Baptistą *Rousseau*, że głupstwo iest początkiem wszystkich występków. Ta moc charakteru, którą głu-

pich uposażyłeś, iest naywiększą ich słabością: nie mając własnego zdania przyimiał cudze, i upierają się przy niem bo swojego mieć nie mogą: bronią go, bo nie wchodzą z iakiego ie wzięli źródła i co dalej z niego wyniknie: to są kapłony które wylęgają iayka od kur zniesione. Nie szukamy w ich czynie ani wyboru, ani przekonania, ani skłonności; byliby to ludzie owszem nayniestalsi na świecie, gdyby nie mieli dobréy o sobie opinii, i gdyby się mścić nie chcieli: głupcy bowiem są nieubłagani.

Co do ich otwartości, to nie więcéy nie iest, iak sam wyraziłeś, tylko nieostrożność; ich milczenie ieszcze ich bardziéy zdradza niżeli ich mowa, bo oni wiedzą czasem coby zataić potrzeba, a nie wiedzą nigdy tego coby mówić należało.

Nadeyście kilku osób, które przy nas na ławce siadły, przerwało dalszą rozmowę. Zdaie się że los przysłał nam ie na pokazanie owych głównych szczepow, o których wspomniałem na początku pisma, a od których pochodzą wszystkie odnogi czyli

ramifikacye głupców. Skoro się oddalili, prosiłem P. Moncewicza, ażeby mi powiedział kto jest ten który się z moiej strony tak mocno do mnie przysiadł. Przyznam się WPanu, rzecze P. Moncewicz, że go sam niedawno poznałem: pamiętam że się zowie *Nofus* i że przyszedł do mnie przed kilku dniami, nie wiedząc kto jestem, prosić mnie ażebym go poznał wtakiem miejscu gdzieśmy oba nie byli znani. — Uważałem, mówię do Pana Moncewicza, iak się kłaniał damom które sobie nie mogły także przypomnieć gdzieby go widziały. — To jego zwyczaj taki, rzecze Doktor: jest to prawdziwe nieszczęście, kiedy ten człowiek wciśnie się gdzie do domu iakiego; nie czekając aż przyidzie na niego kolej mównienia, i nie czuiąc że przerywa, będzie się mieszał do rozmowy osób najdosłowniejszych, które nie wiedzą kto on jest, i będzie mówił długo i nie do rzeczy. Obcy na wszelkie uczucia delikatności, nie wie o którym czasie oddać komu wizytę można, ani kiedy ją skończyć należy. Nie dawno był u Pani *Liońskiej*, i nie dosyć

że się sam zaprosił iéy na imieniny, ale ieszcze zabrał w czasie wieczerzy u niéy u stołu miejsce które było dla solennizantki przeznaczone. Spędzić go z krzesła które jest przygotowane dla Xięcia, to on się poprawi i siądzie na krześle postawioném dla Króla. On jest z którego się wszyscy ludzie zawsze śmieią a który sam tylko ieden nie śmieie się i ma minę poważną. Prawdziwy *Nofus*, czyni wszystko bez zastanowienia; wpatruie się w ludzi bez żadnéy dla nich delikatności i uwagi i niezdolny żeby się mógł zarumienić nie ma naymnieyszego wyobrażenia o moralném uczuciu; iego wzrok jest zabóyczym dla kobiet uczciwych i panienek niewinnych: ten rodzaj obrazy tym gorszy im trudniejszy do powściągnięcia i ukarania, posunął tak dalece iak tylko bydz może: iego oko jest tak bezwstydné iak iego postęпки.

Prosiłem Pana *Moncewicza* aby mnie nauczył, kto był znowu ten drugi który narn tyle o naukach i talentach narozprawił. Słyszác go zdawało się że to była *Encyklopedia* chodzącą wszystkich umie-

iętuości i Słownik generalny wszystkich języków: a sprzeczny! Gotówby się klócić o podróże z *Humboltem*, z *Hufelandem* o magnetyzm, o muzykę z samym nawet *Rosynim*! — To jest, rzecz Doktor, Pan *Mamliński* którego natura przeznaczyła na to ażeby był niedołągą prostym i bezwarunkowym. Jak się wziął uczyć, tyle dokażał, że teraz jest uczonym głupcem. Tak sobie WPan wystaw, dodał, iak gdyby kto zasiał zboże na roli wcale nieurodzajny; czy można się spodziewać innego plonu w takim gruncie nad oset, chwast lub kękol? Ten człowiek z przeznaczenia swojego miał być nudnym: oświecenie czyli po terazniejszemu *oświata*, zrobiła go nieznośnym. Wystawił u siebie na wsi chałupę i myśli że jest architektem; złożył razem kilka wierszy i rozumie że jest poetą. Mniema że nikt oprócz niego nie zna się na malarstwie, a gdybyś WPan widział jego robotę przekonałbyś się że iezcze nie zrobił iednego porządnego nosa, chociaż się sześć lat rysować uczył. Podług niego, zasługi osobiste i rozum (w które

nie jest bogaty) są wszystkim na świecie: przeciwnie zaś urodzenie i dostatki, (którym wszystko jest winien) są istotne przesady; a tak mówiąc, ani wie na co się wystawia, ani jaką sobie śmieszność przydaie. Szkoda że z nami dłużej nie posiedziały, byłbyś W Pan usłyszał jakie ma wpływy do towarzystwa prawdziwie uczonych ludzi (od których zawsze iednak przez skromność się wyłącza); byłby nam i to powiedział iak dobrze jest położony w opinii publicznej, iaką ma miłość u obywateli, ile odmian zdanie iego może wprowadzić do rzeczy politycznych; wiele nakoniec spodziewać się należy po iego głowie przy Seymie nadchodzącym. Co zaś jest najlepszego w tych iego wielkich cnotach, że te wszystkie uprzedzenia nie od niego pochodzą, ale nabito mu głowę niemi w pewnym towarzystwie głupców do którego należy, i którego jest członkiem w trzecim stopniu: tak dalece że ten wielki sztukmistrz, wielki literat i wielki polityk, a w rzeczy Pan *Manuliński*, niczym innym nie jest tylko dziełem czyli *kreaturą* kilku

wartogłowów, z których fabryki oryginalnie pochodzi, i których istotnie mówiąc jest płodem.

Prosiłem Pana Moncewicza ażeby mi powiedział czyli i ten który się tak szydersko zawsze uśmiechał, a który około niego miejsce zasiadł, należał także do rodziny głupców? Bardziéy niż który inny, odpowie Doktor: bo to jest Pan *Dardaniec*, który napisał dwa tomy o poezyi i o potrzebie imaginacyi bez żadney imaginacyi: który prócz tego uczył się prawnictwa a nie może siebie osądzić i przegrał wszystkie sprawy iakie miał w Trybunale. Biegły wrzeczach nawet astronomii, wie iakie są obroty planet niebieskich a nie wie co się dzieie w jego własnym domu. W dziele swoim pod tytułem: *Włościanin nędzarz*, ubolewa nad losem istoty która musi pracować chociaż nie ma nigdy dobrego pożywienia: tymczasem jego konie, które także muszą pracować, nie mają nawet nieraz siana za drabiną. Słowem: jest to człowiek, który doskonale widzi iak trzeba co zrobić, a nigdy tak nie czyni iak widzi. Natura i sztuka składały się

do spółki dla utworzenia tego wzoru wszelakich sprzeczności: ciemny a gadatliwy, wytworny a skąpiec, zuchwały a tchórz: nie zrobił żadnej uwagi któraby jego własną była; nie umie nawet zmyślić kłamstwa i tylko się żywi cudzemi plotkami. Serce jego posiada szczególniejszy *instynkt* zazdrości: gdzie tylko poczuie że jest iaki talent, gdzie tylko *stropi* iaką zdatność, zaraz się przeciw nię odzywa choć ię jeszcze nie widzi; a *sfora* oszczerców która za nim w ślady bieży, może bydz pewną swoiey złości i wierzyć że się przewodnik nie pomylił. Nienawiść którą ten nieszczęśliwy niesie ludziom rozumnym iest miarą ich zasługi. Nareszcie, żeby WPanu dać wyobrażenie o iego bezczelności w opowiadaniu i śmiałym tonie wiakim wyrokuie, opowiem ci przypadek który mu się nie dawno w pewnym domu przytrafił. Znajdował się na obiedzie u Hr. *Koronieckiego*: była tam mowa o zwyczajach wschodnich narodów. Jedna z przytomnych osób chciała przytoczyć niektóre szczegóły o Persyi. Nasz głupiec nie da ię ust otworzyć i

mówi o tęg krainie iak gdyby ztamtąd był rodem: opisuie charakter dworzan, obyczaię niewiast i prawa mieszkańców; dodaięc różne anegdotki któremi się wiecéy bawił niżeli słuchacze. Tymczasem ten ktoś ośmiela się przerwać mu mowę utrzymuięc iż to wszystko co wyraził nie było zupełnie podług nayściślejszég prawdy. *Dardaniec* nie zmieszawszy się, podnosi głos wyżey i mówi: Móg Panie, obracaięc się do przerywaięcego, ia nic nie przytaczam czegobym pewnym nie był! To co wiem, mam od pewnego znakomitego cudzoziemca, który kilka lat przepędził na dworze Perskim; iednem słowem, od *Senecionu*, który iest w Warszawie od kilku dni, z którym się dobrze znam, któregom o to pytał, i który mi nie taił żadnego szczególu.— Tak zagadnąwszy obecnych miał daley opowiadać z większą niż kiedy pewnością co wiedział, gdy gospodarz domu zabieraięc z kolei głos, mówi mu: Ten, z którym się W Pan spierasz, iest właśnie *Senecion*, o którym wspomniałeś, i który przed kilku dniami przybył do Warszawy.

wraca z Persyi, i tam bawił kilka lat na dworze Monarchy.

Pan Moncewicz pokazał mi jeszcze kilku innych głupców; ale że to były tylko odnogi głównych szczepów, przeto ich odsyłałam do podziału który uczyniłem na wstępie pisma moiego.



Nr LXXVI. 8 SIERPNIA 1820.

D Z I E C I.

Quid verum atque decens curo et rogo, et omnis
in hoc sum.

Hor. lib. 1. Ep. 1.

Jestem zawsze za prawdą i przyzwoitością.

W IADOMO jest czytelnikom Powieści
Wschodnich, przez jaki nadzwyczajny przy-
padek sławny pamięci ZADYG został Mi-
nistrem w Babilonie. Pewnego poranku
przyszli do niego dwaj starcy z prośbą, a-
żeby ich rozsądził, obiecując mu że zupeł-

nie do jego woli stósować się będą. Szło im o wychowanie małego dziecięcia, po którym spodziewali się znaczny nagrody. «Powiedz mi, mówi Zadyg, obracając się do pierwszego z nich, czego ty będziesz uczył twego wychowawca? — «Ja go będę uczył, odpowie starzec, ośmiu części mowy, będę go uczył dyalektyki, estetyki, kosmologii i filologii, chiromancyi i demonomanii: wreszcie będzie umiał rysować, grać na lutni i tańczyć po chaldeysku. — «A tyż, mówi Zadyg, obracając się do drugiego, czegoż ty nauczysz twoiego *pupilla*? — «Ja go nauczę, a raczy będę się starał nauczyć go, odpowie, ażeby był sprawiedliwym i umiarkowanym; aby znosił cierpliwie nieszczęście, był skromnym w powodzeniu, nie czynił krzywdy nikomu, lubił pełnić powinności, i nakoniec aby miał chęć do pracy i kochał się we wstrzemięźliwości. — «Ty więc będziesz, zawołał Zadyg, nauczycielem młodego Chaldecyzyka, i bez względu na dalsze uwagi, dać ci w imieniu prawa nad nim opiekę.

Któż nie widzi iak zbawienny przepis zawiera w sobie dla wychowania młodzieży ta

prawdziwa, czy wymyślona (o to mniejsza) anekdota Babyłońska? Chcecie wiedzieć iakimi będą po was następcy wasi? Czy będą mieli charakter stały i uczciwy; czy potrafią szanować prawa kraju i przyłożą się do iego świetności? Nie patrzcie tak bardzo na to, czego się uczą po szkołach, i iak wiele nauk posiadają, ale co robią w domu i iakie są ich nałogi! Instytut publiczny edukacyi narodowój będzie zapewne u nas chlubną pamiątką tych czasów w których został zaprowadzony. Potrzebuie władza krajowa i powinna mieć dozór nad wychowaniem przyszłych pokoleń: każda zmiana w prawodawstwie, iako przeciwna nałogom starszych ludzi, dopiero w młodych których do tego sposobie należy znayduie prawdziwych obrońców i wiernych czcicieli. Lecz aby instytucya wychowania publicznego mogła się pochłubić wszystkimi korzyściami drogich owoców swoich, potrzebuie nade wszystko pomocy rodziców i opiekunów, ażeby ci od dzieciństwa zaraz, i w codzienném pożyciu młodych, wspierali zbawienne iey zasady.

Czuli tę prawdę starożytni: u nich każda umiejętność, sama nawet wymowa, nie były uważane iak nauki albo ozdoby człowieka, ale iako narzędzia i środki do rozwinięcia iego wewnętrznęj wartości prowadzić mogące. Wzbudzić w sercu uczciwe skłonności, nadać duszy stałość, moc i cierpliwość, nauczyć młodzieńca obowiązków stanu i powołania; zaszczerpić w nim ducha porządku, uległości i pracy; ukształcić tym sposobem w nim obyczaje i utworzyć charakter: słowem uczynić z dziecka człowieka, to nazywało się wychowaniem u Rzymian i u Greków. Dla tego téż w zwyczajnym sposobie mówienia, chwając życie sławnych ziomek, nie powtarzali nigdy że ten albo ów posiadał wiele ięzyków i umiał sądzić o kunsztach i pięknych sztukach i że znał się na astronomii, ale że się wychował w znakomitym domu iakiego krewnego albo mędrca, któremu był pod opiekę oddany, i że tam przeiął się wszystkimi wzorami téj wspaniałomyślności i tych cnót wielkomyślnych któremi czyni iego iaśnieią.

Za dawnęj Polski nie było wolno młodym ludziom otwierać zdania w obliczu star-

szych. Ja sam pamiętam te czasy kiedy syn, często już nawet pod wąsem, nie miał prawa usieść przy rodzicach. Ta zbyt uczynna może surowość w obyczajach miała za cel położyć hamulec na zwyczajną młodemu wiekowi zarozumiałość i zaradzić jego niedoświadczeniu przez ustawiczną powściągliwość. Baczni na krewkość przodkowie nasi nie sądzili ażeby pora *fermentacyi* była chwilą do rozważnego działania, i czekali zazwyczaj aż się *humory* ich dzieci wytrawią nim coś ważnego będą mogły przedsiębrać.

Zmiana wieku sprowadziła za sobą odmianę w wychowaniu. Dziś, iak gdybyśmy się lękali, aby młodym nie brakło na burzliwości, podniecamy przez wszelkie sposoby ich próżność, ich miłość własną, ich nieoświecenie: wtenczas już mówimy im o *ambicyi*, *emulacyi* i sławie, kiedy oni jeszcze wiedzieć nie są w stanie na czém prawdziwa chwała zależy. Krótko mówiąc: chcemy z nich mieć ludzi w dzieciństwie, ażeby potem, skoro przyjdą do wieku dojrzałego, byli zawsze tylko dziećmi.

Ze ten sposób zbytniego pochlebiania utwierdza w chłopcach uprzedzenie o sobie i zatem idącą nieobyčajność, a w panienkach pobudza zalotliwość, która się potem staie początkiem płochości, nie trudno byłoby mi dowieść przykładami ogólnemi, czerpanemi w obyczajach wieku moiego: następująca przeto scena, której nikt zaprzeczyć nie zdoła ażeby nie była żywym obrazem zaprowadzonego po niektórych domach, bo nie mówię po wszystkich, sposobu wychowania dzieci, najlepszą będzie skazówką dla moich czytelników, iak dalece słusznemi są uwagi na początku pisma tego położone.

Państwo Koronieccy, o których już tyle razy wspomniałem, namówili mię byli ażebym pojechał na wieś o kilka mil od Warszawy, gdzie miały bydź wyprawione imieniny pewnéy damie, przyjaciółce Państwa Koronieckich. Korzystając z piękney letniéy pory udałem się z niemi w tę małą podróż. Przyjeżdżamy: goście już byli zebrani w ogrodzie. Pani tylko N...., właścicielka domu, chwalebna powszechnie z przywiązania do dzieci, a raczém iakem to wkrótce

spozrzegł z udawania miłości macierzyńskiej, zabawiała się sama w gabinecie przystrajaniem córki swojej. Pani Koroniecka poszła do niéy prosto: my zaś zostaliśmy się w salonie z Hrabią Koronieckim. Niebawnie wybiega naprzeciw nas mały chłopczyk mający lat 8^{em} do 9^{ciu} z bębenkiem w ręku i ubrany po luzarsku: był to *Ildefons*, iak mi powiedział Pan Koroniecki, syn gospodyni domu. Narobiwszy wiele hałasu po pokoju, dobywa z pochewek pałasza, i przyskakując do mnie: biy się ze mną, ty, woła. — Mój maleńki, odpowiedziałem mu, niegrzecznie jest ze mi tak mowisz. — No! to mi powiedz, dodał, iak się zowiesz! — Czyniąc zadosyć iego żądaniu, byłem przekonany, że się chłopczyzna udobrucha, ale iak gdyby na podziękowanie, mały człeczek popychając mię: iesteś brzydki i stary, mówi mi. Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie odemnie zaczęłało unikać tych wad, i że nie pięknie było ziego strony wyrzucać mi ie; lecz Pan *Ildefons*, widząc że się ieden z gości ku oknu nachylił, zdarł mu peruczkę którą miał na głowie, i zaczął śmiać się do rozpuku. Ta swawola zadziwiła mię mocno:

poskoczyłem za niedorzecznym dzieckiem ażeby mu jego zdobycz odebrać, ale rozpustnik uchodząc czémprędzcy do matki uniósł z sobą razem i dowód swojej nieobyczajności. Wkrótce wychodzi Pani N.... trzymając syna za rękę i tysiąc razy zaczyna przeproszać nas za tę dziecinną, iak mówiła, igraszkę Ildefonsa; łaiąc go iednak tym tonem, że chłopiec mógł widzieć iż mu wszystko wolno było, zwłaszcza że matka sama ledwie się mogła wstrzymać od śmiechu na ten concept swojego synalka.

Obrażony gość poprawiając się w zwierciadle, wyraził Pani N... powinszowanie że miała syna tak dobrze wychowanego: na co ona odpowiedziała, przedstawiając mu Pannę Emilią, córkę może rokiem starszą od Ildefonsa. Była to osóbką niezmiernie prosto się trzymająca, niezmiernie skromna i niezmiernie przytęm rozumna: słowem, zupełnie różniąca się od brata, nie lepsza iednak dla tego.

W tem się tęż zaczęli schodzić inni goście, i wkrótce zaraz dano do stołu. Ucieszyłem się niezmiernie widząc, że dzieci miały ieść w osobnym pokoju, pod dozorem

guwernantki: Ildefons atoli odchodząc, nie zapomniał uwiadomić nas, że przybędzie podczas wetów. Obiad był z początku niezmiernie burzliwy.

Damy zaczęły między sobą rozmowę o stroiach, mężczyźni o polityce. Tamte wzięły pod rozbiór wszystkie postaci kroiów nowomodnych, ci wszelkie formy rządów europejskich: aż nareszcie gospodarz domu, wnosząc toast za zdrowie solenizantki, uciszył tę wrzawę, i zniewolił każdego mówić po kolei, z kielichem wręku, do zebranego grona. Odtąd rozrywka zaczynała być przyjemniejszą: każdy zdobywał się na jakiś uprzejmy wyraz dla damy której święto obchodzono: tym sposobem kosztowaliśmy już słodczy zabawy lepszego towarzystwa, gdy niespodzianie nagły krzyk i przestрах iednój panienki przerwał nasze zaięcie: dowiedzieliśmy się wkrótce że przyczyną tego przelęknienia była nowa, iak ją nazywała matka, igraszka Ildefonsa. Nieszczęsne dziecko, wcisnąwszy się pod stół, nie będąc od nikogo postrzeżone, bawiło się kłuiąc szpilką po nogach iedną z dam, którzy uymu-

iąca postać i twarz piękna ściągała na siebie powszechną uwagę.

Z wielką trudnością wydobyliśmy tego niecnotę z pomiędzy krzesel, pod którymi się zatarassował; i może byłoby nie przyszło nigdy do wyproszenia go ztamtąd, ale mu pogroziła matka że nie dostanie cukierków jeżeli sam nie wyidzie. Natenczas wszystkie dzieci, których pewnie było ztuzin, przybiegły z przyległego pokoju, i odtąd niczem się już nie trudniono tylko niemi samemi. Matki zaczęły sobie wzajemnie winszować tak pięknéj *konsolacyi*. «A wiele ma twoie? A twoieże na której pensyi wychowane? A czy twoie już dostało ząbków? A czy tamtemu szczepiono już ospę? A czy tego mamka ma dobry pokarm?» te i tym podobne zadając sobie pytania, nad którymi ci co ich to najmniéj bawić mogło, udawali że się naywięcéj bawią.

Ale to był tylko początek utrapienia: bo zaledwieśmy wstali od stołu, oyciec jednego z tych chłopców, wtenczas kiedy rozdawano kawę, trzymając w ręku filizankę i chcąc nam dać wyobrażenie wiadomości historycznych swojego syna, głosem nakazującym

powszechne milczenie zapytał: powiedz mi, który Król wstąpił na tron polski, po śmierci Jana III? Dziecko bez zaiąknienia się najmniejszego odpowiedziało że Jan IV. Większa połowa słuchaczyw dziwiąc się nad pośpiechem i trafnością odpowiedzi, mało bardzo zważała na widoczny błąd, który można iey było zarzucić, i zapominała porówno z historykiem w maytkach, widocznie Augusta II i III Sasów, Stanisława Leszczyńskiego i Poniatowskiego Polaków, i tych wszystkich wreszcie, którzy panować będą w Polsce dopóki się nie ziawi zapowiedziany Jan IV.

Gospodyni domu, która także czekała tylko sposobności ażeby się mogła z córką swoją popisać, kazała iey wystąpić na środek pokoju i z uprzedzeniem macierzyńskiéy ufności: «Emilko! powiedz nam, rzecz, co jest filozofia! Mamuniu, odpowie mała, powinnabyś mię zapytać piérwéy, od czego pochodzi *filozofia*, a tak określenie wyrazu tego miała byś w samém znaczeniu *źródłostowu*. Na ten wyraz *określenia*, i ten drugi *źródłostowu* matka rzuciła na przytomnych wzrok *zadowolnienia*: na co my

radzi nie radzi musieliśmy odpowiedzieć przez wyraz *uwielbienia*. To było lepiéy, a raczéy to było gorzéy, gdy Emilka na *powszechne żądanie* całej kompanii, któręy się to ani śniło, zaczęła tańczyć sama *pas de deux*, bez taktu i najmniejszëy układości. Tym razem, chociaż dawano wielkie oklaski, matka nie zdawała się bydz zadowolnioną. «Moie serce, mowi iéy, oczywiście widać żeś dziś nie musiała próby robić.» Na to słowo *próba*, chciałem się zapytać matki, czyli myśli swoię córkę oddać do teatru? Lecz Hrabia Koroniecki pociągnął mię za suknię, i wrzeczy samëy uczułem że to zapytanie byłoby może mniéy przyzwoite chociaż wcale zasłużone.

Tymczasem inna panienka, rozgniewana że na nią nikt nie patrzył, chciała także rolę swoię odegrać i wychodząc w pośrodek pomiędzy gości: «Mamuniu, rzecze, czy ty chcesz ażebym ci powiedziała z kąd się biorą *wulkany*?» Matka, która sama miała dosyć ognia w sobie, (iakośmy to mogli miarkować po iéy obeyściu się z mężem) o-

sądziła za rzecz przyzwoitą na ten raz odroczyć popis publiczny swoiéy córki, co iednak nie wstrzymało gości, którzy się kryiomo wynosić poczęli, od spiesznego z domu wyjazdu. Byłbym i ia może zabawę pożegnał; lecz musiałem czekać na Państwa Koronieckich.

Żeby wstrzymać zupełny odjazd zawołaano kart: nim iednak ustawione były stoliki musieliśmy słuhać, iak grała a raczćy iak kaleczyła sonatę Mozarta z *De dur* ta niezbędna Emilka, którćy matka na więk sze nasze umartwienie kazała niemilosier nie powtarzać wszystkie mieysca fałszywie oddane: co mogło naszą męczarnię wieczną uczynić. Lecz przecie skończyła nareszcie i muzyka ustąpiła mieysca wiskowi. Chcąc się uwolnić od natręctwa dzieci, usiadłem z P. Koronieckim do szachów. Mój przeciwnik wygrał iuż był iedną partyją, ia miałem zaraz wygrać drugą i naypodobnićy za trzeciém posunięciem byłbym mu dał na odkrytą Szach i Mat, gdy nieszczęsne iedno dziecko, o którem nie mogę wspomnieć bez

gniewu, goniąc za drugim po pokoju, wsparło nam się na stoliku i razem ze szachownią upadło na ziemię. Gospodyni domu, ażeby mię pocieszyć (a zawsze śmiejąc się do rozpuku z Ildefonsem) przypomniała mi Nową *Heloizę*, to jest Pana *Saint-Preux*, który miał podobne moiemu nieszczęście. Nie życzylbym jednak był swawolnikowi temu naśladować Julię, ani radzić aby wtenczas za nadto był do mnie się zbliżał.

Na szczęście dano znać Państwu Koronickim, że już ich karetą zaszła. Pożegnałem iak mogłem naygrzecznię Panią N... obiecując w duchu nigdy nie przyjeżdżać do ięj domu, chyba nie podczas wakacyi. Musiałem atoli szukać ieszcze moiego kapelusza, rękawiczek i laski, które ci rozpustnicy zanieśli do ogrodu, obiecując sobie wiele zabawki z moiego kłopotu, iak przyidzie szukać tych rzeczy. Przecie lokay przyniósł mi ie: poiechaliśmy. W drodze Pan Koronicki piérwszy przerwał milezenie: « Jakie my to dzieci, mówi, mieli niegrzeczne na tych Imieninach! Przyznam się, dodał, że

gdyby moje takimi były tobym im głowy poukręcał.— Bardzo niesłusznie uczyniłbyś Pan Dobrodziéy, odpowiedziałem; dzieci temu nie nie winny, ale ich rodzice.— Dziwi mię, odczwie się Pani Koroniecka, że gospodyni domu, osoba maiętna, nie umie dać lepszego dzieciom wychowania.— Wychowanie dobre, odpowiedziałem, iest rzecz trochę artystokratyczna, nie dosyć iest przyiść do maiętku, trzeba się piérwéy w dobrym bycie wychować ażeby wiedzieć na czém prawdziwa nauka zależy.

Zgodziliśmy się że z dzieci wychowanych, podług sposobu Pani N....., z chlępców będą bardzo nieznośni ludzie, z dziewcząt niewiasty śmieszne i zalotne, i że *edukacya* ta wystawna, iezeli nie właściwą iest dla męzczyzn, tém bardziéy nie przystoi dla kobiet których przeznaczeniem iest i będzie zawsze pędzić życie więcéy domowe niż publiczne. Pani Koroniecka przyznając, iż terażnieysza *edukacya* za wiele poufałości dozwała dzieciom z rodzicami, zarzucała znowu że dawna za nadto tłumi-

Ja pojęcie młodych przez zbyteczną z niemi surowość. — Możeby należało znaleźć środek między temi dwiema ostatecznościami.



Nr LXXVII. 4 WRZEŚNIA 1820.

D Z I A D E K.

Quid leges sine moribus ?

Co znaczą prawa bez obyczajów.

VV RZYMIĘ za czasu FABRYCYUSZÓW nie znano jeszcze praw pisanych; za *Oktawiana AUGUSTA* już były konstytucye państwa i zbiory senackie. Teraz, kiedy się zapytamy, która z tych dwóch epok przyniosła większe szczęście Rzymowi, i dla czego kiedy było mniej praw ludzie lepsi byli, rozumiem że na to inaczej odpowiedzieć by nie można, tylko że prawa są iak przepisy

doktorskie które zwiastują chorobę, i że pewniejszym bydź może zdrowia ten, który żadnych *recept* nie potrzebuie, niżeli ten który lekarstw używa.

Ludzie rozmaitych wieków (troskliwi o zabezpieczenie pomyślności publiczney) wynaydywali różne formy rządu, pod których tarczę składali opiekę swoich domowych swobód; lecz doświadczenie przekonało ich że naylepsza forma w którą naród wprawić należy, iest *forma dobrych obyczajów*.

Powyższe kilka uwag o których słuszności nikt przy zdrowym rozsądku wątpić nie może, naprowadzają koniecznie na ten wniosek, że od prywatnego życia obywateli zależy szczęśliwość ich publiczna, i że dobre domowe obyczaje są naylepszą rękocymią narodowey pomyślności. Rząd domowy iest naynaturalniejszym ze wszystkich rządów: tam człowiek znalazł szczęście w swoihey młodości, tam ieszcze na starość szukać go powinien. Co tylko służy do utrzymania, ulepszenia i uzacnienia dobrych zwyczajów familiynych zasługuie zatem na naywiększą uwagę prawodawców.

Takiemi z pomiędzy tych zwyczajów są coroczne w każdym domu obchody na dzień imienin starszych rodziców: był to przedtem obowiązek, w którym przyjaźń i miłość synowska znajdowały bez kosztu rozrywkę; dziś jest to najczęściej zwyczaj, gdzie próżność szuka jedynie sposobu ażeby się mogła z wydatkiem swoim popisać.

W gronie tych domowych uroczystości powinni znajdować się tylko należący do rodziny, i kilku z najdawniejszych przyjaciół; zkąd jednak nie idzie aby te zgromadzenia były równie liczne w ubogich jak bogatych domach.

Kto posiada znaczne włości,
Liczy krewnych w obfitości;
Lecz u kogo bieda świeci,
Jest bezdzietnym choć ma dzieci.

Te domowe święta są prawie wszystkie teraz z małą różnicą na jeden sposób urządzone: zaś największy zarzut, jaki im można uczynić, jest ten że się oddalają coraz bardziej od swojej prostoty. Zwyczaj który dawniej chciał ażeby przynieść dziaduniowi jaki upominek serca, jaką bagate-

lę własnej roboty, dziś przepisnie zakupić iaki kosztowny mebel, któryby okazałością swoją wszystkich zadziwiał. Znoszą do pokoju *papy* różne serwantki, o których on przeznaczeniu ani nazwisku nigdy nie sły-
szał: na ganku postawią mu dla oka iaką roślinę zagraniczną, której się on nazwiska greckiego *piętnasto-syllabowego* do śmierci nie nauczy. Już dnia poprzedzającego życzenia odesłane mu zostały na kartkach, na których imie życzącego nie zawsze naywyraźniéy czytać można. Przegłądanie tych imiennych świstków przez każdego z zaproszonych gości zabiera czas do obiadu który się pod noc zaczyna. W czasie stołu rozmowa o rzeczach politycznych zajmuie wszystkich uwagę. Wybierają sobie za przedmiot iaki kray, nadają mu nowe prawa, zmieniają mu Ministrów, a tak robiąc z niego teatr odmian, i reformując świat, zapominają o dziadku któryby rad był żeby téż o nim choć słówko powiedziano *in gratiam* iego imienin. Nareszcie podnoszą się wszyscy i przechodzą do innych pokoiów, gdzie już ustawione są stoliki do kart. Już téż dziś dzia-

dunio nie może się wymówić od Wiska: sadzaią go i dają mu 13 kart wrękę, a że moda wprowadziła tę grę w której potrzeba wiele pamiętać, wszyscy tedy po kolei dają Papę, iako *partenera*, za pomyłki których się ustrzedz nie było w jego mocy. Szczęśliwy jeszcze, jeżeli ochocza młodzież otworzywszy fortepian obok niego stojący, nie zagra mu nad uchem iakiego marsza z muzyką ianczarską, z którego on to tylko rozumieć może iż w nim jest wiele wrzawy i hałas.

Taka była z niewielką odmianą treść rozmowy, którą nie dawno, chodząc po Saskim ogrodzie, miałem z Panem IDEECKIM, jednym z najdawniejszych i najbardziej poważanych Notaryuszów warszawskich, którego oyciec Pan Metrykant Ideecki, żyjący jeszcze, był poprzednikiem w tym zawodzie przez lat trzydzieści, w czasie którym ziednał sobie powszechny szacunek. W ciągu naszej rozmowy Pan Ideecki młody, przyznając słuszność moich uwag, wymawiał mi że ie biorę za nadto ogólnie, i wziął na siebie dowieść mi przy zdarzonéj porze, iż jeszcze wsaméy Warszawie jest

wiele domów takich gdzie się dotąd zachowuje cała czystość dawnych domowych obyczajów. Nazajutrz odebrałem list od jego oycy, zapraszający mię do siebie na obiadek przyjacielski w dzień *S. Raymunda*; ostrzegając razem, iż przez uszanowanie dla dawnych zwyczajów, powziętych od lat kilkudziesiąt, obiad będzie o pierwszey. Przypomniałem sobie cośmy mówili z synem w ogrodzie, i nie wątpiłem że to zaproszenie było skutkiem naszej rozmowy.

W dzień naznaczony udałem się do Pana Metrykanta o godzinie o której rozkazał. Znałem tego zacnego obywatela już przed laty trzydziestą, kiedy ieszcze mieszkał na *Krzywém Kole*; lecz późniéy nie widziałem się z nim dość długo dla różnych przeszkód. Pan Metrykant mieszka teraz na Nowym Świecie w domu swoim własnym. Świeżo ukończona budowa nosi na sobie cechę prostéy lecz gustownéy architektury. Sień dobrze opatrzona, iasne i wygodne schody, czystość naywiększa w każdym mieyscu, ludzie domowi przystoynie ubrani i którzy widać że się postarzeliz na iedném mieyscu

razem z Panem swoim; każda z tych rzeczy na pierwszy rzut oka mile uprzedzała o rozumie gospodarza który zasadzał swój przepych na porządku i oszczędności. Oprócz dwóch, czy też trzech domowych przyjaciół, nie dawniejszych ale bardziéy uczęszczających odemnie, reszta w ogóle osmnaście osób, należała do rodziny która na ten dzień zebrała się w wielkim komplecie. Pan Metrykant uczynił mi nader uprzejme wymówki, żem go przez tyle lat nie odwiedził: poczém w kilka minut byliśmy z sobą już tak poufale iak dawniéy. Wielki obraz dziadunia malowany przez wnuczkę i zawieszony nad stolikiem, na którym leżały powinszowania dzieci, przypomniał mi że uroczystość domowa miała za cel obchodzić święto *Patryarchy*. W środku tych hołdów rodzinnych, namalowana była wielka girlanda z kwiatów, wiążąca dwa serca strzałą przeszyte, w obwodzie której napisała najmłodsza z wnuczek *komplement* po swojemu, najpiérwsze słowa których się kryślić nauczyła.

Synowie i córki, siostrzeńcowie i synowice poprzedzili już byli małe dzieci, któ-

re przybiegły gromadą składać życzenia dziadkowi. Na czele téy deputacyi szedł najstarszy syn Pani *Sawiczowey* córki Pana *Metrykanta*. Młody ten kawaler złożył patryarsze w hołdzie uszanowania rozprawę o *sekcyach konicznych*, którą napisał przy zdawaniu z matematyki *examinu marutitatis*. Za nim młodsza siostra niosła w darze woreczek dla dziadunia własną ręką uszyty i wyhaftowany, za którą postępowała starsza, niosąc głowę *S. Jadwigi*, robioną *tuszem*, którą ceremonialnie zawieszono zaraz w przyległym gabinecie, gdzie już było więcéy dzieł podobnych lubéy uczennicy. Potém prowadziły się dzieci synowskie. Starszy z nich ozdobiony tytułem *Diuka* w konwicie w klassie 3, wypalił iednym tchem *perorę* po łacinie, która nie mnieysze zrobiła wrażenie na całej familii, iak niegdy na ludu rzymskim mowa *Cycerona* za poetą *Archiaszem*. Jego brat młodszy powiedział baykę *Krasickiego* pod tytułem: *Słoń i Pszczoła*, którą nie tak dobrze co do słowa iak raczéy w treści wystawić nam umiał. Nareszcie najmłodsza z wnu.

czek, *Michasia* mająca lat dopiero 4 usiadłszy na kolanach dziadka, zaśpiewała na nótę: *Jeszcze za Króla Michała!* piosenkę, której stary nie mógł dosłuchać do końca bez wylania łez obfitych.

Nie mogłem i ja wstrzymać moich widząc czułe podziękowania które ten szanowny Weteran składał dzieciom, osobliwie iednój z córek, co dla niego poświęciła życie, i której żadne względy nie mogły nakłonić do tego, żeby za męża poszła i oycę odstąpiła. Uwielbienie, które za to niesie dla niej w duszy, spada na cały ród niewieści o którym zawsze mówi z największym serca rozrzewnieniem.

«Bez kobiet, powtarza często, początek życia naszego byłby ogołocony ze wszelkiéy pomocy, lato dni naszych nie miałoby żadnego powabu, starość żadnój pociechy.»

Pochwała dzieci, powinszowania wzajemne oyców i matek, zabrały nam czas do obiadu. Stół dobrze zastawiony, bez zbytku iednak i rozrzutności, nie wystawiał

nie nadzwyczajnego: nawet liczba osób zaproszonych była prawie ta sama jak zawsze, ponieważ zwyczajem jest Pana Metrykanta miewać u siebie co niedziela i święto dzieci razem zebrane.

Tam gdzie sława kucharza nie sprowadza gości, gdzie obojętny nie ma miejsca, i sami tylko przyjaciele są zaproszeni, tam wkrótce i otwartość i wesołość panuje. Około mnie siedział pewny Xiądz *Kustos*, którego długa zażyłość w tym domu i dowody przywiązania odbierane od starych i od młodych czyniły jak gdyby należącym do rodziny. Po drugie ręce znajdował się Pan *Kantemir* były Major dawniej gwardyi koronnej z synem, który iakem to miarkował po pewnych spojrze niach Panny Julii, miał także wkrótce do rodziny należeć. Najpierwszy odezwał się Xiądz. — «Ktoby się był spodziewał, mówi, będzie temu lat z górą 50, kiedy dawał ślub Ichmość Państwu Metrykantom, że szanowny nasz Raymund doczeka szczęśliwie tak późnej starości i będzie widział tyle pociech około

siebie!» Na te słowa prosiliśmy Pana Metrykanta ażeby nam co o młodych swoich latach powiedział.

Wspomnienia przeszłości są rozkoszą starych.

Pan Metrykant czyniąc zadosyć powszechnemu żądaniu, otworzył przed nami księgę doświadczenia, to jest życia swojego. Nie taił się że w młodości był wielkim trzpiotem, i że iak to zwykle bywa miał o sobie *dużo* rozumienia; lecz że wychowanie Wuia, przykłady starszych, a nadewszystko doznane przygody nauczyły go iż jedynym sekretem do szczęścia jest cierpliwość i skromność. Zaczęła się tedy rozmowa o cierpliwości i skromności. Pani Sawiczowa pochwaliła się, że była zawsze skromną żoną. Pan Sawicz, że był zawsze cierpliwym mężem. Dzieci za przykładem rodziców, chwaliły się także że były skromne, osobliwie kiedy się lekcyi nie nauczyły; mała Michasia, chwaliła się że była cierpliwą; osobliwie kiedy ją na pokucie posadzono. Tym sposobem szła swobodnie zabawa, aż póki Pan Maior korzystając

z powszechnego uniesienia wesołości nie wniósł toastu. — *Obyśmy od dziś za rok mogli się znajdować razem i bawić tak wesoło iak się teraz bawimy! Za pierwszym kielichem poszedł drugi. Oby Pan Metrykant żył w setne lata! Za nim trzeci: Oby zawsze zdrow był! Przyszła koléy na mnie: spojrziałem niechęący na Julią, która się zarumieniła: Oby, rzekłem, Pan Metrykant mógł się wkrótce prawnucząt doczekać! Julia spuściła ieszcze bardziéy oczy; młody zaś syn Pana Maiora uśmiechnął się, a Xiądz Kustosz dodał: Oby iego pokolenie rozmnożyło się iak piasek w morzu, i oby na wzór Abrahamowego policzyć go nie było można! Takim był ten obiad, ieden z nayprzyjemniejszych, iaki w życiu pamiętam.*

W czasie wetów rozmowa stała się powszechną. Na widok ogromnego tortu, ozdobionego cyfrą *solenizanta*, żywość dzieci obudzona została w sposobie nader przyjemnym: podwoiła tę ich wesołość *explosya* wina szampańskiego, która dała powód do przywiedzenia na plac Momusa. Jego

dowcipne żarty rozbierane, tłumaczone i podawane z ust do ust, zakończyły miły szereg omamień téj rozkosznej biesiady.

Po stole poszliśmy do ogródka przypatrywać się z tarassu okolicom Wisły. Przy niesiono nam do altany kawę: nalewa ją zwykle Panna Metrykantówna, której nie można lepiéy ucieszyć iak kiedy iéy kto powie że ją dobrze robi. Musieliśmy jeszcze pokosztować likworu maraskinowego i lodow pistaszowych, których także nauczyła się podług recepty wypisanéy z kucharza doskonałego wiedeńskiego i z uwag gastronomicznych *Reniera*.

Pan Raymund lubi muzykę i utrzymanie z *Adissonem*, że to iest iedna z rozrywek której rozpusta nadużyćby nie mogła. Za powrotem do pokoiów syn Pana Maiora zasiadł do fortepianu i zaczął familiyny koncert od pięknej uwertury Kurpińskiego z *Kiablory*, za którą dziadunio przepada, a która była przedziwnie odegrana. Młody ten dyrektor orkiestry przybrał sobie potém do pomocy Pannę Julię, i od-

śpiewali oboje głosem jeszcze nie zupełnie wyrobionym, ale pełnym gustu i talentu *Duet* miłosny z opery *Sardżyno*, gdzie się wzajemnie zdawali zapytywać siebie o znaczenie tych słów: *Czy to było z książki czyli też z miłości?* Na zakończenie téj sesyi muzykalnéy, wszystkie dzieci wiele ich tylko znalazło się, za danym znakiem Pani Sawiczowéy, córki Pana Metrykanta, zaczęły śpiew finalny zrobiony na cześć szanownego dziadka. Nie wiem cobym o tych wierszach pomyślał nazajutrz po święcie: to tylko pamiętam że mi się wtenczas wydawały anielskie, ile powtarzane chóralnym głosem przez troje pokoleń, zebranych około tego szczęśliwego starca.

Reszta wieczora zeszła nam na różnych wesołych żartach, po których dzieci poszły bawić się szaradami mimicznymi, kiedy tymczasem starsi zasiadłszy do stolików, podzielili się między maryasza, kiksa i trysetę.

Była może godzina dziesiąta gdym ten dom opuścił, szczęśliwy niezmiernie żem

uradował oczy moje widokiem osób poczi-
wych, pośród których miałem sposobność
przekonać się że dobry oyciec iest nay-
szczęśliwszym z ludzi, i że sprawiedliwa
Opatrzność nagradza naytrudniejszy obo-
wiązek społeczności przez nayczystsze ia-
kie tylko bydź mogą rozkosze.



Nr LXXVIII. 26 WRZEŚNIA 1820.

OBSKURANTYZM.

O quantum est in rebus inane!

PERS. Sat. 1.

O iak wiele próżnych rzeczy na tym świecie!

SZANOWNY PUSTELNIKU!

Czy WPan uważasz to że są ludzie tak szczęśliwi którzy nie potrzebują niczego się uczyć? Powiedz im co chcesz, oni zawsze mają ieden wyraz którym wszystko zastępują. Jest to iak gdyby iaki *talisman* który nigdy

nie wychodzi z ich woreczka, chociaż go ustawicznie wydaia. I tak naprzykład wtéy chwili tym symbolicznym wyrazem iest u nich *obskurantyzm*. Kto powie *obskurantyzm*, nie potrzebuie niczego dowodzić; *obskurantyzm* zawiera w sobie wszystko: iest to patent *wyższości* dla tego który go w swoiéy mowie umieścił, iest to odpowiedź która zamyka stanowczo usta każdemu.

Że iednak ten wyraz iest ciemny i obojętny, że się do niego przywiązuie pewny przesąd czyli zabobon, że nakoniec z niego wyniknęła iuż nie iedna woyna, dobrze będzie poświęcić kilka słów prawdy na wyświecenie iego dwuznacznégó natury, i proszę cię szanowny Pustelniku abyś mi to w swoim piśmie uczynić pozwoił.

Powszechne przyjęcie znaczenia *obskurantyzmu* iest AKTEM oskarżenia na tych wszystkich którzy nie dzielą zbyt dobréy opinii o wieku naszym i którzyby z tego powodu chcieli się wrócić w części do dawnego rzeczy porządku. Lecz aby to oskarżenie było sprawiedliwe i wyraz dobrze znaleziony, wypadłoby dowieść nayprzód, że wiek nasz iest nayoświeceńszym ze wszystkich? — WPan

widzisz, Mości Pustelniku, że ja nie mam w tém żadnego interessu. Owszem przeciwnie, ponieważ jestem człowiekiem dziewiętnastego wieku, powinienbym za nim obstawać: światło tego wieku spadałoby po części i na mnie. Ale ja tego nie widzę, a żeby był istotnie tak oświeconym i boję się niezmiernie nazywać sam siebie wielkim człowiekiem a żeby *potomność* nie powiedziała żem był głupcem.

Kiedy ja widzę, szanowny Panie, w owym przeszłym czasie prawodawców takich iak SOLON, LYKURG, JUSTYNIAN, wojowników iak JULIUSZ CEZAR i KAROL WIELKI, Rządców i Ministrów iak MEDYCEUSZE, poetów iak WIRGILIUSZ i RASYN, mówców iak DEMOSCENES i BOSSUET, uczonych iak NEWTON i KOPERNIK, filozofów iak PLATON i LEIBNITZ, to mi się ta starożytność czyli ten obskurantyzm wystawia iak *olbrzym* przy którym nasz wiek, z całą swoją figurą, tylko karzełka rolę grać może. Patrząc na te kolosalne massy światła którem owe upłynione wieki, pomimo tak wielkiego od nas oddalenia iaśnieją, lękać się należy a żeby ten ocean promieni oświecających, który nam się zdać widzieć

w naszym wieku, nie był tylko punkcikiem słabo błyszczącym, światelkiem którego może żaden z potomnych nie dojrzy!

Ci, którzy są w tém szczerem przekonaniu że wiek nasz musi być nayoświecenijszym i tylko tracić może biorąc za wzór wieki poprzednie, opierają swój wniosek na owém twierdzeniu, że *gdy rozum ludzki postępuje zawsze naprzód*, zatem nie może czynić wstecznego kroku bez zbliżenia się widocznie do obskurantyzmu. — Że *czas postępuje naprzód*, Mości Pustelniku, tego nikt rozsądny nie zaprzeczy. I tak naprzykład wiek ósmnasty jest starszy od wieku siedmnastego o całe sto lat naprzód: to samo także powiedzieć można o wieku siedmiastym który jest o tyleż naprzód starszy od wieku szesnastego; ale żeby rozum wieku ósmnastego był wyższym od rozumu wieku siedmnastego dla tego że ma sto lat naprzód, tego nikt dowodzić nie będzie kto tylko jest dbałym o sławę swojej logiki.

I gdyby nawet chciał dowodzić, Mości Pustelniku, cała powaga historyi stanęłaby by mu naprzeciw. Widziemy z dzieiów że rozum ludzki nie zawsze się kształcił sto-

pniowo, że czasem wznosił się, czasem też upadał. Po świetnych wiekach PERYKLESA i AUGUSTA nastąpiły wieki barbarzyńskie czyli wieki ciemnoty: po sławnym panowaniu Leona X. i Ludwika XIV. mogą również nastąpić mniéj korzystne czasy dla nauk. I nie potrzeba tu wielkich wstrząśnień politycznych: upadek literatury łacińskiej nastąpił na dwa wieki i więcej przed upadkiem Rzymu. W naszej Polsce, po świetnych wiekach ZYGMUNTOWSKICH, nastąpiły smutne dla nauk czasy AUGUSTÓW które znowu podźwignął *Poniatowski*; bo wszystko na tym świecie idzie odmienną koleją.

Starość wieku naszego nie jest więc dostateczną miarą do sądzenia o jego oświeceniu. Gdybyśmy na to zgodzić się nie mogli, musielibyśmy przypuścić że malarze dzisiejszego wieku są wszyscy wyżsi od RAFAELÓW i TYCYANÓW, mając trzy wieki *naprzód* postępu. Tym sposobem *Jacek Przybylski* byłby wyższym od JANA KOCHANOWSKIEGO, komik francuzki *Duval* wyższym od MOLIERA, *Delavigne* wyższym od KORNE-

LA. Tym sposobem nakoniec każdy pierwszy *partacz*, któryby się jutro urodził byłby wyższym od naydoskonalszego Mi- strza któryby dziś zeszedł ze świata.

Nie iestem ja tu bynaimniéy, szanowny Pustelniku, ażeby nymować wczémkolwiek naszemu wiekowi. Ma on swoje zalety: w rzeczach zaś mechanicznych, iako to w sposobie *oświecania się gazem*, żywienia się wykwiutną kuchnią, dogadzania zmysłowym potrzebom iest nawet ARCY-DOSKONA- ŁYM. I wtéy mierze nikt go zapewne *ob- skurować* nie myśli. Lecz, iakkolwiek on iest smaczny i wygodny, nie idzie iuż zatem żeby miał okazywać prawdziwą dą- żność do nauk. Powierzchowność iego isto- Źnie iest zadziwiaiąca: zachodzi tylko wą- pliwość co do iego głąbokości. Powiedzmy sobie prawdę (bo nacóżbyśmy się mieli zwo- dzić sami) że czy to przez niedostatek wiel- kich ludzi, czy téż przez mylny kierunek nauk, zeszedłszy w wielu rzeczach z tego sto- pnia doskonałości na którym iuż byli sta- rożytni. A ieżeli w téy mierze potrzebujemy

bydź podźwignieni trybem dawnych czasów, nie pokrywaymyż wżgardliwem nazwiskiem *obskurantyzmu* myśli która nas na tę pożądaną drogę prowadzi. I w cóżby się obróciły dla nas wszystkie skarby starożytności, zostawione nam w umiejętnościach i kunsztach, gdybyśmy nie chcieli uczynić do nich wstecznego kroku, pod tym śmiesznym pozorem, że rozum zawsze naprzód postępować winien? Szczęście wielkie jest dla nas iż nasi naddziadowie byli *obskurantami*, to jest że się starali zbliżyć do pojęcia, wyobrażenia i naśladowania owych wzorowych wieków, i że nie gardząc tem co było przed niemi, korzystali z doświadczenia, talentu i geniuszu swoich poprzedników! Bez téy chlubney puścizny, która dowodzi razem ich oświecenia i skromności, nie mielibyśmy może gruntownego wyobrażenia wielu nauk ani znali prawdziwych piękności sztuki: dziś ieszcze możebyśmy byli barbarzyńcami.

Com dotąd wyraził, Mości Pustelniku, ściąga się do osób które nawet patrzeć nie

chę na wieki upłynione. Są iednak, wyznać to potrzeba, umysły mniéy zagorzale które przyznaią doskonałość wiekom przeszłym w umiejętnościach i kunsztach, i tylko nie mogą się zgodzić na to aby ie uważać za równie wzorowe pod względem moralności, religii i polityki. Lecz pytam się iak może wiek celuiący, który się odznaczył przez kunszta i umiejętności, nie byđż razem wiekiem celuiącym w moralności, religii i polityce? Wszakże iedno bez drugiego nie idzie; i ieżeli dobrze pamięci naszej przytomna iest historia, przyznamy że ci wszyscy którzy przez swój geniusz lub talenta ziednali sobie wielkie imię w potomości, byli razem bogoboynemi ludźmi i wzorowemi obywatelami. Kunszta, umiejętności i nauki nie mogą byđż tylko skutkiem wysokiey cywilizacyi; wysoka cywilizacya nie może byđż tylko skutkiem wysokiego ducha publicznego, głębokiego przeniknienia się swoiemi obowiązkami, i skutkiem nareszcie światłéy rządu opieki; nauki, umiejętności i sztuki są więc dowodem wysokiey moralności, religii i polityki.

Jakożkolwiek bądź, szanujemy wieki poprzednie. Na cóżby się zdały towarzystwa uczonych, gdyby ieden człowiek mógł powiedzieć że sam więcéy umie niżeli wszyscy jego koledzy? To samo wyrazić też można i o towarzystwie wieków. Z ich tylko połączonego światła wypływa wzorowe oświecenie; każdy bowiem wiek miał w sobie coś celującego z czego korzystać należy; a zatem każdy zasługuie na to ażeby go się uczyć i z niego dobre przykłady, iakie są, wybierać: a jeżeli tak iest, czego nikt rozsądny nie zaprzeczy, cóż mamy trzymać o ludziach, którzy na każdą myśl cofnienia się do wieków przeszłych wołają z całej siły: *obskurantyzm! obskurantyzm!*

Jeżeli obskurantyzm iest gdzie rzetelnie, to zapewne w krzyku tych ludzi, to iest w téy namiętnej ich zarozumiałości, która będąc zatopioną w przesądach i zabobonach wieku swojego, nie widzi nic na około siebie, nie szuka żadnego wzoru do poprawy i myśli że się postawi w wysokiej opinii świata

gdy pokryje nierozsądną wzgardą to co czynili nasi oycowie.

Lecz spojrzymy tylko na tych *samochwalców*, a przekonamy się że oni sami hołdują obskurantyzmowi. Wszystko bowiem *co* umięą (ieżeli tylko umięą) winni są nauce i doświadczeniu wieków przeszłych; to zaś czego nie umięą, mają to że swoięý zarozumiałości czyli niewdzięczności dla *obskurantyzmu*.

Kończąc, Mości Pustelniku, wnoszę iż autor który ten wyraz wynalazł na poniżenie wieków przeszłych, był sam obskurantem; że ludzie którzy tego wyrazu używają nie wiedząc sami dobrze co znaczy, są także obskurantami, to jest działającymi na ślepo i w posród ciemności: że nakoniec wyraz obskurantyzm, w całem swoim znaczeniu, może być tylko przyjęty warunkowo, a zatém stosować się tylko do tych którzyby bez uwagi wieki przeszłe przenosili nad terażniejsze iako również i do tych, którzy zatopieni w przesądach i zabobonach wieku swojego, niosą dziecinną

wzgardę dla wzorowych nauk starożytności.

Jestem z prawdziwym szacunkiem e t c.

BEZSTROŃSKI.

ODPOWIEDZ.

List W Pana, Mości Panie *Bezstroński*, może mieć dwojakie przeznaczenie. Jeżeli jest napisany dla osób rozsądnych i bezstronnych, iak W Pan, ani wątpić że trafi do ich przekonania: jeżeli zaś W Pan rozumiałeś przez to nawrócić głowy zagorzałe, które *używają* wyrazu chociaż *same dobrze nie wiedzą co znaczy*, roziałyłeś tylko gorączkę i sprowadzisz zapewne nowy *paroxyzm*. Napiszą ci za to z iakie dwa tomy *sofizmatów*, których po części będziesz autorem, iako dający zaczepkę. Jednakże iestem nazbyt dobrym Polakiem abym powątpiewał że są jeszcze w naszym kraiu ludzie rozsądni, do których mam sobie za przyjemność liczyć

także i moich czytelników. Oni zapewne osądzą ciebie bezstronnie, Panie *Bezstronński*, i nie pozwolą ci krzywdy uczynić. Co do mnie, nie potrzebuję ci zdania moiego otwierać iak prędko list twój w zbiorze pism moich umieszczam.

PUSTELNIK Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.



Nr LXXIX. 15 PAŹDZIERNIKA 1820.

WESELE NA CZYSTEM.

Humani nihil a me alienum puto.

Terent.

Wszystko mię obchodzi co ma związek z ludzkością.

DOKTÓRZY przepisują ludziom skromnym, żyjącym iak należy, ażeby sobie pozwolili dla zachowania zdrowia raz w miesiąc małego zbytku u stołu. Przebrana miarka w iedzeniu, daie humorom inny obrot, wielce potrzebny do poruszenia krwi, która przez to nabiera większey cyrkulacyi. Ten

sam przepis możnaby zastosować i do chorob uważanych pod względem moralnym: żeby się ustrzedz od słabości umysłowéy iaką znam naygorszą pod słońcem, to iest od nudy, radziłbym magnatom, to iest znużonym tego świata, aby się przebierali choć raz w miesiąc *incognito*, i z kosztownych swoich pałaców wymykali czasem do kawiarni i ogrodów na przedmieściach będących. Salony możniejszych Pánów naszych są z iednéy strony prawdziwe szkoły poluru i delikatności; ta wyższość osób i światła z której się składa massa goszczących wymaga więkšéy uwagi na przytomnych, i tych nawet którzy nie są obecnemi: iest to nieiaka *ceremonialność* zachowania się, która pozwala tylko pewnych przyjętych rozrywek; ta *etykieta* dobrego tonu, która potrzebuie pewnego taktu i zności nie iest bez powabu dla osób które ją zachować umięją. Lecz z drugiéy strony ten uroczysty sposób życia potrzebuie rozrywki, a ta się nie zayduie tylko w poufałéy zabawie prostszego ludu.

Od dawnego czasu, ieśli mamy wierzyć Rzymianom, nuda pod postacią przyzwo-

itości i dobrego smaku, stanęła iak gdyby na straży przed pokojami możnych, ażeby nie wpuścić do nich wesołego humoru i roztargnienia. Czytamy w listach Pliniusza, że sam *poważny* Kato przebierać się musiał, aby przecie mówiono że się choć raz w życiu rozśmiał. Zład zapewne pochodzi że starożytni którzy się znali na cenie życia, przepisywali możnowładzcom składać niekiedy ciężar wielkości swojej przed chatą ubogiego wieśniaka i być uczestnikami jego uciech. Horacyusz więcęcy wymaga: chce nawet aby z nim iedli pospołu.

Plerumque gratae divitibus vices;
 Mundaque parvo sub lare pauperum
 Coenae, sine aulaeis et ostro,
 Sollicitam explicare frontem.

(*Magnaci potrzebują czasem odmiany: iedzenie skromne, zastawione bez przyprawy, pod dachem ubogiego, rozweseliło nie raz ich zasepione czoła*).

Chociażby mię wziąć miano za człowieka złego tonu, nie lękam się powiedzieć iż nie widzę nic zabawniejszego iak być w niedzielę na przedmieściach, w miejscach

poświęconych iakiéy publiczney zabawie. Nigdzie bowiem nie ma pociesniejszych twarzy ani bardziéy oryginalnych figur, iak w tych schadzkach czyli *assamblach* mieszczzańskich. Na wielkim świecie, iakaś niewidzialna ręka ułała wszystkich na iedną formę: to, co piérwszy w imieniu mody lub dobrego tonu wyrzekł, to zaraz staje się prawidłem powszechném dla innych, nie chcących się odróżniać. Tu przeciwnie każdy jest takim, iakim go Bóg stworzył; charakter kompanii w której się znayduje, nie wpływa nic na iego *individualność*; wchodząc do uczestnictwa zabaw wymówił sobie że *będzie naturalnym*, że będzie chodził tak iak umie i mówił to co myśli: a ta ustawa przedwstępna, która każdemu z nich zapewniła ten sam przywilej, wprowadza między niemi taką różnicę obrazów i scen iakiéy podobno nie ma na żadnym teatrze.

Ponieważem się z gustem moim wymówił, pozostaie mi tylko usprawiedliwić go w oczach moich czytelników: czego tém chętniéy dopełniam, żem niedawno miał sposobność sprawdzić uczynione poprzednio

w tęg mierze postrzeżenia. — Nie dawno będzie temu, korzystając z ostatnich dni iesiennych, udałem się podług zwyczaju moiego w niedzielę za Wolskie Rogatki. Jadąc około ulicy *Wroniów*, postrzegłem wiele pojazdów i ludzi stojących przed domem nieiakięgo Pana *Richtera*, z professyi młynarza, oddawna mi znaioęego. Ten poczciwy i dobry człowiek przypomina sobie ieszcze że mi iest winien swoię małą fortunę, ale tego nie pamięta że mię ratował w takiem zdarzeniu od którego życie moie było zawisłe. Kilka koczów piwowarskich, tyleż doroszek umyślnie sprowadzonych, i ludzi postroionych w bukiety i wstążki stojących przed domem, kazały mi się domyślać że iest u niego przygotowanie iakieś do wesela które tylko co miało wyruszyć. Wszyscy mieszkańcy tęg ulicy byli w oknach; przekupki i komoszki, zebrane z całego cyrkułu, stały na froncie rozmaitych sklepików i rozmawiając dosyć głośno między sobą (tak że ich przechodzący słyszeć mogli) dawały każdemu szczegóły to o państwie młodém, to o summie posagowég samég panny, to o weselu, to

nareszcie o bankiecie który dnia tego wyprawiano na Czystem. Tym sposobem dowiedziałem się że Pan Richter wydawał swoją córkę za syna nieiakiiego Pana *Rosenkranz*, piwowara i possessyonata z ulicy Ogrodowéy; że *Wilhelmina*, albo iak ją nazywali *Mina*, miała lat około ośmnaście, i była najpiękniejszą dziewczyną z tych wszystkich które bywały u *Kala* na piwie; a przytém najlepszą tancerką w okolicy, począwszy od ulicy *Wolności* aż do *Twardey ulicy*: że Fryderyk Józef Gotlib *Rosenkranz narzeczony* miał swoje dwa wiatraki, i ieden z nich odstąpił ciotecznemu bratu, który się nazywa Pan *Hunger* i t. d. Byłbym się zapewne dowiedział ieszcze wielu ciekawych rzeczy; lecz nie chciałem dać ucha pewnéy mleczarce, która *umierała* z żalu iż nie mogła zemną mówić, a którę trudno było zaufać, bo widziałem iż się gniewała że iéy na wesele nie proszono. Zostawiłem ją z iéy sąsiadką piekarką ażeby sobie dopomagały: ta przynajmniej jako wdowa miała słusznieszy powód żalić się na młodego Pana *Rosenkranz*.

Pan Richter iak się tylko dowiedział że iestem przed iego domem, wyszedł spiesznie na przeciwko mnie, i w sposobie równie uprzejmym, iak pełnym szczerości, prosił aby go choć na moment odwiedzić. Musiałem wszedłszy zasiść najprzód do śniadania, złożonego z różnych mięsów na zimno przyprawionych, i z różnego gatunku ciast i likworów, po których skonsumowaniu mieli wszyscy dopiero iechać do kościoła. Łatwo domyśliłem się, że rozmowa do ucha którą stary Richter z Richterową prowadził, miała za przedmiot rozwiązać tę kwestyą: czy mię można prosić na wesele lub nie? Wyznaię szczerze iżbym się był zmartwił gdyby ich grzeczność chciała mię była od tego uwolnić. Zeby uniknąć podobnego przypadku, samem im napomknął parę słów, co taki miało skutek że nie czyniąc dalszych *ceremonii*, zaprosili mię według wszelkiej formalności. Gospodarz domu przedstawił mi żonę swoją, a ta przedstawiła mi córkę. Wilhelmina wstawszy zrobiła ukłon który, chociaż nie zupełnie się mógł zgrabnym wydawać, nie był iednak bez wdzięku i przymilenia. Zaczę-

Jem chwalić *Minę* z piękności (gdyż w istocie ładną była). Matka odpowiedziała mi, że bardziéj rachuje na iéy dobre przymioty niżeli na urodę: do czego dodała zaraz niektóre przestrogi tyczące się nowego iéy stanu. Treść tych uwag była tak dobra, tak rozsądna i tak pełna uczucia, żem zrazu myślał iżby iéy nie można było powiedzieć w lepszym stylu ani w wyrazach lepiéy dobranych.

Za danym znakiem całe wesele ruszyło się do pojazdów. Rodzice zajęli pierwsze miejsca w koczach piwowarskich: w jednym z nich siedziało sześć osób; mnie się dostał ten honor że mię posadzili z panną młodą i iéy rodzicami.

Na samém wsiadaniu kilku muzykantów, wziętych z pobliskiego bilaru, zagrali nam marsza z przerwanéy ofiary: *Powracajcie cni Rycerze!* który chociaż exekwowali mając każdy inaczéy nastrojone skrzypce, nikt przecież na całej ulicy *Wroniey* nie zrobił na to stósownéy krytyki. Jechaliśmy noga za nogą przez całą tę ulicę, pomiędzy dwoma rzędami sąsiadów i sąsiadek, z których gdy jedni nam błogosła-

wili, drudzy zachowywali milczenie szyderskie, przez które przebiiał się wyraźny uśmiech złośliwej zazdrości. Pani Rychterowa iadąc zwracała sama moję uwagę na to zdarzenie, a od skutków przechodząc do przyczyn, opowiadała rzecz każdą w takich szczegółach, że nimeśmy przyiechali do kościoła parafialnego, jużem wiedział całą kronikę mieszkańców téy okolicy, począwszy od ulicy *Żelaznéy* aż do samych *Nalewek*.

Weyście nasze do kościoła nie miało w sobie nic osobliwego. Otworzyli nam drzwi od kruchty. Pan Richter nie uprosił sobie żadnego prałata ani kanonika żeby celebrował. Proboszcz także zaięty gdzieindziéy i biorąc literalnie to słowo, młynarskie wesele, zdał na Wikarego obchód téy ślubnéy uroczystości. Zapalono kilka świec u jednéy z pobocznych kaplic. Była pogłoska że nawet organista dał za siebie na ten dzień zastępcę. Jakożkolwiek bądź, po odśpiewaniu *veni creator* i przystąpieniu państwa młodych do ołtarza, *fama* naszego wesela nagle się podniosła. Pani Rychterowa i Pan Rosenkrantz wzięli so-

bie za punkt honoru postąpić wspaniale, i złożyli ofiarę taką że odgłos o ich hojności rozszedł się aż po za murami kościoła. Zakrystyan przybiegł czémprędzcy podać tacę, dziady zebrały się w wielkim komplecie u drzwi, i nawet nie dziwiły się potem że tyle rozdano na piwo; gdyż im ktoś z boku powiedział że Pan Rosenkrantz był piwowarem.

Powrót z kościoła stał się równie ciekawym iak nasze przybycie. Ubiory zabawne drużbów weselnych, radość orszaku należącego do *banda*, nadewszystko zaś korona rozmarynowa na głowie panny młodey, i rumieńce któremi się okryła wsiadłszy do pojazdu, zwracały na siebie oczy przechodzących. Stawano na ulicy ażeby nam się przypatrywać; ile że w każdéy najmniejszcy dorosłce było nas po czworo, i iedni drugim na kolanach siedzieli. Tak przeciągając przez miasto przybyliśmy na sam środek ulicy Chłodnéy. To miejsce w każdą niedzielę jest drugim karnawalem dla rzemieślników niższego stopnia, wyrobników i włościan. Wszystkie szynkownie (a jest w każdym domu iedna ieżeli nie dwie)

opatrzone wskrzypków lub szenekaterynkę, napelnione były ludem tańczącym i ochoczym. Pogoda przyświecała, okna były pootwierane. Kto nie widział nie wystawi sobie iaka iest żywość i wesołość tych *gargotek*. Więcący stu traktyerów i tyluż utrzymujących sklepiki zaledwie mogło wystarczyć niezliczonemu pospólstwu, które zapomniawszy o biedzie, o kłopotach, o jutrze, przychodziło zagrzewać się na tej Chłodney ulicy, iak gdyby na złość rozumowi, który im krzyczy:

Jeżeli w dzień świąteczny wyrzucisz pieniądze twoje za okno, będziesz musiał w dzień roboczy pościć przy pracy ().*

Młody Pan Rosenkrantz pojechał naprzód z swoim teściem ażeby urządzić obiad, który miał bydź dany iak mówiłem, na Czyścim na 40 osób, dokąd téż i my (przecisnąwszy się przecie pomiędzy tysiącem najmniej wozów chłopskich) dostaliśmy się

(*)Festo die si quid prodegeris,
Pro festo egere liceat, nisi peperceris.

PLAUT.

nakoniec na miejsce o godzinie w pół do drugiéj. Dwóch kucharzy, jeden z ulicy *Pokornéj*, drugi z *Faworów*, oba przyjaciele Pana Rychtera, wzięli na siebie zastawienie. Pan młody obiecał pamiętać ocukrach. Ciotka panny młodéj, która się przypatrzyła po różnych kuchniach, była zatrudniona od samego rana robieniem pastetu, o którym chciała ażeby długo mówiono. Pan Rosenkrantz, oyciec, dostawił kontyngens porteru, araku, rumu i wina, i kazał wziąć z swojego browaru dwie beczki marcowego piwa, które zaraz stoczono w butelki. Nareszcie mała kuzynka *Fanny*, która ma swój ogród na Solnéj ulicy, przysłała nowożeńcom dwa wielkie kosze szarych berów, które nie mogłyby być piękniejsze w moich oczach, choćby nawet ustawione były w porcellanowych wazonach, w pałacu iakiego Xiążęcia.

Panna młoda, więcéj skromna niż bojaźliwa, nie miała téj wstydlivości nienaturalnéj i tego przymuszonego trzymania się iakie w podobnych zdarzeniach postrzegamy na większym świecie. Była szczęśliwa i nie lękała się tego pokazać. Po długich

ceremoniach i sprzeczkach, kto nie siądzie na pierwszém mieyscu, zabraliśny się nakoniec do obiadu. Nic myślę opisywać rozmowy między najmniéy czterdziestu kilku gośćmi przytomnemi, którzy iak tylko pierwszą łyżkę do ust wzięli, dali sobie słowo że będą wszyscy razem mówić, krzyczeć, śmiać się do rozpuku, a zawsze iedni coraz głośniéy nad drugich. To było lepiéy, a raczej to było gorzéy gdy wino, porter i piwo rozgrzały umysły. Chciawszy dać wyobrażenie tego hałasu, potrzebaby się odwołać do dawnych, kto ie pamięta, seymików. Przy końcu uczty zaczęły się *vivaty*. Tu radość a z nią i wrzawa doszły do swojego kresu. Kto powiedział że finały w operach MOZARTA są krzykliwe ten nie musiał zapewne słyszeć nigdy wesela młynarskiego. *Finały* młynarzy, ich śpiewy składane, ich intona-cye choralne, są nierównie lucznieysze, i chyba tylko wystrzał całej baterji pozycyi-néy, któraby na raz dała ognia, mógłby iedynie bydz właściwym akompaniamentem do zakrycia tych głosów.

Kiedy już wszystkie zdrowia wyczerpnięte zostały, i wszystkie głowy powysilały

się nad *facecyami*, zastósowanemi do okoliczności, przeszliśmy do zabaw mniej wrzaskliwych. Mężczyźni wyszli chodzić po ogrodzie i zaczęli się próbować na żart który będzie z nich silniejszy. Inni szukali szczęścia w kręgle. Lecz mała kuzynka *Fany*, która bywając po domach szlacheckich, przeięła nieco iak to mówią dworszczyzny, przybiegła po nich i wzięła ich wszystkich do gier dziecinnych. Póydźcie *optyże* (aux petits jeux) mówi im. Wszyscy tedy rzucili się *optyże*; iedni przez ciekawość, drudzy w przekonaniu że może ieszcze będzie co iesć albo pić. Tak więc poszli naprzód w darowanego, potem nastąpiła gotowalnia, potem cenzurowany i t. d. Stare matrony, siedząc na boku, śmiały się do upadłego. Pan Rychter, teść, i Pan Rosenkrantz, oyciec, musieli do młodych należeć i dawać wszystkie fanty. To była pociecha iedyna gdy temu ostatniemu kazano się kłaniać, a za każdy raz inaczeý. W niemniejszym kłopotcie była Pauna młoda. Miała pocałować tego którego naybardziéy kocha. Idzie do kuzynki *Fany*. Nie można kobiety, wołaią mężczyźni. Idzie do brata. Nie można brata,

wołaia Panny. Nareszcie po długich zachodach, przystępuie do Pana młodego, a iuż męza swojego i z powszechną wszystkich radością, pośród tysięcznych oklasków, dopełnia naznaczony kary.

Korzystaiąc z rumieńca, który Panna młoda upiekła, przystąpiono do rozplecin. Po odśpiewaniu piosneczki:

Ah! Zosiu iuż cię tracimy,
Jutro cię Panią uyrzemy.

nastąpiły krakowiaki, a wkrótce i bal iak się należy. Pan Hunger, brat cioteczny Pana młodego, sprowadził muzykę z *pode Lwa*. Poformowały się pary do walca. Można było to o tańcu co o stole powiedzieć: wszyscy chcieli razem tańcować. Szły nieprzerwanym ciągiem mazurki, angiezy, kadryle, drabanty, tampety, a że nogi tych ludzi były równie tak mocne i zdrowe iak pierś, więc ani przewidywać końca téy ochocie było można. Dopełniwszy obowiązku moiego względem Państwa Rychterów, wysunądem się około dziesiątę, między *Szumką* i *Monferryną*, zostawiając bal, mogę mó-

wić, w pierwszym jeszcze ogniu żywości swojej. Pan Rozenkrantz, przez zbytek grzeszności, kazał moim doroszcze precz odiechać, a natomiast zostawił na moje zawołanie swój kocz wygodny. Zabrawszy się do niego, i pożegnawszy moich dobrych młynarzy, pojechałem spiesźnie ku Warszawie. Zbliżając się do rogatek Wolskich, napotkałem znaczną liczbę podchlmielonych ochotników, wracających do miasta z rozmaitych traktyerni i chwiałących się na nogach, a którzy chociaż nie byli na weselu, nie mniej jednak okazywali swoją radość w tysięcznych okrzykach.



Nr LXXX. 18 LISTOPADA 1820.

MŁODZI LUDZIE.

Magnus sine viribus ignis.

VIRG. Georg. III.

Wielki ale bezsilny ogień.

I.

WIELMOŻNY MOŚCI PUSTELNIKU !

Ż^cE nasz wiek jest nayoświeceńszym ze wszystkich to nie ma żadney wątpliwości. Patrzeć tylko po ulicach, wszędzie pełno doktorów filozofii, doktorów medycyny,

Tom IV.

21

doktorów obojga prawa. — Liczba *magistrów praktykujących* jest daleko większa. Ludzie zdadni są trudniejsi do zliczenia niż gwiazdy na niebie, a talenta rozmnożyły się u nas, można mówić, iak plemię *Abrahama*. W Pan, Mości Pustelniku, iako staruszek może tego nie doczekasz, ale bądź pewny że ta *oświata* przyniesie największy zaszczyt naszemu wiekowi: potomni będą uwielbiać ten czas, w którym rzeczą nayrzadszą było znaleźć kogoś takiego co by nie był uczonym.

Jednakże ten wiek tak ukształcony pod względem naukowym nie jest nim zupełnie w równym stopniu pod względem ekonomicznym. Przykro jest powiedzieć, ale widziałem uczonych którzy bótów nie mieli. Geniusz nie samą iedynie sławą żywić się może, i człowiek światły nie tylko *chwały* ale i *chleba* potrzebuie. Ta oboiętność na los uczonych jest plamą w tym wieku, zresztą tak świetnym, i koniecznie powinni byśmy się starać oto aby ci co lud oświecaią byli przecie od ludu wspierani. Tamten ogłosił wielkie i nauczaiące prawdy, wydał nie iedną tajemnicę naturze, a dotąd ieszcze nie mógł znaleźć *posady* na którejby się

sam umieścić. Drugi ułożył *ogromne* naukowe dzieło które postawi go w równi z pierwszymi uczonemi Europy, a dotąd nie ma jeszcze księgarza któryby go chciał pokazać światu i ogłosić przed publicznością plody jego mądrości.

W takim samym przypadku i ja się znajduję, Mości Pustelniku. Jestem literat a do tego literat uzdatniony, ukwalifikowany, praktykujący. Gdybyś WPan widział moje dzieła, to nieżart, co za format, iaka waga! Jestem pewny że ani Pan *Ursyn*, ani Pan *Jacek* (*) nie wydali na świat tyle pism w różnych naukowych przedmiotach, ile ja wydałem ich; bo trzeba WPanu wiedzieć że jeszcze w szkołach będąc pisałem, i niedosypiałem nocy aby tylko pisać. Dla tego też moje *rękopisma* pod względem fabrykatu i woluminu drukarskiego równały się mogły z płodnym piórem *Walter-Scotta*. Cóż kiedy żaden kapitalista nie chce do *uszcznionych* przeze mnie laurów przyłączyć swoich pieniędzy, żaden księgarz nie chce wziąć na siebie an-

(*) Jacek Przybylski.

treprzy zrobienia mi sławy! I iakie to jest zaślepienie tych ludzi? Wszyscy mówią że iestem za młody abym dzieła mógł wyda- wać: iak gdyby nauka nie mogła przyiść komuś przed wiekiem, i iak gdyby konie- cznie potrzeba było bydź starym żeby mieć rozum?

Z tēm wszystkiēm ia dobrze wiem, Mości Pustelniku, co wart iestem. Moie dzieła, które są wyborne (o ile sam o tēm sądzić mogę) potrzebuią tylko wsparcia i zachęce- nia. W ręku naprzykład iakiego zamożnego spekulanta byłyby skarbem: nie mówię skarbem dla tego, iżby ie łatwiéy iako spe- kulant spieniężyć mógł, ale iżby mu zamie- nione na gotowiznę ziednały sławę i zna- czenie w świecie uczonym.

Wprawdzie iabym mógł się wprzódy iak wie- lu innych dać poznać światu przez iakie ulo- tne pisemko, przez iaki *artykułik* przesłany do Gazety, Kuryera lub Pamiętnika Warsza- wskiego; lecz tyle ludzi rzuciło się do tego spo- sobu iż w tłoku boię się być niedostrzeżonym. Zdaniem moiēm ta tylko spekulacya iest do- bra, na którą mało kto spekuluje; w rze- czach *przemysłu* kryte ścieszki są daleko

lepsze od bitych gościńców. A potem ja zawsze wzgardzałem tym *dorywczym* sposobem wstawiania się; ja nie jestem z liczby tych niedotrawionych autorków, którzy są niezmiernie z siebie kontenci gdy ułożą gładko kilka sylab, albo się mają za wielkich ludzi dla tego że im się udało napisać jedną całą kartę bez gramatykalnych omyłek. Słowem: ja jestem autor *in folio*, i jeżeli się mam odstawić publiczności, chciałbym to *hurtem* uczynić, aby czytelnik nie wziął mię za jakiego *pygmeyczka* których tyle jest na świecie w literackim zawodzie.

Tymczasem zaś, dobry Pastelniku, czy byś Wpan nie mógł mi znaleźć na mój rozum odbytu? Niepodobna jest żebyś nie znał jakiego małego ezłowieka któryby, mając więcej usposobień pieniężnych niż naukowych, chciał odemnie zakupić sławę autorską wcale nową i nie używaną którą mu spuszczyć tak tanio iż się będzie mógł pochłubić że ją prawie *darmo nabył*.

Wiem to dobrze, iż w układach podobnych między próżnością z jednej a niedostatkami z drugiej strony, należy zachować

taiemnicę przez wzgląd na kupującego; ale WPan możesz zapewnić każdego z konkurentów że słowa nie powiem i dla większego nawet ukrycia gotów iestem zeznać gdyby tego żądano przed Notaryuszem (aby tylko interessent wziął na siebie prawne koszta) że ani iednego wiersza nie będę nigdy *windikował*, ani dopominał się z całego zbioru ośmnastu tomów *Rozmaitości* które mam do zbycia.

Co więcéy nawet, podeymuię się za osobnym wynadgodzeniem napisać *recenzyą* pochwalną, na rzecz kupującego, to iest dowieść i ogłosić przed całym światem że ten autor moiéy roboty, (chociażby nabywca nie umiał czytać ani pisać) iest pochodnią wieku, światłem umiętności czystych i skarbem nieprzebranymszelakiéy mądrości. Niech tylko da pieniądze na druk a o resztę niech będzie spokojny.

Cóż WPan mówisz o moim zamiarze? Mnie się wydaje że ta myśl nie iest wcale nowa i że iuż dawniéy byli tacy ludzie którzy się trudnili handlem autorskim, i którzy za pewną umówioną cenę pisali *Mowy* wrozmaitych politycznych i naukowych

przedmiotach (*). Cała różnica iaka między owym czasem a dzisiejszym zachodzi jest ta, że przed laty było więcej pieniędzy a mniej rękopismów, gdy przeciwnie dzisiay jest więcej rękopismów aniżeli pieniędzy, i że oycowie nasi sami się prosili ażeby im zrobić sławę autorską, gdy teraz my autorowie musimy się prosić ażeby nasz rozum kupiono.

Jeżeli WPan znajdziesz na ten towar dla mnie kupca zobowiążesz nieskończenie tego który ma zaszczyt pisać się etc.

TOMIKIEWICZ.

II.

WIELMOŻNY MOŚCI PUSTELNIKU!

WPan, staruszkę, który iesteś z przeszłego wieku, powiedz nam dla czego w dzi-

(*) Autor listu mówi tu zapewne o fabryce XX. Piłarów za seymu czteroletniego.

sieyszym dwóch ludzi, wychodzących z iednego punktu, spieszących równemi silami do iednéy mety, nie tylko nie osiągną na raz iednego celu, ale często wyidą na dwie przeciwne sobie drogi?

Naprzykład, było nas dwóch braci stryjecznych w szkołach woiewódzkich w Piotrkowie. Wszystkie promocyje i nadgrody w książkach razem nas spotykały: oba zarównu uczyliśmy się i przytém oba mieliśmy zarównu mąiętnych rodziców. Jedziemy do Warszawy, po otrzymaniu *maturitatis*, w stopniu ludzi doyrzałych; ale przytém bierzemy nauki w uniwersytecie: ja otrzymałem medal wielki srebrny za rozprawę, on mały złoty. Ja i on iesteśmy magistrami: któżby powiedział że losy nasze będą tak różne?

Wyieżdżając z Kaliskiego mój kuzyn zabrał się z Hrabią ANTENACKIM i poiechali wspólnym kosztem oba razem *extra-pocztą*: ja wsiadłem do skromnéy ale oycowskiéy bryki. Ta mała okoliczność nie miała ieszcze żadnego stanowczego wpływu na nasze przeznaczenie, bośmy prawie razem z kuzynem stanęli w Warszawie, wiednakowych fra-

czkach, robionych przez jednego krawca, naymodniejszego iaki był w Kaliszu; tylko że mój kollega stanął z swoim Hrabią à *l'hôtel d'Angleterre*, a ia kazałem się zawieźć prosto na Bednarską ulicę do jednego z domów zaieżdnych.

Mieszkanie moje kosztuje mię tyle co i moiego brata: tylko że ia mam cztery pokoie od ulicy na pierwszym piętrze, a on dwa pokoiki od tyłu w dziedzińcu (co mu nie przeszkadza notabene chwalić się że lepiéy stoi o demnie).

W podziale listów rekomendacyinych dostaliśmy oba iednakowe równe części: tylko że mój kuzyn wybrał sobie listy do Xiężnéy D. . . . na ulicę Senatorską, do Hrabiego Z. . . . na Miodową i do Barona R. . . . na Nowy Swiat; Ja zaś wziąłem do Podczaszynéy L. . . na Podwale, do Sędzinéy C. . . na Nalewki i do Mecenasa A. . . na Długą ulicę.

Odtąd nasze zabawy, chociaż równie przystoyne, niesą iednakowo świetne. On porobił znajomości na wielkim świecie, ia żyję z drobną szlachtą; iednakże on się nudzi, iak powiada, po wielkich domach; ia czuję że się bawię po małych: a tak przynaymniéy

jedno idzie za drugie i różnica która iest w powierzchowności nadgradza się rzeczywistością.

Równy pociąg do sztuk pięknych sprowadza nas zarówno na teatr: tylko że on woli byđć dwa razy a w krzesłach, a ia trzy razy a w parterze, on przyidzie *par extraordinaire* na iakiego zagranicznego śpiewaka, (kiedy łoże pierwszego piętra zaiętesą przez modny ton) ia chodzę z narodem na każdy melodram i nie opuszczę mogę powiedzieć żadney czuley sztuki.

Oba mamy we wszystkiém, Mości Pustelniku, iednakowe wydatki: i tak naprzykład ia przeznaczam tyle pieniędzy na doroski ile on na remizy, lecz ia codzien prawie ieżdżę, on zaś tylko w dni etykietalne; nayczęściej zaś lubi wsieść do cudzego poiazdu. Nareszcie ia mam tyle może i więcej sukien od niego: ale iego fraki robione są w warsztacie *Wina, Włodarskiego* albo *Klewsa*, mnie zaś robi iak umie *Kuźma* i *Zahemski*.

Słowem że przeiadamy zarówno oba nasze dochody, iesteśmy w równym wieku, mamy iednakowe usposobienia naukowe,

niektóre damy znające się na tem utrzymują nawet że jestem od niego piękniejszy, a jednakże on jest znany i cytowany wszędzie, a ja znikłem w tłumie; iego położono już na liście Referendarzy Nadzwyczajnych, a ja nie mogę zostać nawet zwyczajnym Assessorem: i żeby WPanu, staruszk, dać wyobrażenie wszelakich korzyści iakie zaczyna mieć nademną, powiem ci że wczorajszego dnia wprowadziłem go do moich Mecenasostwa na Długą ulicę i że tam zawrócił zaraz głowę Pannie Mecenasównie na którą ja rachowałem, która mię dosyć lubiła i z którą byłbym się pewno żenił.

Przyznay, dobry Pustelniku, że jest przykro stracić czas, pieniądze i Pannę dla tego tylko że ktoś mieszka w domu zaiezdny a nie w hotelu, że bywa u Mecenasów i Sędziów a nie u Hrabiów i Xiążąt, i że nareszcie przekłada bydź z narodem na czułym melodramie niżeli z modnym tonem na iakiej operze lub koncercie zagranicznego śpiewaka.

Jeżeli WPan możesz mi udzielić rady światła i doświadczenia twoiego, chciéy to uczynić. Jestem ieszcze dosyć młody i mogę

się poprawić: byłoby to że na świecie pozory więcéy u ludzi znaczą niżeli rzeczywistość? I że aby czém zostać trzeba pierwéy samemu czemści się uczynić? Nadewszystko naucz mię czy przestając z Hrabiami mogę tym samym zostać Hrabią? Te i tym podobne wątpliwości mocno mię teraz obchodzą: od ich rozwiązania zależy przyszłe moje szczęście i powodzenie. Rozkaz iak mam postąpić, powiedz, a wszystko uczynię.

Tymczasem proszę przyjąć zapewnienie szczerego poważania etc:

Pocziwski.



Nr LXXXI. 20 GRUDNIA 1820.

NOWA SZTUKA.

Ficta voluptatis causa, sint proxima veris.

HOR. A. P. v. 338.

Chcecie się podobać? Niech wasze zmyślenia
będą do prawdy podobne.

Jest to dosyć pospolite przysłowie między ludźmi, że kiedy kto pokaże nieosobliwą jaką sztukę, *na raz sztuka*, mówią; chcąc przez to dać do zrozumienia że raz pokazana przestaje być sztuką. Pomyślność te-

Tom IV.

22

atru narodowego, postęp sztuk dramatycznych, oświecenie i polor które mają być owocem dobrych zabaw scenicznych, zależą od tego rozwiązania iak wiele w jednym roku aktorowie wystawiaią sztuk takich które są na raz sztukami. Im częściej bowiem artyści dramatyczni muszą się odnawiać, tém mniej mają czasu dobrze się nauczyć swoich ról, tém mniej dyrektor ma sposobów dożenia na wydatki nowych wystawień i publiczność przejścia się dobrym gustem i zasmakowania w tém co jest prawdziwie pięknem.

«Boday nie było nigdy żadnych sukien gazowych! (mówiła mi pewna damana bal iadąc) tego już potem na nic użyć nie można. Nie ma iak te bławatne materye któreśmy dawniej nosiły, rzekła dalej: a kiedy już taka suknia schodziła się, można z niej było jeszcze zrobić sukienki dla dzieci, z sukienek kaftaniki, denka do czółek, ombrelki i tym podobne rzeczy.— WPani Dobrodzieyka odezwałem się, uczyniłaś niechęć krytykę dzisiejszych sztuk teatralnych. Melodramy i w ogólności wszystkie niedorobione farsy, są to suknie gazowe,

których ani odświeżyć ani odprasować nie można. Prawdziwie zaś dobre sztuki są to bławatne materye których schodzić niepodobna. Za dwudziestem wystawieniem sztuki baczny słuchacz postrzega ieszcze w nię coraz nowe piękności; i kiedy taka sztuka nawet zupełnie się zużyje, można z nię ieszcze zrobić sukienkę dla dzieci, to jest operę, paradę, balet, farsę albo parodyą, i tym podobnie.

Ci co się ubiegają za nowemi sztukami nie dają mi naylepszy o sobie opinii: na tym świecie, tak fizycznie iak moralnie rzecz biorąc, dobrego iest bardzo mało, miernego zbyt wiele: na stu nowych sztukach zaledwie iedna iest dobrą: kto więc bywa tylko na samych nowych sztukach, bywa tylko na samych złych, z małym wyjątkiem: traci więc na marne pieniądze i za to ieszcze przeymuie się nayczęścię złym gustem.

Włosi daleko rozsądnię postępują w wyborze swoich zabaw scenicznych. Sztuka wtenczas dopiéro zaczyna bydź u nich nową, gdy ją godną pochwał uznali: wszystkie zaś mierne, choćy naynowsze sztuki,

uważają za stare *facecye*. I dla tego u nich na piérwszém wystawieniu zawsze naymnieý bywa osób: czekają aż nowa sztuka przeydzie próbę doświadczenia, aż ją znawcy osądzą. Dotąd zaś mają ten nieznaný plód za naygorszy; bo wiedzą iak wielka jest liczba szarlatanów którzy fabrykują scenę i psują że tak powiem gatunek sztuk dramatycznych.

Tę samę ostrożność zachowują także Włosi względem innych sztuk pięknych i względem literatury. U nich Ariost jest nowszy niż *Zuchelli* (*).

Zwyczaj robienia sobie *fety* z nowéy sztuki ma iednak swoje szlachetne źródło: zwyczaj ten od Francuzów pochodzi. Krótko przed wstąpieniem na tron Ludwika XIV zjawił się iak wiadomo we Francyi geniusz obdarzony od natury rzadkiém uczuciem piękności. Ten poeta (bo to był poeta) ustanowił święto *na cześć Muz* w sposobie dla

(*) *Zuchelli* ieden z naynowszych i razem nayniezniejszych autorów, w samych Włoszech malo znany.

nich naywłaściwszym. Paryżanie mieli już pod ten czas swoją *tak zwaną* scenę narodową, ale to był tylko zbiór parad i farsów hiszpańskich i naśladowanie samych niedorzecznych włoskich *bufonad*. Piotr KORNEL postanowił dać im CYDA, to jest *nową sztukę*. Dwór, akademia, uczeni, ludzie światowi, cały Paryż, dotąd tak różni w zdaniach o teatrze narodowym, nie mogli się dosyć odchwalić téj pracy. Wszyscy chcieli widzieć *nową sztukę*; każdy mówił tylko o nowéj sztuce: nowa sztuka stała się przedmiotem czci i uwielbienia; podobna do gwiazdy porannéj zagasiła wszystkie nocne światelka, rozwidniła pierwszą zorzę publicznego oświecenia.

Długo Kornel był sam jeden który wystawiał Francuzom nowe sztuki, godne Cyda; lecz już umysły wzięły swój popęd, a natura chciała oznaczyć tę epokę przez nadzwyczajne zjawiska. MOLIER wyższym jeszcze obdarzony geniuszem, RASYN lepszym gustem i delikatniejszém uczuciem serca niż Kornel, oba przewyższając sławnego poprzednika swojego, wydoskonalili urozystość nowych sztuk od niego zaprowadzo-

ną. Więcący iak przez trzydzieści lat szły nowe arcydzieła iedne po drugich: *Andromaka* i *Mizantrop*, *Ifigenia* i *Amfitryon*, *Fedra*, *Atalia* i *Świętoszek*, te były upominki sławy narodowéy trwalsze nawet od tych, które ówczesny monarcha wzdobytych prowincyach wystawiał. Każda z tych nowych sztuk była przedmiotem tryumfu przy każdym pierwszém wystawieniu. Ze wszystkich końców królestwa zieżdżano się iak na gry olimpijskie na dzień oznaczony. Rolnik rzucał domowe zatrudnienia, kupiec interessa handlowe, damy na chwilę kochanków, ażeby widzieć te nieporównane dzieła. Cała Francya była w zachwyceniu, Król zachęcał i nadgradzał. Żaden z dworzan nie byłby za wszystkie grzechy świata opuścił nowéy sztuki Rasy, a Monarcha któryby natenczas nie był widział w teatrze którego z swoich Marszałków, niezawodnie byłby posyłał dowiadywać się na drugi dzień o iego zdrowie.

Takim sposobem utworzył się ów dostoiny AREOPAG, który miał potém tyle wpływu na postęp literatury i dzieł imaginacyi i takim sposobem utrzymuje się do dziś dnia we

Francyi trybunał gustu, do którego wyta-
czane bywają sprawy poezyi dramatycznój.
Co do nas, my tak daleko nie postąpiliśmy;
u nas o losie nowych sztuk wyroki zapada-
ją przez *rezolucyę* wydaną z zakulis: iedna
lub dwie pogłosek puszczonej z ręcznie
między publiczność o wartości mniemanój
iakięgo dzieła, dwa lub trzy podstępny mnięj
więcęj niewinne, osadzone w samym tytule
sztuki, nareszcie *czerwony afisz*, oto są
zalety które zwykłe na los i sławę naszych
dramatów wpływają; bo u nas nie ma ie-
szcze *ugruntowaney* publicznej opinii. W na-
szym kraju mało ieszcze iest takich widzów
którzyby wiedzieli na czém istotnie zależy
naśladowanie natury; nie porozumieliśmy
się ieszcze dobrze iaką położyć granicę
między utworem klasycznym a romanty-
cznym; nie dosyć brzydzymy się melodra-
mem, co więcęj nawet chwaliśmy nie raz,
ubóstwiamy to *monstrum* dramatycznej na-
tury. Dzień zatem pierwszego wystawienia
nowej sztuki iest wprawdzie u nas dniem
popisu, czyli *examinu* czego się nauczyły
dzieci *APOLLINA*; lecz publiczność która skła-
da kommissyą *examinacyjną* nie ma prze-

pisaney takięj organizacyi podług którejby dobrze działać mogła. Sztuka regularna 5^{ci}o aktowa (np. *LUDGARDA*) i farsa bezecna 3 aktowa (np. *Koziół*) mają zupełnie równe u nas powodzenie. Ta sama publiczność daje na tym samym teatrze te same oklaski Horacyuszom co i Machabeuszom; z tym samym zapalem póydzie na Króla *Leszka* co i na *Tankreda*: a w tém zamieszaniu i nieładzie gustu, jeżeli musi dać pierwszeństwo i potrzebuie się zdecydować, czasem przeważy szalę sprawiedliwości tam gdzie uyrzyiedną nową dekoracyą więcéy; albo gdzie iedna falbanka mniej więcéy krótka u iakięj ładnéj baletniczki przemówilepięy do serca.

Jakożkolwiek bądź, autor który się chce u nas pokazać na Parnasie, który wzgardza temi drobnemi środkami, i pragnie wystawić nam nową sztukę w całym znaczeniu tego wyrazu, ogłasza *trzy miesiące naprzód* dzień pierwszego wystawienia swojego dzieła i wyzywa wszystkich prawdziwych znawców do dania o niem wyroku. Obaczmy iak się ta *ceremonia* u nas odbywa.

Nie rachuiąc ani na dekoratorów, ani na krawców, poeta swoją sztukę porządnie uło-

żył: osnowę wziął z dzieiów oyczystych, charaktery dobrał szczęśliwie, plan dostatecznie rozważył i zgłębił: sceny są interesujące, sytuacye mocne i tragiczne, szyk prosty i naturalny; a ieżeli gdzie niegdzie zostawił ieszcze w stylu iaką *chropowatość* pokrywa to podług przyiętego zwyczaju *sentencya* moralna iedna i druga lub iaki patryotyczny wykrzyknik. Autor taki pozyskał iuż szczęśliwe słowo że mu się aktorowie iego trudney sztuki nauczą, iuż nawet wyszedł z rąk cenzury i dożył aż do dnia ostatniéy próby. Już nareszcie mówią mu że *będzie iutro grany*. Zważmy teraz iakie są iego niespokoyności, szczęścia i nieszczęścia, słowem iego powodzenie i przeznaczenie.

Jeszcze sztuka była w repertoryum, czekając rozpisania ról, gdy iuż po mieście chodziły różne o niéy wieści; iedni ogłaszali *urzędownie* że autor zły wybór uczynił; inni że pobrał wiersze *Felińskiego* inni że to iest ten sam którego sztuka w roku zeszłym dawana upadła; inni nareszcie że autor nic ieszcze cudzego nie pochwalił, i że zapewne iego tylko dzieło będzie do-

skonałe. Aktorowie, ci co nie graią w iego sztuce, i ci nawet co pobrali role które osądziłi że nie są dobre, albo niedogodne dla ichl poięcia i pamięci, mówią także iż wątpią aby się sztuka udała. Bracia nakoniec poeci, którzy sądzą że mają prawo żalić się dla tego, że ich sztuk przed innemi do grania nie wzięto, zawistni pisarze, (bo trzeba wiedzieć że i między autorami zawiść panuje) ci wszyscy roznoszą po domach i miejscach publicznych naysmutnieysze wróżby. Zdrugięy strony przyjaciele, pochlebcy i złośnicy nayzręcznieysi wywyższaią zawczasu dzieło pod niebiosa, wyznaczaią mu miejsce między CYDEM i LUDGARDĄ, HORACYUSZAMI i CYNNA i obudzaią tym sposobem przeciw biednemu autorowi miłość własną wszystkich współczesnych.

Nakoniec dzień piérwszego wystawienia, dzień ten pożądaný nadchodzi. Jeszcze autor oczu nie otworzył, iuż na niego czeka mnóstwo ludzi w przedpokoju. Trzeba odpisać na kilka, a czasem na kilkanaście biletów nadesłanych przez damy które się żalą na autora, iakby to iego winą była, że nie mogły loży dostać, albo czemu sztu-

ki swojey nie odłożył do dnia następnego. Po tych pierwszych zatrudnieniach następują wizyty od różnych przyjaciół, a czasem ledwie znaiomych, którzy winszując autorowi sławy, iaką sobie niezawodnie ziedną, obiecują mu dawać *bravo* za każdym trzecim lub czwartym wierszem i przyrzekają wywołać go po ukończonéy sztuce *na scenę*: (które to słowo jest najczęściej niedotrzymane przez wielu z nich z obawy żeby nie sądzono iż mają bilety darmo rozdane). Jeżeli autor wzbrania się przyjąć tę ofiarę i oświadcza że powodzenie swoje chce być winien, nie tak łasce swoich znaiomych iak raczéy sztuce, ci usłuźni przyjaciele nauczą go że nie ieden sławny poeta tym sposobem się ratował; pokazują mu historyczne dowody, składają nakoniec listę wszystkich złych sztuk które się udały za ich pomocą. Niechże autor zniecierpliwiony powie że iego sztuka nie jest tak złą iżby potrzebowała tych podstępów, natenczas ci mniemani opiekunowie pokażą mu listę sztuk wcale dobrych, a które przecież upadły dla tego że przyaciół nie miały.

Żeby się pozhyć tych natrętnych dobroczyńców i skończyć rozmowę która iest wielce drażliwą dla poety, nasz autor ubiera się śpiesznie i wychodzi na świeże powietrze. Druga godzina przypomina mu, że dał słowo bydź o téy porze u *restauratora* gdzie go czekaią dobrzy przyiaciele daiący obiad dla niego. Niespokoyność, która go opnowała w domu, nie daie mu chwili swobody u stołu. Na próżno szampan pieni się w kielichu na cześć iego, i na próżno wesoły okrzyk zwiastuie po sali imię *Solenizanta*, za każdém uderzeniem zegara autor widzi tylko zbliżaiącą się chwilę która ma ostatecznie o iego sławie stanowić.

Nareszcie uderzyła szosta godzina. Tłumy ludu zapychaią wszystkie przeyscia do teatru; *czerwony afisz* podwoił liczbę miłośników sceny: nie ieden który się oglądał na ciężkie czasy, dobywa z swoiéy kieszeni woreczka pomyślawszy sobie że to iest *nowa sztuka*; bo iak można, mówi, żeby to co iest nowém nie było ciekawém? Naywiększa ciżba tłoczy się przy kassie: lecz zkądże to pochodzi że przedaią więcéy biletów niżeli się osób pomieścić może? Czyliżby

to była grzeczność dla autora ażeby mówiono iż na jego sztuce było tyle widzów że się ledwie nie poduszono? Na pierwszym wystawieniu *Wiśliczanek* tylko co nie postradał tym sposobem życia pewny starzec który raz ieszcze przedeśmiercią chciał widzieć *Króla Łokietka*.

Lecz wreszcie każdy iak mógł dostał się do sali teatru: w samym środku parteru wszystko iest w naywiększym nieładzie; zdaie się iak gdyby wały oceanu były w poruszeniu: każdy się pcha, każdy się posuwa. Już ławki zabrane i siedzieć nie można. — *O to sztuka!* stać przez pięć godzin na iednym mieyscu! Ale co tu robić? Trzeba się bawić aby czas prędzéy zeszedł. Jedni wołaią zaczynać sztukę, drudzy chcą mieć pierwéy polonez *Kromera*, inni nakoniec wyciągaiąc z tłoku odrętwiałe nogi wytupuią niemi mazurka ażeby się przecie rozerwać. Naywiększe pustki panuią ieszcze po lożach.

Tymczasem poformowały się koła w parterze: każda *koterya* ma w pośrodku swojego *mówcę*, rozumuiącego nad rodzajem sztuki, nad tytułem dzieła, nad rolami lepszymi lub gorszymi rozdanymi, i nad sposobem

w jakim rzecz całą uważać należy. Te przedwstępne zdania przerywane są zieżdżaniem się dam wcześniejszych które o w pół do siódmey już się śpieszą aby im kto łoży nie zaiął. Tamtéy postawa piękna iest przedmiotem powszechnego uwielbienia, téy niezgrabny układ albo stróy pobudką do szyderstw. Smieią się z tego męzczyzny który sam ieden rozparł się w łoży i lornetue na wszystkie strony. Ta maleńka scena ustępuje wkrótce mieysca drugiey. Winszują na głos komus co niezmiernie ziewnął. Ale tlok staie się nareszcie nieznośnym; publiczność się niecierpliwi, hałas okropny: *nie wpuszczaycie! nie wpuszczaycie!* wołaią ze wszech stron: *zaczynać! zaczynać!* dodaią patrząc na zegarki: godzina siódma.

Już *orkiestra* pełna widzów, już lampy opatrzone, aktorowie ubrani: zaczyna się sztuka, podniesiono zasłonę.

Cicho! cicho! rozchodzi się zewsząd szmer. Próżne usiłowania! tamten nie wie co ma zrobić z kapeluszem, ten nie czuie zupełnie wolnych boków, tamten nic widzieć nie może. W górze nie większa spokoyność: damy nierychło na teatr przyieżdżaiące robią ha-

łas po korytarzach i chcą być widziane wchodząc do łoży. Pierwszy akt się skończył; nie słyszano dobrze *expozycji*: to może uczynić sztukę niezrozumiałą w dalszym ciągu, chyba że autor zechce powtórzyć przedstawienie swoje w drugim akcie co się też czasem dzieje, iak tego mamy nie raz przykłady.

Nareszcie łoże napęłniły się w ciągu drugiego aktu: kobiety używają tego czasu na pokazanie siebie, na rozpoznanie tych co im woczy wpadli; wymierzają lorynetki na wszystkie punkta sali, wychylają się do połowy, kłaniają, dają znaki to głową, to rękami, a intryga sztuki już jest zawiązana kiedy te damy jeszcze nie wiedzą iakie są osoby które do niéy należą.

W trzecim akcie uwaga zwraca się na sztukę. Tu zawiść zaczyna swoje postrzeżenia; publiczność się rozdziela na dwie części: gdzie jedni chwają sytuacją mocną, skutek dramatyczny, wiersz śmiały; tam drudzy wołają, że to jest naśladowanie! *galicyzmy!* francuzczyzna i nic więcéy! Łoże unoszą się nad rozmową dwóch nieszczęśliwych ko-

chanków; parter znajdzie tę rozmowę bez celu i potrzeby. Niechęć czuwa tylko aby podchwycić iakie niewłaściwe słówko i zepsuć cały *effekt* sceny na którą autor miał prawo rachować dla usprawiedliwienia śmiały *dykcyi*, lub nieużywanego iakiego wyrazu.

W pośród tych poruszeń i tego napływu zdań różnorodnych (gdzie wszystko znajdziesz *prócz publiczney opinii*) sztuka narazie przychodzi do końca; a imie autora wywołane jest i pokryte powszechnemi oklaskami któremi nie można iednak zakryć i zagluszyć niemiłosiernego sykania dwóch lub trzech *malcontentów*, którzy nieiako protestują się tym sposobem przeciwko zapadłemu wyrokowi.

Autor który nie mógł ostać się na miejscu podczas sztuki, którego widziano iak chodził z krzesel do loż, z loż do *kulis*, szczęśliwy nakoniec że iuż iego łódka (choć to nie było bez przypadków) w porcie stanęła, bieży do *garderoby* dziękować artystom za dobre przyiętych ról odegranie, i nie sądząc aby iego pochwały były powta-

rzane, przyznaie iż wszystko aktorom iest winien. Idzie potém pomiędzy publiczność odieżdżającą zteatru i chciałby raz ieszcze iéy zdanie usłyszyc: nie zawsze iego miłość własna wychodzi dobrze na tøy ciekawosci. Poznano go w sieni; iedni z obojętnością przystępuią do niego i winszuią mu: on się skromnie kłania. Inni przechodzą uśmiechając mu się dwuznacznie. *Drugi raz lepiej napiszesz*, mówi mu głośnie z daleka iakiś orderowy Pan którego zwiastuią karetę; biedny autor krzywi się i ledwie może gniew swój ukryć. Jego nieukontentowanie dochodzi do naywyższego stopnia, gdy widzi iż kilku literatów iego znaiomych przeszło około niego nie uczyniwszy mu innéy grzeczności, nad tę że go ścisnęli za ręce nic mu nie mówiąc. Lecz nagle twarz iego roziaśniła się: uczucie, które ią ożywiać zaczęło, nadało iéy wyraz słodszy i uprzejmieyszy; iakaś nadzieia, połączona z pewną oznaką dumy, zabłysła w iego oczach. Dwie damy przystąpiły do niego ze skwapliwością którэй same w sobie ukryć nie mogły; i kiedy iedna to iest starsza w pięknych sło-

wach wychwalała doskonałość jego sztuki, druga, czyli młodsza w piękniejszych nierównie spoyrzeniach chwaliła ieszcze lepiej samego autora.



Nr LXXXII. 11 STYCZNIA 1821.

G A Z E T Y.

Haec tum multiplici populos sermone replebat.
Gaudens.

VIRG. Aeneid. lib. 4.

Lubią rozsiewać różne wieści pomiędzy ludźmi.

KAŻDY człowiek tak żyć powinien na tym świecie ażeby o każdéj godzinie gotów był umierać. Zacząłem z wielu innemi rok 1821; lecz ktoż mi zaręczy że będę widział początek następującego, ile że ten przyszły ma być siedemdziesiątym siódmym życia moiego? Nie pochlebiam sobie bynajmniey

sporządziłem testament, przepisałem nawet sposób wiaki pragnę aby mnie pochowano. Dopóki iednak zostaje mi kilka chwil wolnych chciałbym ieszcze póki żyję uczynić coś dla miłości bliźniego, i w tym celu postanowiłem obrócić rzecz do tych którym całą moją wziętość iestem winien. Domyśleć się może łatwo czytelnik, że tu iest mowa o gazetach: dzisieysze pismo poświęcone będzie ku ich pochwale.

Gazety, do których łączę pisma peryodyczne, są rzeczą bardzo dobrą i pożyteczną. Ich wynalazek winniśmy Francuzom, pomimo rozprawy równię uczoney iak mało czytaney Konstantyna Wolfa który ten wynalazek przypisuie *Fociuszowi*. Biblioteka Fociusza iest zbiorem rozmaitych zdań nad księgami, które czytał w podróży swoiey do *Assyryi*, i zawiera wiele wypisów z różnych dzieł, dziś iuż nawet po części zarzuconych. Europa winna iest gazety Panu *Sallo*, konsyliarzowi parlamentu Paryzkiego, który wydał pod imieniem *Hedouilla* pierwszy numer dziennika Umiejętności w dniu 5 Stycznia 1665. Około tegoż czasu doktor *Teofrast Re-*

naudot zaczął także wydawać *Gazetę Francuską* (*), która wychodziła co dni 5 i zawierała w sobie same polityczne wiadomości. — Niektórzy uczeni poszli jeszcze wydobyć z grobu niejakiego oycy Jakóba, za życia Karmelitę, którego chcieli zrobić oycem gazet, dla tego iż ten pobożny zakonnik wydawał, począwszy od roku 1642 do roku 1652 katalogi książek, wyszłych we Francyi w tym przeciągu lat dziesięciu.

Jakożkolwiek bądź co do czasu i miejsca zaprowadzenia gazet, to niezawodną jest prawdą, iż użycie tych pism stało się nałogiem dla wielu, rozrywką dla wszystkich i w ogólnym skutku, skoro jest mądrze kierowane, przyczynia się nie mało do upowszechnienia światła w Narodach. Ciekawość szuka w tych pismach zabawki, pamięć notuje zdarzenia, historia zbiera dowody; praca ma w nich odpoczynek, próżniactwo roztargnienie i

(*) Rzecz dziwna: to jest jeszcze ta sama, która do dziś dnia wychodzi pod tym samym tytułem: *Gazette de France*. Ma więc lat 164.

Wydawca Pustelnika.

pracę. Za pomocą gazet, można bez mizolu, bez imaginacyi, a nawet bez wielkiej straty czasu (kto go inaczej przepędzić nie umie) ziednać sobie nieiaką sławę, i to podług upodobania, albo polityka, albo znawcy sztuk pięknych, albo literata, aliboli też uczonego. Któż lepiej od *Neofila* uwiadłomiony iest o poruszeniu woysk, o uzbraianiu się Mocarstw, o charakterze Ministrów, o naradach Monarchów i zamiarach mniej więcej spokojnych rozmaitych dworów? Wiakiemże źródle czerpał te wiadomości? Któregoż mędrca radził się? Jakie archiwa kazał sobie otworzyć? — *Czytał gazety!*

Betyzy iest chodząca biblioteka nowości: astronomia, fizyka, algebra, poezya, literatura, romanse, wszystko iak gdyby do jego wydziału należało. — O iaką bądź książkę zapytacie go się zna ią, uczyni iey rozbiór, zdobędzie się nawet na zacytowanie kilku wierszy, i w końcu powie zdanie o nię, przy którym będzie się jak przy swoim upierał. Jakim sposobem *Betyzy*, który iest kupcem, może się zajmować rzeczami mającemi tak mało związku ziego powołaniem? Kiedy przewrócić mógł tyle

tomów, roztrząsnąć tyle rozmaitych dzieł?
Miał czas gazety czytać!

Wszyscy jesteście ciekawi zgadnąć jakim cudem stało się to że *Czamray* gruby, tłu-
sty, rubaśny, słowem *Mazur-Czamray*, mó-
wi teraz o pięknych sztukach językiem te-
chnicznym, pozwala sobie wydawać wyroki
o muzyce i malarstwie, pokazuje się bie-
głym wrzeczach sądowych, ma wiadomo-
ści *zakulis*, rozprawia o śmiesznościach
mody i dziwactwach dobrego tonu; krótko
mówiąc, jakim cudem *Czamray* uchodzi te-
raz za człowieka wielkiego świata? *Czyta
i odczytuje gazety!*

Użyteczność gazet daje się szczególni-
ej postrzegać na prowincyi, na te długie wie-
czory. Gdyby nie gazety i nie sprzeczki po-
lityczne, do których są powodem, nie wie-
dzieć co by robić od zachodu słońca aż do
spania to jest przez całe godzin siedm. —
Każda parafia ma swoją uprzywilejowaną i
wyłączną gazetę, która od wsi do wsi iak
cyrkularz obsyłaną bywa aż póki iey wszy-
scy nie przeczytali. Nowiny, które się nie
znajdują w téj gazecie, iuż tém samem są
iak gdyby nie urzędowe. Ztąd pochodzą

rożne sprzeczki pomiędzy mieszkańcami rozmaitych Parafii gdy się Obywatele ziadą razem na jaki balik albo ucztę weselną. Ci co utrzymują inną gazetę, są innego zdania; i nie raz przyszloby może do kłótni, gdyby w tém same poczciwe gazety nie zrobiły porządku. Odwołując nazajutrz to co dniem wprzódy za prawdę ogłosiły, godzą tym sposobem poważnione zdania i przynoszą narreszcie pokoy uprzedzonym umysłom: a tak w całej okolicy znowu zgoda panuje.

Jeżeli przyidzie do tego, że napiszę kiedy w tym przedmiocie małą iaką Rozprawę, mówić będę natenczas z całą powagą o użyteczności i nadużyciach tych pism publicznych; i żebym się przekonał, że mi nie wyszła z pamięci żadna ze skarg, do których są powodem, radzić się będę umyślnie autorów takich, którzy mają największe prawo na nie się żalić. Póki ieszcze nie było gazet na świecie, biedny autor nie lękał się tylko *mólów* i myszy: księgarz sam tylko cierpiał że drukował złe dzieło: dla tego też ustanowienie tych Trybunałów krytycznych zrządziło wielką wrzawę na Parnasie. Wszystkie dzieci Apolina, prawe czy

nieprawie, zaczęły się wyłamywać od tych sądów przysięgłych, i przeciwko świstkom peryodycznym wystąpiły z całą mocą *infoliorów*. Ztąd zaczyna się epoka owéy strasznej i nigdy nieskończonéy wojny autorów z dziennikarzami, w ciągu której ręczna broń świstków *zdemontowała* nie raz armaty nieprzyjaciela. Armia krytyków, z początku źle dowodzona, przeciągnęła na swoją stronę najznakomitszych dowódców przeciwnego woyska. Z chlubą możnaby wspomnieć o talentach i charakterze tych naczelników: ich lista nie byłaby przecież bardzo długą.

Położyłem na papier te uwagi myśląc iakiéy formy użyję żebym mógł dać opisanie szczegółowe wychodzących lub zapowiedzianych na rok 1821 w Warszawie gazet i pism peryodycznych. W tém odbieram list z *Błociszewa* pod dniem 3 Stycznia r. b. Był to prawdziwy dla mnie podarunek bo mi podał sposobność dokończenia pisma moiego.

Z Błociszewa dnia 3 Stycznia 1821.

KOCHANY PUSTELNIKU!

Jako mieszkający w Stolicy iesteś u źródła nowin i będziesz wiedział najlepiej jak mi poradzić. Mieszkam teraz w Rawskiem, ale wystaw sobie tak iakbym mieszkał w *Chinach*, i nie więcej wiem co się dzieie w Warszawie iak naprzykład w *Pekinie*. — Przebywając lat kilkanaście w stolicy Królestwa Polskiego nie mogę przewieść na sobie żebym nie był ciekawy słyszeć, co się téż dzieie na tym wielkim waszym świecie. Nie iestem tak możny i tak bogaty ażebym utrzymywać mógł o moim koszcie iakiego literata (*), korrespondującego ze mną, któryby mi donosił o wszystkich nowych dziełach, nowych opiniach, i nowych dzieciństwach które mię ieszcze więcej bawią niżeli rzeczy rozumne. Na szczęście znajduję

(*) Katarzyna II utrzymywała w Paryżu *Grima*, a później *Laharpa*, którzy iey donosili o wszystkich nowo wychodzących dziełach.

się gazety, i to jest wynalazek przyznam się który mi naywięcący w moiém położeniu przypada do smaku. Zważywszy więc że ani *maryasz* z Xiędzem Proboszczem, ani pikietą z Panią Stolnikową, ani rozmowa z ekonomem o gospodarstwie nie zabierają mi wszystkiego czasu i nie zawsze mię iednakowo bawią, upraszam dobrego Pustelnika ażeby mi zaprenumerował gazetę, za pomocą którejby można, raz lub dwa razy na tydzień wiedzieć co się dzieie u Panów. Nie przywięzuię się ani do formatu, ani do tytułu pisma, ani nawet do tego co nazywacie *dążnością* iego; może bydź wolno myślące, może bydź i *popularne*, niech będzie religijne i monarchiczne, niech ma albo nie ma czytelników, iest albo nie iest wzięte; to mi wszystko iedno.

Mihi Galba, Otho, Vitellius, nec beneficio, nec injuria cogniti.

Mnie Galba, Otho, Witelliusz, ani z dobrodzieystw, ani z obelg nie są znani ().*

(*) Trzech Rzymskich Cesarzów którzy się razem o tron ubiegali, i mieli każdy za sobą stronników.

Jednakże położyłbym następujące warunki na które pragnę ażebyś wzgląd mieć raczył.

Chciałbym żeby ta gazeta czyli to pismo wolne było od wszelkiego wpływu możności, gmino-kracyi, a nadewszystko od tak zwanéy *szarlataneryi*. Chciałbym żeby w niem panowała szczęśliwa na przemiany koléy wesołości i rozumu, zabawy i pożytku, i żeby rzeczy szły porządkiem. Chciałbym żeby pisarz który mi daie zdanie o dziele uczonego lub artysty, był sam biegłym w téy rzeczy o którém mówi a pisząc o smaku i poprawie stylu nie pisał sam bez smaku i bez poprawy. Chciałbym żeby pochwała w uściech iego miała słuszną zasadę, a nagana powód oczywisty: oboje zaś żeby zaprawione były dowcipem. Chciałbym a raczy chcę (bo ten ostatni warunek jest konieczny) żeby dobra wiara i umiarkowanie przewodniczyły redakcyi pisma które mieć żądam; żeby ton pisania był przyzwoity a nie wykwinny, żartobliwy a nie płaski, rozmaity a bez zamieszania, uciukowy a bez złości. Jeżeli takie znaj-

dziesz, wybierz go dla mnie i prenumeruj na czas iak tylko może być naydłuższy.

Sciskam cię serdecznie.

LUDWIK W....

ODPOWIEDŹ.

Z Warszawy dnia 11 Stycznia 1821.

Zartujesz sobie ze mnie, alboś głowę stracił, mój kochany Rawski Obywatelu. To, czego żądasz odemnie, nie znajduie się chyba w kraiu gdzie znaleziono kwadraturę koła, kamień filozoficzny, powszechne lekarstwo, i *perpetuum mobile*.

Bywałeś za granicą i znałeś sławnych dziennikarzy różnych krajów: powiedzże mi, w którym znalazłeś ten rzadki zbiór tyłu rozmaitych przymiotów których po naszym wymagasz? Gazeta, któraby odpowiedzieć mogła na wszystkie twoie *chciałbym, chciałbym*, byłaby już sama dostateczną nasz naród uświetnić. Może zważając dobrze nigdy ta część literatury nie była tak gorliwie uprawiana u nas, iak teraz. Dam więc tobie łatwy środek zastąpienia takiego nie-

ledwie pisma iakie mieć żądasz, to iest że-
byś się na kilka razem prenumerował: tym
sposobem możesz wybierać co każde ma w
sobie dobrego, poprawiać iedne drugimi,
i z tych rozmaitych żywiołów układać u
siebie nową gazetę do twego smaku i pożytku.

Liczba pism peryodycznych nie iest u nas
tak wielka ażeby miłośnik literatury, i ma-
iętny iak ty, mógł się lękać wydatku. Pa-
reset złotych na rok wystarcza na wszyst-
ko, ile żebyś mógł się na czem innem
oszczędzić. Tym sposobem miałbyś gazetę
Warszawską która iest pismem na pół urzę-
dowem, lub Korrespondenta który się za-
leca swoiemi rozmaiłościami. Wiadomości
naukowe, kraiowe i zagraniczne, recenzją
dzieł i Biografią sławnych uczonych dała-
by ci gazeta literacka. Nie wspominam nic o
Pamiętniku Warszawskim, bo ten się sam
zaleca gruntownością przedmiotów, bez-
stronnością krytyki, i tonem umiarkowa-
nym. *Dekada polska*, i *Nadwiślańska Sy-
billa*; (dzieci nowo narodzone) ieżeli od-
powiedzą swojemu przeznaczeniu (*), bę-

(*) Poświęcone są obszernieyszemu rozbiorowi w
rzeczach historyi, polityki i literatury.

dą godne twoich względów. *Kuryer*; sam tytuł już zaręcza ci pośpiech w usługach i świeżość nowin. Kobiety musiały cię zapewne obeznać z *Wandą*, a niepodobna żebyś nie słyszał co wesołego o *Momusie*. *Jzys polska*, poświęcona przemysłowi krajowemu i kunsztom, zasługuje aby miała wstęp u ciebie. Jako przyjaciel nauk powinienś ją w domu między gości policzyć. — Nakoniec ponieważ wiem że lubisz dwie rzeczy to jest kóminek i polowanie, polecam ci *Sylwana*.

Tak wystawiwszy zalety i przeznaczenie każdego z tych pism, to jest pokazawszy piękną stronę medalu, chcesz może abym tobie także i drugą, to jest słabą opisał. Dosyć będzie gdy o tem wogólności nadmienię: bo jeżeli pochwałę uważaćby można za niewłaściwą w moich uścich, wszyscy znaleźliby przyganę zupełnie podeyrzaną. Uwiadomię cię zatem, nie wymieniając nikogo, ażebyś tylko w czytaniu gazet i pism peryodycznych strzegł się zbyt czcny powagi iednych, nudy i rozwlekłości drugich; naciągane go dowcipu tamtych, *udaney* czułości innych, a niepoprawnego stylu pra-

wie większey części. Za pomocą tych skazówek i kilku innych, które ci przeszłę, sposobem nie tak głośnym (bo nie trzeba zbyt widocznie zdradzać cechu) otrzymasz kochany Rawianinie z użytku gazet światło, uciechę i korzyść.

Jeżeli jednak nie chcesz prenumerować się więcej iak na iedno pismo, i mnie tę rzecz do wyboru oddaiesz, zawczasu więc powiem ci czego się spodziewać możesz. — Zaprenumeruję dla ciebie *Gazetę Warszawską* iako tę do którę sam należę. W rzeczach handlu skromność nie uchodzi; i iestem pewny że *Kuryer i Korrespondent* to samo by na moim mieyscu uczynili.



Ner LXXXIII. 20 MARCA 1821.

L O R Y N E T K A.

Insignia attenuat

Obscura promens.

HORAT. 1

Wystawia do światła co się kryło w ciemnościach ; émi rzeczy zbyt iasne.

SŁUSZNIÉ utrzymuie Pan *Baudouin de Courtenay*, były konsyliarz byłego Dworu Polskiego, i autor litografowany wielu dzieł o Magnetyzmie, że ta *Xieni* (Sibilla Kumeyska) była lunatyczką, i że iasnowidzenie nie do-

piero za czasów *Mesmera* iest na świecie wiadome. Następująca prawdziwa anegdota będzie dowodem na zawstydzienie niedowiar-ków, że magnetyzm był od niepamiętnych czasów znanym w Azyi, i że w niektórych kraiach wschodnich a mianowicie w Japonii robiono wiele sprzętów zamagnetyzmowa-nych których użycie stawało się z wielu miar nader użytecznem.

Około roku 1769 zwiedzając klasztor wie-lebnych Oyców S. Łazarza w Wenecyi, za-znaio miłem się z pewnym Missyonarzem któ-rego pamięć do dziś dnia w moiem sercu zachowałem. Był to starzec blisko ośmdzie-sięcio letni, humoru słodkiego i zawsze ie-dnostaynego, i który łączył w sobie dwa rzadkie przymioty, to iest wielki natural-ny dowcip z głęboką *erudycją*, nabytą w swoich częstych i dalekich podróżach. Na-zywał się *Don Jeronimo*. Ten dobry starzec powziął od pierwszego poznania się ze mną wielką skłonność ku mnie: dzielił on ze mną swój stół i swoje mieszkanie, i dawał mi przez cały czas pobytu moiego w Wenecyi dowody nayszczerszý przyiaźni. Pewnego wieczora, czuiąc się bardziéy iak zwykle

osłabionym, i nieiako bliskim zgonu (od ośmiu bowiem dni leżał w łóżku przyciśniony chorobą) — Synu, rzecze do mnie, widzę iż ostatnia godzina moja nadeszła: chciałbym ci jednak, nim nmrę, dać jeszcze jeden dowód przywiązania moiego. Masz odemnie już wiele ciekawych rękopismów, zebranych na brzegach KOROMANDELU, które cię nauczą żyć mądrze i szczęśliwie; teraz proszę cię przyimiy to zaczarowane narzędzie które dostałem od *Bonzów* Japońskich. Ta lorynetka, którą oni zamagnetyzowali podług sposobów im tylko wiadomych, ma tę cudowną własność iż można przez nią słyszeć i widzieć co się dzieie nawet za naygrubszym murem, choćby w znaczney odległości (*). Dla twoiëy nauki muszę tu dodać że to szkiełko ma tylko swój skutek w nocy i to jeszcze tylko w tøy porze roku kiedy słońce wchodzi w znak BARANA; nareście że są takie *obiekta* w życiu ludzi dla których ta lorynetka odmawia iasnowidzenia.— Po tych

(*) Actio in distans.

Obacz dzieła Boduena.

słowach, z trudnością domówionych, oyciec Hieronim kazał mi podać lorynetkę; poczem ścisnął mię za rękę i skonał.

Bardziéy zmartwiony śmiercią dobrego staruszka niż ucieszony jego podarunkiem schowałem do kieszeni lorynetkę, nie myśląc wcale o niéy; a raczéy uważałem iéy historią za skutek *maligny* w którój się oyciec misyjonarz znajdował, i nie przywiązywałem do tego daru tylko cenę przyiaźni którój był oznaką. Miałem już kilka lat ten kleynot gdy pewnego wieczora pożegnawszy iedną damę, z którą się na wsi hawiłem, wzięła mię ciekawość spojrzeć przez lorynetkę iak téż ta dama przepędzała swój czas pod moją niebytność? Zrazu zdawało mi się widzieć że ich było dwoie: lecz wkrótce zrobiło mi się ciemno i nic daléy nie zobaczyłem.

Byłem przeto w mniemaniu że się pomylił; posadziłem moją lorynetkę, i schowałem ją do *futorialika* z którego była na chwilę wyszła: od tego czasu upłynął z górą przeciąg lat czterdziestu iak nie myślałem wcale użyć iéy cudownych własności. Przeszłego tygodnia, szukając w kufrze iakichśi

papierów, natrafiłem na ten szanowny *talisman*. Widok jego rozrzewnił mię i do łez pobudził: przypomniałem sobie moją podróż i pobyt w Wenecyi, znajomość i zażyłość z *oycem Hieronimem* (którego przyjaźnią tak krótko się cieszyłem), i tę nareszcie rozmowę którą miał ze mną w godzinę wiecznego rozstania. Myśląc o tym upłynionym czasie, wziąłem sam nie wiem jakim sposobem lorynetkę do ręki, i bez żadnego innego celu iak tylko z roztargnienia zacząłem ją przykładać do oka. Co było za podziwienie moje gdym postrzegł że widział wszystko co się działo *za murem* na przeciwległego domu! Skierowałem szkiełko w różne strony miasta; zawsze wierne, pokazywało mi przedmioty z dokładnością *iasnowidzy*.

Przekonany tym razem że się nie mylę, postanowiłem uczynić porządek w moich uważaniach i wziąłem sobie za przedmiot notować co tylko zobaczę w całej długości Krakowskiego Przedmieścia.

Noc była prześliczna; bladawy księżyc rzucał lunatyczne światło po wieżach kościelnych: cichość największa panowała na uli-

cy. Gdzieniegdzie tylko błyszcząły światełka wieczorne, ostatnie świadki życia i ruchu mieszkańców.

Zwróciłem najprzód uwagę na pewny korzenny sklep niedaleko S. Krzyża będący; właściciel jego pozamykał właśnie główne i poboczne drzwi swojego składu. Widziałem tego dobrego człowieka iak szukał pod stołami i po wszystkich kątach, z świecą w ręku, czy się gdzie iaki złodziej nie zakradł? Tymczasem świeża i dosyć przystoyna dziewczynka spuściła się do niego bocznemi schodami po oley do lampy. Pan *Babeziusz* (gdyż to był *Pan Babeziusz*) zaczął igrać z tą maleńką która nic mu nie mówiła i tylko palcem skazywała do góry; na co kupiec iednak nie wiele uważał. Tu iuż myślałem że się ciemno w moiej lorynetce robić będzie; lecz nad spodziewanie zaiśniała nagłos Pani *Babeziuszowéy*, która odsunąwszy małżeńskich firanek zaczęła z góry wołać na męża, tonem dosyć popędliwym, czemu tak długo w sklepie dosiadywał? Zdięty ciekawością, i chcąc wiedzieć iakie będzie przywitanie między państwem *Babeziuszostwem*, obróciłem lorynetkę ku

antresolkom na których mieszkali. Wistocie z początku sprzeczka zdawała się dosyć żywą iak ziednej strony tak z drugiej; lecz w krótce nastąpiła między małżeństwem zgoda: oboie się serdecznie zaczęli przeproszać, a na moiej lorynetce wystąpiły czarne prążki które przedemną zakryły resztę téj waśni domowey.

Żeby szkiełko rozwidnić zwróciłem lorynetkę w tę stronę gdzie iest pałac Kazimirowski. Na drugim piętrzeiednego z przyległych domów siedział mężczyzna mający lat około trzydziestu, brwi czarnych, oczu niebieskich i żywych kolorów twarzy; iego bystra postać i wesołe poruszenia nie okazywały bynajmniéy poważnego zatrudnienia. Siedząc u mahoniowego biórka poprawiał iakieś ćwiartki papieru na których dopisywał po brzegu uwagi z widoczném rozrządzeniem.

Był to Kollaborator N.... który poprawiał *okupacye* uczniów szkoły elementarnéy. Bóg naylepiéy wie iak te biedne dzieci były wtenczas sądzone! Co chwila podnosił się, nadstawiał ucha, patrzył na zegarek, brał do ręki świecę i zaglądał przez małe okien-

ko będące nad schodami. Na środku pokoju wiego mieszkaniu stał nakryty stolik na dwie osoby; a wytworny sposób, wiaki wieczerza była urządzona, kazał mi się dorozumiewać gościa mającego delikatne uesteczka.

Jakoż moje domysły nie były daremne. Spuściwszy na dół lorynetkę postrzegłem młodą, świeżą i przystoyną osóbkę która się skradała Kollaboratorowi na wieczerzę. W izbie, z którój ta osoba wyszła, siedział w szlafroku i nocny czapce ieden podeszły mężczyzna który robił z nowych ksiązek stare dzieła, przyprawiając do nich dawne tytuły i smarując oliwą nowy pargamin. — W przeciągu kilku chwil nauczyłem się od tego człowieka różnych sekretów księgarskich i notowałem zebrane uwagi wtenczas gdy księgarz podnosząc się, rzecze: « Ten młody Kollaborator co mieszka nademną nie musi zapewne spać ieszcze; muszę pójść i spytać go się o datę tego *Sallustyusza Elzevira...* » W tém zapala stoczek i idzie na górę. Oddawna, mówią, że iest iakieś opiekuńcze Bóstwo które czuwa nad kochankami. Stoczek gaśnie! księgarz upada i ro-

bi wiele hałasu na schodach. Ci co siedzieli u stołu rozłączają się nie bez strachu: księgarz wraca do siebie. Wszystko znowu jest na swoim miejscu, w zupełnym porządku.

Naśmiawszy się z zawodu moiego kollaboratora puściłem lorynetkę na los w nadziei czy mi nie wskaże innych przedmiotów godniejszych moiej uwagi. Pomiędzy wielu gmachami, zdobiącemi Krakowskie Przedmieście, wskazała mi *Jasnowidza* ieden z nich wspanialszey architektury. W głębi kilkunastu okazałych pokoi, w samym ostatnim gabinecie, siedział gospodarz domu w wielkiem wyzłoconém krześle i układał rozmaite papiery. Gasnące po stolikach świece iarzące oznaczały że gospodarz miał tego wieczora u siebie liczne towarzystwo i że się goście roziechali. Po nieiakiey chwili zamyślenia spojrział na zegarek i zadzwonił. Kamerdyner, drzymiący w przedpokoju, zrywa się i otwiera drzwi. Jaśnie Wielmożny Pan daie mu znak który zdaie mi się żem rozumiał: potem idzie do żony: trudno iest widzieć osobę pięknieyszą w tym wieku jak iest Pani N. i niepodobna wy-

stawić sobie nic wytworniejszego nad iey pokóy sypialny gdzie była zaięta pisaniem. Zobaczywszy wchodzącego męża okazała pewną niepoiętą boiaźń *którey* dobrze zrozumieć nie mogłem aż dopiero gdy Pan N. oświadczywszy kilka grzecznych słów żonie, zaczął narzekać na ból głowy i wyszedł pocałowawszy ją w rękę. Naten czas przystąpiły do Pani dwie garderobiane z których gdy iedna rozbierała śliczną Damę (którey każde poruszenie okazywało iakąś widoczną niecierpliwość) druga odsłoniwszy przepyszne *kaszmirowe* łoże utkane z najpiękniejszych materyi, (nad któremi powleczone nacyjcześnie *batysty* odbijały się w lustrze z boku zawieszonem) zajmowała się urządzeniem téy bogatey pościeli i kładła w głowach kilka *Xiążek* na małym stoliku, zapaliwszy nocną lampę w okazałej Urnie albastrowey. Pani N. położyła się, garderobiane odeszły: chciałem i ia ustąpić z moją lorynetką; lecz piękna drzymka wstaje, podgląda ostrożnie czy kto iéy nie widzi, i otwiera małe ukryte wnycastle które zasłaniał wiszący obraz GANIMEDA. Moja ciekawość powiększyła się ieszcze gdym po-

strzegł że te ukryte drzwi ruszać się zaczęły: lecz na nieszczęście powstały czarne prążki na mojej lorynetce tak dalece że nie mogłem nic dalej widzieć i pałac zaczarowany *Armidy* zniknął zupełnie z oczu moich.

Znudzony iednostaynością zdarzeń, chciałem już iasnowidzę zamknąć do łuterału; ale ieszcze wzięła mię ochota spojrzeć na dom stojący niedaleko klasztoru XX. Bernardynów. Kronika miasta niesie o właścicielu tego domu że zawsze każdego dnia wyieżdża od siebie o saméj północy i podobny do ptastwa nocnego wraca przed poranną iutrzenką kryć się z wypadkamiéy osobliwszéj podróży, którey ani razu nie chybił. W iego pokojach, dosyć gustownie meblowanych, znajdowała się dama dosyć przystoyna, w towarzystwie wcale pięknéy i przyjemnéy paniénki którey zdawała się bydź matką. Na stole stała wielka herbatnica ze wszelkiemi do niey należącemi porządkami. — Już blisko trzecia, mówi starsza, a ieszcze go nie widać; musiało mu się wydarzyć coś nadzwyczajnego. — Wiesz dobrze mamuniu, odpowiada młod-

sza, że on czasem i późniy wraca; ale zdaie mi się że słyszę pojazd...? ktoś do bramy wieżdza; to on, to on, iestem tego pewna. — W rzeczy saméy widzialem że w parę minut wszedł jakiś mężczyzna, wieku ieszcze średniego i dosyć przystoyny; lecz ponury, zagniewany, smutny. Cisnął ze złością i oburzeniem na sofę swóy kapelusz i laskę. Córka go się pyta czy nie będzie pił herbaty? Daie znak ręką że nie: dzwonią na słuźącego żeby sprzątnął nakrycie; żegnaią nieukontentowanego, idą do spoczynku.

Nie trudno mi było domyślić się iż ten nocny wędrownik był Szambellanem od Dworu Króla FARAONA i przynosił do domu cały niesmak i zmartwienie swojego fatalnego przywiązania do gry *hazardownéy*. Nie dawszy się nawet porządnie słuźącemu rozebrać poszedł za żoną w myślach zanurzony. O iak szczęśliwy iest wtenczas ten kto ma wierną żonę! Słodka i uprzejma iego towarzyska, pomodliwszy się piérwéy przed obrazem, zawieszonym w *alkowie*, położyła w kolebce między łóżkiem męża a swoim własném najmłodsze iakie mieli

z sobą dziecię i przemówiła do Szambelana w wyrazach tak czułych i tkliwych że nie ma nic dziwnego iż się zaczęły na moiéy lorynetce robić czarne prążki tak, iżem narreszcie w końcu nic nie widział.

Noc była w większéy połowie upłynęła: xiężyc zaczął spuszczać się ku ziemi. Chociaż znaydowałem wielkie upodobanie w moich doświadczeniach *katoptrycznych*, trzeba było mnie samemu przeciw iść do łóżka. Rzuciłem ieszcze raz okiem w całéy długości Krakowskiego Przedmieścia; lecz nigdzie już nic dostrzedz nie mogłem: gruba chmura pokrywała dachy kamienic i szczyty pałaców. Wszystkie domy były pod zasłoną, wyiąwszy iednego małego kątką, zamieszkałego przez pewnego Włocha, który sobie nucił we śnie aryą, *Ombre adorata*, z opery ROMEO i JULIETTA.



N^o LXXXIV. 24 MAJA 1821.

ŚMIERĆ PUSTELNIKA.

Dedit ipsi Dominus fortitudinem et usque in senectutem permansit illi virtus, ut viderent omnes, quia bonum est obsequi Sancto DEO.
Eccl. 46.

Dał mu Pan męztwo, a do sędziwości wytrwał w cnocie, aby poznali wszyscy iak iest dobrze słuhać rozkazów Naywyższego.

Eklesiastyk, w rozdz. 46.

PUSTELNIK z Krakowskiego Przemieścia zakończył chwalebne życie swoje. Łaskawym dzieła tego czytelnikom, których on swoiemi przyaciołmi nazywał, nie będzie może

obojętną rzeczą wiedzieć o szczegółach zgonu tego dobrego staruszka: iako powiernik iego serca i poufały domowy, dopełniam tę smutną powinność.

Od nieiakiemu już czasu postrzegano iż Pustelnik bardzo często na zdrowiu zapadał: był jednak dosyć a nawet więcej niż zwykle żywym i wesołym; lubił nade wszystko przypominać sobie zdarzenia dzieciennego wieku i przytaczał różne zabawne anekdoty które mu się przytrafiły w młodości: przyjaciele iego cieszyli się niezmiernie z tego usposobienia duszy, zawsze żywój i czynnej, chociaż w wieku tak podeszłym. Niestety! były to ostatnie promienie światła gasnącej lampy! Już była bliską ta godzina która go miała na zawsze z nami rozłączyć!

Pierwsze początki słabości iego przypisywano zaziębieniu; mówiono że robiąc doświadczenia *katoptryczne* z Iorynetką po Krakowskiem Przedmieściu (*) nabawił się bólu głowy i gorączki. W istocie dnia tego

(*) Obacz poprzedzający rozdział.

Pustelnik był cokolwiek słabym ; lecz Pan *Moncewicz*, iego doktor i przyjaciel, zapewniał nas iż to był tylko mocny katar i wkrótce przywrócił *pacyenta* do zupełnego zdrowia. Chory zaczął znowu wyieźdźać i bywać u swoich przyjaciół; a co większa odzyskał na powrot wesoły humor i swobodę umysłu.

Dopiero w dniu 15. Maja, dniu swoich urodzin, będąc na wieczorze u jednego z swoich nowszych przyjaciół, (którego mocno polubił i dla którego się nawet grać w wiska nauczył) postrzeżono iż się zapominał przy kartach, nie liczył *Atutów*, nie dodawał kolorów i że nareście wszystkie *robry* przegrywał, co mu się rzadko zdarzało. Wesoły humor obecnych i dobre wino orzeźwiły go na chwilę: powrócił iednak do domu wcześnię niż zwykle, bo się iuż czuł słabym.

Nazajutrz, szesnastego, o godzinie czwartej zrana, przybiega do mnie Paweł, cały zadyszony, z prośbą ażeby Pana ratować, gdyż był mocno słabym. Pojechałem czempędzey odwiedzić dobrego Pustelnika i po drodze zabrałem z sobą pana *Moncewicza*.

Doktór, obeyrzawszy chorego, ieszcze nie wi-
dział niebezpieczeństwa. To tylko iest, mó-
wi, pierwszy atak *apoplexyi*: ale się nie
lękaycie; *my go tu uzdrowimy*. — Pustel-
nik dosłyszał te ostatnie słowa. — Tylko nie
consilium, proszę cię, doktorze: na tak
starego, zawołał, *dosyć ieden*. — Dobrze,
mówi do mnie Pan Moncewicz, wesół iest,
będzie zdrów. W istocie *atak* wkrótce
przeminął: dzielne środki lekarskie zapo-
biegły dalszemu nieszczęściu. Chory mu-
siał iednak w łóżku pozostać.

Trzeciego dnia choroba zmieniła swoją
naturę; przystąpił paroxyzm *febry*: Pan Mon-
cewicz zaczął się obawiać o zdrowie *pacy-*
enta, i przepisał wszelkie środki ostrożno-
ści: nie tał wszelako iż tylko w mocnéy
konstytucyi słabego pokładał wszelką na-
dzieję. Tak zeszły nam ieszcze dwa dni; w
czasie tym Pustelnik okazywał ciągłą ie-
dnostayność i wesołość humoru: może téż
te wysilenia ukróciły mu życia! Liczni ie-
go przyjaciele, dowiedziawszy się o niebez-
pieczeństwie w którym się znajdował, za-
częli go odwiedzać: kazał wszystkim do sie-
bie przypuszczać, i z każdym (pomimo za-

kazów doktora) iak naychętniéy rozmawiał. Nie mogę tu pominąć owéy sławnéy odpowiedzi, którą dał wiedený z tych rozmów a która się tyle wszystkim podobała. Hrabina *Liońska*, widząc iż nie dobrze leżała głowa iego, kazała mu poduszek poprawić. — Tak to Mościa Dobrodzieyko, mówi, nasze głowy trzeba do śmierci poprawiać.

Nie mogę również przewieść na sobie ażebym nie przytoczył tu rozprawy, którą miał, tak bliskim będąc śmierci, o prawie natury. Jeden z przytomnych gości, mówiąc o prawach przyrodzonych, zaczął z nich w duchu czasu, wyobrażać sobie teorią *egoizmu*. Ażeby zgłębić prawo natury, mówi dobry staruszek, trzeba nayprzód zgłębić naturę człowieka. Natura człowieka nie jest taka, iak tych samotnych zwierząt które się żywią w puszczy: człowiek jest z natury istotą towarzyską, a zatem prawo natury człowieka podlegać powinno tym wszystkim obowiązkom, które człowiek od dzieciństwa zaciąga względem towarzystwa, a których od niego domaga się słusznie społeczność. Wszyscy obecni uznali te uwagi nader trafne, i wnieśli na swoją pociechę że człowiek który miał ie-

szcze tak zdrową głowę nie powinien był tak prędko umierać.

Jakożkolwiek bądź Pustelnik czuł w sobie iż był bliskim kresu i chciał po chrześcijańsku zakończyć: posłał po duchownego, spowiadał się grzechów, uzyskał ostateczną *absolucyą* i przyjął od kapłana ostatnie **POMAZANIE**. Poczem przywołał do siebie wszystkich domowych i przepraszał ich jeżeli w czém któremu uchybił. Żądał także ażeby przeprosić wiego imieniu tych wszystkich którzy nie byli obecni; iako téż i całą publiczność. Przykroby mi było nadewszystko, dodał, gdyby mię chciano uważać za złego Polaka dla tego żem ziomkom moim rad prawdę mówił. Tyle innych, dodał, chwali ich charakter, i tym go może psuie: ia chciałem z niego usunąć niektóre wady i tym go poprawić. Jeżeli się pomylił, oby mi tego nie pamiętano!

W gronie osób téy rozmowie obecnych postrzegano Panią *Sobieradzką* która się odznaczała szczególniejszą niespokojnością. — Ah! to wszystko, mówi, nic nie znaczy: tu trzeba zrobić testament. — Biedna niewiasta miała słuszną obawę: lękała się a-

żeby o niéy Pustelnik nie zapomniał. Pan *Zedrzycki*, uproszony do popierania tego aktu ostatniej woli, zabrał głos o testamentach. — Zwyczaj robienia testamentów, odpowiada mu na to dobry staruszek, ia znajduię bardzo niewłaściwym. — Zwyczaj ten przecieź nikogo ieszcze nie uśmiercił, przerwał mu Pan *Zedrzycki*. — To prawda, mówił Pustelnik; ale na co przypominać ludziom że będą musieli umierać. Nie ieden *egoista* mógłby na to słowo testament dostać apoplexyi. Zwyczaj ten, mówił daléy, przeszkadza dobrym rozporządzeniom za życia: każdy się ociąga na ten ostatni akt woli, a nie wie czy iutra dożyie. Gdybym był prawodawcą, dodał, odmówiłbym wykonania testamentom któreby nie były pisane przynajmniéy na rok przed śmiercią. Testator w czasie zgonu nie zawsze iest tak przytomnego umysłu iak to w akcie Notaryusza bywa napisano. Czyliź krew tego który umiera znajduie się w naturalnym porządku? Jego pamięć, iego *inaginacya* nie sąż natenczas mniéy więcéy naruszone? I tak zbudowana *chryia* wywraca porządek natury i łamie odwieczne

prawo spadków! Zresztą testamenta, dodał, są bardzo dawne. Według twierdzenia *Euzebiusza* wynalazek testamentów przypisują *NOEMU*: tak więc ten Patriarcha, mówi, który był razem założycielem winnicy, łączył w sobie dwa rodzaje: wesoły i smutny.

Pan Moncewicz był niezmiernie niekontent gdy przyszedłszy zastał tyle osób przy łóżku chorego, i w imieniu sztuki lekarskiej wyprosił wszystkich do drugiego pokoju. Znalazł jednak puls pacyenta dosyć dobrym: uważał tylko na twarzy starego pewne symptomata które go nie bardzo pocieszały. Zakazał więc wszelkich dalszych rozmów, zabronił dalszych wizyt i polecił trzymać się iak najsurowszemu przepisanych lekarstw. Wieczorem obiecał powrócić.

O samym zachodzie słońca przystąpiła na nowo *febra*, połączona z *dreszczem*; był to już ostatni posłaniec wieczności. Przybycie Pana Moncewicza nie uspokoiło nas bynajmniej: pacjent, w pośród najmocniejszej gorączki, zapadał często w letarg. Doktor osądził że chory jutra nie dożyje. August, wnuczek Pana Lubickiego, który dotąd nie

myślał ażeby choroba dziadunia była tak niebezpieczną, zalał się gorzkimi łzami. Obiecałem mu że z nim noc przepędzę i że go już nie opuszczę.

Po trzygodzinném uśpieniu chory zaczął się mieć lepięy i odzyskał znowu przytomność. Pan Moncewicz odieżdżając polecił nam ażebyśmy po niego przysłali w nocy ieżelibyśmy widzieli tego potrzebę. Była nadzieia że się słabość przesili. Chory marzył iednak ciągle i często zrywał się z łóżka. Raz w czasie tego snu niespokoynego, zawołał tak głośno BÓG i KRÓL, że się aż przebudził. Zapytaliśmy się go czegoby potrzebował? — Nic, to nic, odpowiada, to tylko sen. Marzyło mi się że widział naród który się wzdrygał mieć uczucia religyjne i który się swojego Króla wyrzekał. Miliony ludzi leciały w przepaść... Chciałem na nich wołać ażeby się ratowali, i krzyknąłem BÓG i KRÓL; ale to nic moje dzieci

Sen mara,
Pan Bóg wiara

i w tém zasnął. August upadł na kolana i zaczął się modlić przy łóżku chorego.

Po pierwszém z północy pacjent się uspokoił: my w naszych krzesłach chcieliśmy trochę zasnąć, lampa nam zagasła; zrobiło się ciemno w pokoju: ta noc wydawała nam się okropnėj długości.

Nakoniec przyszedł dzień ostatni życia dobrego staruszka (*); o siódmém z rana prosił ażeby go w krześle posadzić: wszelkie przełożenia Pana Moncewicza były daremne. — Tu, czy gdzieindziej, zawołał dobry staruszek, to wszystko jedno: będę miał przynajmniej chociaż to podobieństwo z *Fryderykiem W.* który także w krześle umierał. — Pan Moncewicz zapewniał go że nie jest wcale tak bliskim niebezpieczeństwa; i dodał wreszcie z uśmiechem, że chory nie powinien umierać aż póki mu doktor paszportu nie podpisze. — Jakbym ja się śmiał, mówi Pustelnik, gdybym ztąd poszedł bez twojego paszportu. Dusza starca, dodał, opuszcza świat bez najmniejszėj trudności; tak przynajmniej mówi o tém *SENEKA*. Wrzeczy samój, rzekł dalej, dzisiejszėj nocy

(*) Umarł 23 Maia 1821 r. o godzinie w pół do osmej zrana.

zrobiłem próbę skonania, i widzę że niektórzy ludzie słusznie utrzymują iż nie tak trudno jest umrzeć iak się to z razu wydaie.

To powiedziawszy kazał się przysunąć do stolika: wzięł swoją ręką list, pisany przed kilku dniami do córki, w którym przesyłał iey swoje błogosławieństwo. Oddał go równie i z testamentem w ręce Pana Moncewicza: przeżegnał wnuka, ścisnął mię za rękę, wyrzał ieszcze raz oknem na Krakowskie Przedmieście i... westchnął.

Nagły krzyk Augusta, który z niego oka nie spuścił, oznaymił światu że iuż Pustelnik nie żyje. Dusza iego opuściła ziemię, to doczesne mieszkanie śmiertelnych. Konając podniósł iednak prawą rękę do góry iak gdyby na ukoienie żalu przyzaciół i na pokazanie że idzie przed Naywyższego Stwórcę odebrać nadgodę cnotliwego życia swojego.

HIERONIM BYWALSKI.



Ner LXXXV. 25 MAJA 1821.

P A P I E R Y.

His lacrymis vitam damus et miserescimur ultro.

VIRG. Aeneid. II. 145.

Temi łzami dałemy mu życie i litujemy się nad losem jego.

ZALEDWIE dobry Pustelnik zamknął oczy, zaraz wieść o jego zgonie rozeszła się po całej stolicy. Tłumy ludów obległy mieszkanie poczciwego staruszka; każdy chciał raz jeszcze, albo raz przynajmniej wi-

dzieć oblicze tego człowieka który, z powodu pism przez siebie wydawanych, stał się osobą tak publiczną i tak głośną. Lecz nie sama ciekawość ludzka przebiegała się w tym powszechnym natłoku: ubóstwo Warszawskie niosło starcowi łązy wdzięczności. Pustelnik bowiem wspierał iakmużnami nie-szczęśliwych i wielu ubogich miało wyznaczone od niego szczupłe w prawdzie lecz stałe miesięczne pensyki które im regularnie aż do śmierci wypłacał. Niech każdy osądzi wrażenie jakię uczynić musiały opowiadania tylu tak licznych a zawsze tak skrytych dobro-dzieństw! Ten żal, ten płacz, te błogosławieństwa i ta rozpacz tylu biedaków przeięły serca wszystkich obecnych nayżywszą boleścią. Każdy przytaczał iaki zacny przymiot nieboszczyka; tamten szlachetne iego postęпки, ten uczciwe obyczaje; ów zdolności i zasługi, inny iego skromności i umiarkowanie: zawiść nawet oświadczyła wyraźnie że był dobrym. Tak to prawda że człowiek dopiero po śmierci pokazuje się rzetelnie tem czem był istotnie za życia!

W pośród tego ścisku osób, odwiedzających ciało zmarłego, byli także i zna-

wcy którzy przychodzili odwiedzić duszę autora. Miano albowiem przystąpić do otwarcia papierów literackich Pustelnika. Czynność ta jest tak ciekawą, dla ludzi uczonych, iak dla doktorów *dissekcya*: iedni i drudzy lubią we wnętrznościach nieboszczyków szukać tajemnic natury: doktorzy literaccy mają ieszcze oprócz dobra sztuki, iedną pobudkę więcey; to jest, zaspokojenie swoiey miłości własney, a czasem nawet i upokorzenie kolegi na celu.

Otwarcie papierów dobrego staruszka nastąpiło w przytomności kilkunastu osób, po większej części literatów. Byli między niemi ludzie prawdziwie światli; inni którzy mieli tylko wszelkie pozory nauki i którzy otrzymali wykształcenie zupełnie w duchu czasu dzisieyszego. Pani Sobieradzka przyniosła tym ostatnim sześć butelek starego węgrzyna, ktore oni iednomyślnie za klassyczne uznali, chociaż w liczbie znawców było kilku romantyków. Jeden z nich, który nie opuścił żadnego naukowego posiedzenia od lat dwudziestu, odznaczył się szczególniey dobrym gustem i dowiodł, pierwszy raz mo-

że w życiu, chwalać wino, że miał smak dobry.

Pomiędzy papierami, które Pustelnik zostawił po sobie, najcelniejszym Dziełem są jego *Listy Chińskie* we dwóch Tomach, które na wzór *Obywatela Świata* napisał. Jest to zbiór uwag nad obyczajami naszymi, początkowo przez pewnego Chińczyka, (który z kupcami rossyjskimi z *Kiachty* do Moskwy a ztamtąd do Warszawy przybył) ułożony i przesłany Mandarynowi HU-AM-TON do Pekinu. Postrzeżenia Chińczyka są w tem zabawne, że wszystko co u nas widział, odnosił do wyobrażeń kraju swojego; wiele rzeczy zdawało mu się przeto dziwnymi dla tego tylko że nie były *po Chińsku*: nieborak może zapewne rozumiał także iż u nas wszystko było *po polsku*! Historia znajomości Pustelnika z uczonym F'OK-III, autorem uwag, ze wszechmiar interessująca i ciekawa, znajdzie swoje miejsce w przedmowie do Listów.

Drugą szafkę papierów Pustelnika znaleźliśmy zapełnioną wierszami. Były to po większej części komedye, tłómaczone z francuzkiego, a między innemi *Dway Zięciowie*

ETIENA, w 5 aktach; *Świętoszek*, *Szkoła Kobiet*, *Mizantrop* i *Kobiety Wysoko uczone* MOLIERA, każda w pięciu. Dobry starszek położył swoją własną ręką na *obvolucie* następującą dedykacją: TEATROWI NARODOWEMU PRZYSZŁEMU; naśladowując w tém *Alfieri* który także swojego Brutusa *Ludowi Rzymskiemu przyszłemu* ofiarował (*). «Zostawmy te sztuki, mówi zacny Pustelnik we wstępie, do lepszych czasów. Nie chcę narzucać, w dzisiejszym składzie gustu publicznego, aktorom tyle pracy ażeby się i wierszy moich uczyć i charaktery moich sztuk zgłębiać mieli. Oprócz tego tłómaczenie tych dzieł tak dobre nie jest aby wyrównało nieśmiertelnym utworom z których je wzięłem, ani też tak złe aby nie miało obudzać zazdrości współczesnych i pokłócić mię z moimi kolegami».

Jeden z obecnych będący w okularach, któryby się mógł nazywać reprezentantem ciekawości, porwał za foliał leżący w dol-

(*) Napis tej dedykacji po włosku tak brzmi: *Al popolo romano futuro.*

ney szufladzie i przeczytał *Asthmata*. Cóż to, mówi, Pustelnik był doktorem, pisał o *Astmach*? — Były to *Antisofizmata*, czyli rozprawy w przedmiotach politycznych, ekonomicznych, administracyjnych i naukowych, w których dobry staruszek rozbierał różne teorye wieku naszego pod względem ich *idealney* doskonałości: wychwalał użyteczność iaką przyniosły w doświadczeniu i dowodził że im tylko brakowało ostatecznego skutku dla którego były postanowione. Uczony w okularach, widząc do czego prowadził staruszek, wyrzekł to słowo *obskurant* tak głośno że się aż wszyscy rozśmieli. Nie mogłem ścierpieć téy obelgi i chciałem powiedzieć do ucha dwa słowa bluźniercy; lecz ieden z weteranów, a raczén z dowódców naszego Parnasu, pociągnąwszy mię za suknię, — day pokóy, mówi mi, czy nie widzisz że to waryat? Dopóki tacy ludzie iak ten w okularach, dodał, będą kray nasz oświecać, dopóty każde zdanie rozsądne będzie u nas zawsze *obskurantyczne* to iest niezrozumiałe i ciemne.

Nayciekawszym i nayzabawniejszym ze wszystkich zbiorów pism Pustelnika, są jego

poufałe listy. Te żyjące archiwa iego najszybszych uczuć okazały się razem historią życia iego i iego kolegów. Przedziwny obraz prześladowania intrygi i zawiści iakie panować zwykły nawet między literatami; doskonała *Taryffa* wszystkich *wziętości* naukowych naszego miasta, z dołączeniem sposobów iakimi się zwykle nabywa sława uczonych. Zbiór ten zawierał także w sobie wiele szczegółów z zakulis, i rzecz dziwna z kąd ten dobry startuszek miał tak dokładną znościomość aktorek? Ci których te pisma osobiście nie obchodziły, nie mogli się niemi nacieszyć, nie można im było ich z rąk wydrzeć i nie iestem pewny czyli który z tych listów nie przepadł w tém zamieszaniu radości albo nie został ukradkiem przekopowany; coby nie iednego interesenta mogło niespokojności nabawić. Pustelnik musiał także posiadać język hiszpański; bo zostawił tłómaczenie *Don-Kiszota* z oryginalnego tekstu: pracę zupełnie skończoną i poprawną, potrzebiującą tylko nakładu na koszta druku. Dzieło to znane całej Europejskiej Publiczności, pełne wdzięków stylu, imaginacyi i komi-

czności, przełożone po mistrzowsku, zasługują na wydrukowanie. Autor zostawił również 43 rozmaitych rozdziałów, przeznaczonych początkowo do zbioru *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia*, i odłożonych do dalszego czasu. Są bowiem takie prawdy, które potrzeba ażeby dojrzały i okoliczności którym należy pozwolić ażeby minęły. Nakoniec ułożył dzieło na wzór *Labruyera* w jednym tomie, w którym opisał iak naydokładniéy *charaktery*, czyli iak ie nazywa *fantazyę* kobiet, ich cnoty i słabości, ich uczucia i wyobrażenia; *charaktery* czyli *powierzchowność* mężczyzn, *pedanteryę* uczonych, *zarozumiałość* młodych, *szarlatanizm* nowatorów, i szczęście miernych ludzi.

Przetrząsanie papierów *Pustelnika* zabrało nam czasu pięć godzin. *Podsędek* spisujący inwentarz, zapytał się iednego z uczonych, iaką cenę położyłoby na nie można? — Cenę gustu i rozsądku, iak na wszystkie dzieła *imaginacyi*, odpowiada zapytany. — Wszyscy moi kolledzy, mówi *Podsędek*, śmieliby się ze mnie gdybym tę monetę wyraził w moim protokóle; proszę mi zatem powie-

dzieć wiele set złotych te *szpargały* szacowaćby należało? — W kraiu czytelnym, odpowiada uczony, i w wieku nie romantycznym te *szpargały* zrobiłyby *fortunę* wnuczkom Pana Lubickiego, większą daleko i pewniejszą aniżeli tę którą im zapisał na dobrach *Kłopotowie*: ale w naszym wieku i kraiu poprowadziłyby pewno do szpitala każdego któryby się chciał *tylko z nich* utrzymywać. Nie prawdaż, Mości *Andelkwist*, rzekł obracając się do jednego z przytomnych księgarzy, który nie dawno co zbankrutował, chociaż brał zawsze wysokie procenta za *komissa*. — W rzeeczy samey, mówi księgarz, nasza *professya* pod względem ekonomicznym jest daleko mniéy świętna niżeli naybiedniejszego iakiego naprzykład mydlarza; ale leż, mówi daley, to jest po części i wina Panów Autorów że się w pisaniu dzieł trzymają pospolicie *średniéy drogi*. ZŁOTA MIERNOŚĆ, iak ją nazywa HORACY, nie uchodzi w literaturze. Trzeba pisać albo doskonale albo téż bardzo źle; szczęśliwy ten autor który może obudzić ieżeli nie powszechne uwielbienie to przynajmniéy śmiech powszechny: taki nie zgu-

bi pewno księgarza. Najszcześniejszy, dodał, *któremu wolno jest pisać zgorzenia!* — I stósować się do ducha czasu, przyłożył ieden z romantyków!

Nadeyście Pani Sobieradzkiéy, która sprzątnęła resztę wina, przerwało dalszą rozmowę. Jakożkolwiek bądź, pisma które Pustelnik po sobie zostawił, wyidą zapewne wkrótce na widok, i publiczność naylepiéy ie osądzić potrafi; pozostaie mi tylko położyć tu akt ostatniéy iego woli, czyli testament któryśmy także w papierach nieboszczyka znaleźli. W piśmie tém, iak we wszystkich innych tego autora, znajdzie czytelnik iego szlachetne uczucie, iego dobre serce i iego zwyczajny zdrowy rozsądek.



Ner LXXXVI. 26 MAJA 1821.

TESTAMENT.

Hæc scripsi non otii abundantia, sed
amoris erga te.

Cic. Epist. ad Fam.

Nie ze zbytku wolnego czasu lecz z mi-
łości ku tobie to pisałem.

Chcę ażeby ten Akt ostatniey woli mo-
iey był szanowanym i zabezpieczonym od
wszelkich prawnych *szykan*, postanawiam
nayprzód iżby każdy legataryusz, wyrażo-
ny w ninieyszym testamencie, któryby czy-

nił najmniejszą trudność z powodu udzielonego mu zapisu, tracił tém samém prawo do spadku który mu zostawiam.

Zważywszy zaś że nie wiem ani czasu ani godziny w której ten świat opuszczę, upraszam ażeby po moiej śmierci następujące rozporządzenia były zachowane.

Nasamprzod ponieważ uczyniłem na rzecz Pana GERARDA MAURYCEGO WITOWSKIEGO Akt darowizny wszelkich moich Autorskich pism, iakie się w dzień śmierci moiej u mnie znajdować będą, przeto obowiązuję go aby sławy moiej literackiej bronił *atramentem i piórem*, i aby moje naukowe zdania popierał przeciwko tym nowo utworzonym pułkom *romantyczności* które z taką odważą białą nieżyjących lub mało co żywych *klassyków*.

W skutku zatém powyższego rozporządzenia mieć chcę ażeby wszystkie literackie pisma moje były po moiej śmierci wydane temuż wyżej rzeczonemu P. *Gerardowi Witowskiemu*, który je uporządkuje w sposobie iaki uzna za najwłaściwszy. Te, które będą poufały treści, u siebie na pamiątkę zacho-

wa; inne, którebym w zapomnieniu i nieuwadze napisał, wrzuci do kominka; inne nakoniec któreby mogły interessować publiczność, poprawiwszy należycie, poda do druku pod swoim lub przybranem *Bywalskiego* nazwiskiem. Wyłączam tylko od tego ogólnego szafunku pisma, które osobno na moim Biorku leżą i *imiennie* są wyrażone, a które składać mają 4 Tomy Dzieł pod tytułem: *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia*. (*)

Tym sposobem wszystko to, co by nie podług porządku wyżej opisanego pod moim lub jego imieniem na świat wyszło, i mnie przypisywanem było, nie będzie odemnie pochodzić ani do mnie należyć; i zawczasu oświadczam że wszelkie pośmiertne Dzieła, wszelkie Pamiętniki i zbiory anegdot, wszelkie nareszcie poufałe listy któreby iaki literacki *tandeciarz* pod moją *firmą* chciał

(*) To są właśnie te Rozdziały które w niniejszem dziele w liczbie sztuk 83 umieściłem.

drukować i przedawać, nie są ani moją własnością ani pracy mojej owocem.

Moiemu wnukowi Augustowi zapisuję bibliotekę, złożoną z tych książek które dla niego wybrałem i które z jego *cyfrą* są opracowane. Znajdzie je w wielkiej umyślnie na to zrobionej szafie. W tym zbiorze wiadomości ludzkich polecam mu szczególnie autorów Greckich z czasów PFRYKLESA; łacińskich z czasów AUGUSTA; włoskich z czasów LEONA X. i MEDYCEUSZÓW; Hiszpańskich z wieku XVI; Francuzkich z wieku LUDWIKA XIV, Angielskich z czasów Królowey ANNY; Polskich z czasów ZYGMUNTOWSKICH i celniejszych z wieku *Stanisława Augusta* i naszego. Spodziewam się po naturalnym zdrowym rozsądku moiego wnuka, iako też po jego nabytém świetle, iż nie wzgardzi uwagami, moją własną ręką w tychże książkach na *marginiesie* zapisanemi, a które poprowadzić go będą mogły w jego naukach. Przyjdzie taki czas że sam to pozna iak ważną jest rzeczą dla młodego wybór książek; i iak wiele przykłada się do prawdziwego oświecenia sposób i duch w iakim te książki bywają czytane.

Do tęj biblioteki należy krzesło *familiyjne*, w którem ja, mój Oyciec i mój dziad siadywaliśmy przy pracy, i które iako *Maiorat* chcę ażeby przeszło na *moiego wnuka* Augusta. Dumając w tym starożytnym *fotelu* mój wnuk może znajdzie iakie *Wspomnienie* dawnych cnót polskich, którego dobrze będzie radzić się w potrzebie.

Zapisuję prócz tego moiemu Guclowi zegarek *repetyer* który dostałem od wuia w Paryżu. Ile razy na niego spojry niech sobie przypomni że ma ten dar od dziadka który go nad życie kochał. Nadewszystko ile razy będzie na nim szukał właściwey godziny, niech pamięta że czas iest naydroższym skarbem dla człowieka i że ten tylko z ludzi żył szczęśliwie który go dobrze użyć umiał.

Hrabiney *Liońskiej*, która miała zwyczaj śmiać się z moiego zadartego nosa, przeznaczam mój *portret* na pamiątkę. Spodziewam się że czas zatrze w iey umyśle śmieszności iakie się w rysach znajduią, a zostawi tylko w iey sercu pamięć przyiaźni którą mię zaszczyciała i względów których od nięj doznałem.

Upraszam moją Córkę i moich wnuków ażeby ruchomości po mnie pozostałych, któremi niniejszym testamentem nierozporządziłem, nie przedawali przez licytacją; ale iżby ie raczy, ieżeli ich potrzebować nie będą, rozdali między ubogich. Nade wszystko zakazuję moim wnukom (pod nieważnością tego com dotąd dla nich uczynił) pozbywać się albo przedawać wizerunki naszych szanownych naddziadów. Gdyby któremu z moich potomków przyszła ta szkaradna myśl, niech przeczyta wprzódy pewną scenę ze *Szkoły obmowy*, którą dają na naszym teatrze. (*)

Panu *Zedrzyckiemu* zapisuję dwa lustra oprawione w murze na iego wielkiéy sali którą mi wynajmował. Tym sposobem zapewne nie będzie się żalił żeśmy mu dziury w ścianie porobili. Również przeznaczam dla niego półroczne komorne, od daty śmierci moiéy rachować się mające, ażeby przecieź dobrze mówił o Lokatorach.

(*) Komedia *Szerydana*, tłómaczona z angielskiego na polskie przez Pana *Bogusławskiego*.

Pawłowi potwierdzam legat w summie roczny tysiąca złotych na dobrach Kłopotowie, tytułem dożywocia. Tym sposobem będzie mógł sobie żyć *udzielnie aż do śmierci*. Zapisuję mu prócz tego *ferczygę*, białemi niedźwiedziami podszytą, którą trzepał przez lat pięć, i wino węgierskie, numerem szesnastym oznaczone, które zawsze tak starannie chował przed okiem Pana Sobieradzkiego.

Dla Pani Sobieradzkiej przeznaczam najprzód obraz *Maryi Magdaleny*, o który mię za życia ieszcze prosiła. Potwierdzam iéy nadto legat w summie 6,000 złp. do wypłacenia na raz ieden z funduszów które się u mnie w gotowiźnie znajdują: a ieżeliby miała, iak się z tém oświadczyła, założyć po moiéy śmierci na wzór Pani *Baydulskiej* garkuchnię, przeznaczam iéy na ten cel wszystkie sprzęty kuchenne, cały *kredens* i wszelką stołową bieliznę. Oprócz tego August, mój wnuczek, wyda iéy z moiéy staréy biblioteki *Powieści Arabskie*, któremi na długie iesienne wieczory, w braku wszelkich nowin, będzie mogła swoje chwile rozzerwać. Niech ten ostatni legat stanie się

nieiako wynadgrodeniem za moię śmiałość że się poważyłem iéy *plotki* w moiem piśmie drukować, i wiadomościami, które tak starannie zbierała, z bogacać moie dzieła.

Upraszam wykonawców moiego testamentu ażeby mię skromnie pochowali: niech raczy poprawią należycie moie pisma i staraią się o wielką liczbę dla mnie czytelników: najmilszy *kondukt* na pogrzebie *literata*, są jego *prenumeratorowie*.

W duchu więc powyższego życzenia zobowiązuję przyjaciela moiego, Pana *Gerarda Witowskiego*, ażeby dzieła mające wyjść pod moim imieniem iak najstaranniey wygładził; żeby nie przepuścił żadney krzywey myśli, nie darował żadnemu *komatowi*: słowem żeby ie uczynił doskonałemi, jeżeli może. A natomiast iżby przy exportacyi moiego ciała iak największa cichość była zachowana, i tylko pobożne hymny kapłanów, jeżeli tego iestem godzien, były słyszane.

Uwalniam przeto moich kolegów literatów od mów pochwalnych iakieby chcieli mieć nad moim grobem: w naszym literackim zawodzie dosyć iuż iest pochwały kiedy ieden autor drugiego nie gani.

Upraszam również aby nie robiono z moim ciałem żadnych stacyi po mieście, nawet przed kantorem *Gazety Warszawskiej*, do której moje artykuły przysyłałem, chociażby tam nawet miał wystąpić iaki KOLLABORATOR *ex officio* dla oddania mi ostatniéj czci w imieniu kollegów.

Nakoniec upraszam i wymawiam to sobie ażeby nie obdzierano, iak mię spuszczać będą do grobu, na pamiątkę trumny moiéj. Taki hołd ja bardziéj uważam za *profanacyą*! Pokóy niech będzie moim popiołom! Oby pamięć moich dzieł i czynów przyiaciele w sercu zachowali! A nie w tych powierzchniowych znakach, które zresztą każdy froter, sprzątaiąc pokoię, może przez nieostrożność za okno wyrzucić!

Na wykonawców moiego testamentu upraszam sobie JW. Tadeusza Hrabie Koronieckiego i W. Gerarda Witowskiego. Pierwszy z nich nie odmówi mi zapewne w téj mierze swoiéj łaski. Drugi, spodziewam się, weźmie to sobie za powinność. Upraszam przytém Hr. Koronieckiego aby odemnie na pamiątkę przyjął pierścień z krwawnikiem. Rznięcie iego *à l'antique* może mu się po-

dobrać będzie iako znawcy, a wartość kamienia jest tak małej wagi że go zapewne przyjąć zechce.

C O D I C I L E.

Wszystko dobrze zważywszy zapisuję całą garderobę Pawłowi. Moje suknie są tak skromne że w nich bez zgorzenia paradować może; a króy tych sukien jest tak stary że wkrótce zapewne stanie się modnym.

Zapisuję tysiąc złotych dla tego ktoby wynalazł sposób skrócenia dzieł *Walter-Scotta* i oszczędzenia w tych dziełach krwi rozlewu.

Również zapisuiu czerwonych złotych 300 na druk dzieła, któreby na wzór *Donki-szota*, na romantyków było napisane.

Po zapłaceniu kosztów pogrzebowych, należytości ludziom służącym i innym, przypadających do dnia śmierci moiej, po rozdaniu siedmiu tysięcy złotych na klasztory i instytutu miłosierdzia, według uznania e-zekutorów testamentu, tudzież summy dwóch tysięcy złotych na pensye i iałmużny dla ubogich według osobnéy *specyfikacyi*

u mnie na biórku leżący, resztę majątku moiego iaki się ieszcze znajdzie, *leguię* w równych częściach pomiędzy dzieci i wnuki moje.

Teraz oświadczam, iż schodzę z tego świata w zupełnem przekonaniu że iest Bóg dobry i sprawiedliwy, który karze złe, nadgradza cnotliwe uczynki. Wierzę zatem że iest drugi świat daleko lepszy od tego na którym żyjemy: co się zapewne każdemu do prawdy podobnem zdawać będzie kto iak ia przeżył lat kilkadziesiąt na téy ziemi.

Pisałem i podpisałem niniejszy testament moją własną ręką w Warszawie, d. 28 Grudnia 1819 roku.

PUSTELNIK z KRZKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.



Nr LXXXVII. 28 MAJA 1821.

ZAKOŃCZENIE (*).

Syna wyleway ły nad umarłym; po-
dług zasług pogrzeb iego ciało i pa-
mietay na rzeczy ostateczne.

U Eklesiastyka w Roz. 38.

ZNAIOMI, przyjaciele i krewni ś. p. Pustel-
nika z Krakowskiego Przedmieścia odprowa-

(* Ten rozdział napisany jest przez Pana Hieroni-
ma Bywalskiego.

dzali na dniu wczorayszym zwłoki tego dobrego staruszka na Cmentarz Powązkowski i pochowali go ze wszelką czcią i jego cnotom przynależną. Tłumy ludów stały po oknach, gankach i ulicach któremi przechodził orszak pogrzebowy; a smutek który się okazywał na twarzach wszystkich obecnych był najlepszym tłumaczem straty którąśmy w jego śmierci ponieśli.

Tak więc nie żyje już ten dobry Pustelnik, który nas pismami swoimi zabawiał, nauczał i poprawiał. Już zapadło nad nim wieko grobowe! Nieubłagana potęga czasu wydarła nam go na zawsze z łona społeczności!

Był to osobliwszy filozof! Nie chciał ażeby go chwalić nawet po śmierci!

Co chłoste wad i błędów ludzkich wznosił i krzepił,
W cieniu brzózek spoczywa które sam zaszczerpił (*).

Lecz kiedy jego skromność, jego wola, wyrażone w testamencie, tłumili głos przyiaciół w czasie tym uroczystym gdy się z nami na zawsze rozstawał, niechże przynajmniej dziś wolno mi będzie (kiedy jego

(*) Naśladow. z Krasickiego nagrobka Konarskiemu.

ciało jest w ziemi pochowane a iego pisma w gazetach) obiawić słowo prawdy i oddać hołd ostatni iego popiołom. Będzie to sprawiedliwością dla niego a dla nas nauką. Pamiętka ludzi cnotliwych nie powinna z nimi razem zstępować do grobu.

Potomek starożytnego domu polskiego dowiódł ANASTAZY LUBICKI że urodzenie nie jest przesądem. W całym życiu bowiem miał niezachwianą poczciwość i tę szlachetność duszy która tylko skutkiem bydz może wrażeń, powziętych od dzieciństwa. W młodości wykształcił swój umysł przez podróże do krajów zagranicznych; z iednéy strony miłował równość towarzyską i niósł szacunek dla wszystkich stanów (to była iego strona *liberalna*) z drugiéy poważał wyższych od siebie, okazywał nieograniczone posłuszeństwo dla prawa i przechowywał w sercu niezłomną wierność Monarsze (to była iego strona światła i razem cnotliwa).

W iego życiu domowém cóż znajdziemy coby nie było wzorem naydoskonalszym wykształcenia moralnego? Dobry syn, wierny mąż, czuły i przywiązany oyciec, wyrozumiały pan, uprzejmy sąsiad, nadewszystko

hogoboyny człowiek prawy katolik, szanujący kapłanów religii; oto są jego przymioty. *Verbum nobile* było u niego świętą rzeczą: starał się dotrzymać słowa każdemu i nie złamać, broń Boże, przysięgi! Ten który nie czuje świętości przysięg, mawiał, nie jest dobrym Polakiem, nie jest synem oyczyzny; nie może być ani dobrym urzędnikiem ani zacnym obywatelem.

Jego dom był bardzo skromnie urządony, chociaż Pustelnik miał znaczny majątek. Czyliż to pochodziło ze skąpstwa? Nie, bynajmniej; ale owszem przeciwnie, z hojności. Mawiał zawsze iż ten tylko jest bogatym i może żyć wspaniale który się oszczędza i któremu zbywa od potrzeb. Dla tego nie wydawał nigdy tego co by wydawać mógł, ażeby mu zbywało. Tym sposobem był zawsze w stanie prowadzić u siebie staropolską gościnność, nadgradzać każdą użyteczną pracę i wspierać w potrzebie nieszczęśliwych: daleki wtędy mierze od tych rozrzutników, którzy trawiając dochody na marne zbytki, nie mogą potem ani podać ręki biedniejszemu od siebie, ani otrzeć łez sierocie.

Nienawiść swoją przeciwko marnotrawstwu rozciągał on daleko wyżej: człowiek, powtarzał to nie raz, który chłonie swój majątek, staje się niewolnikiem własnego niedostatku. Nie powierzaj, mówił, nigdy urzędu takiemu który wszystko na raz przeieść jest gotów: nosi on za sobą zawsze potrzebę żołądka, a ta potrzeba czyni go zawisłym od pierwszego zwodziciela który go żywić będzie: taki człowiek nie ma innego sumienia, tylko sumienie *brzucha* swojego.

Ci, którzy poufały żyli z dobrym Pustelnikiem, nie mogli się wydziwić jego naturalności. Lubił on komedią, ale na teatrze; nie cierpiał zaś scen ani komedyantów światowych. Jego wstręt do szarlatanów był tak wielki, że od człowieka udającego iak od zapowietrzonego uciekał. Jz tęg przyczyny też wszystko w nim było rzetelne. Jego przymioty były wszystkie prawdziwe. Im więcej go kto znał tem więcej go lubił. Był to iak doskonały Obraz na który można było codzien patrzeć bez znudzenia.

Któż może zaprzeczyć iak wielki, iak dobroczynny wpływ miały jego opinie po-

lityczne na tych co go otaczali? Jego wymowa była tem bardziéy pociągająca że mówił nacyjściéy z *natchnienia*. Jednym z nayulubieńszych iego axiomatów był ten, że towarzystwo ludzkie nie na równości ale na sprawiedliwości praw stać powinno. Jakże to, mawiał, chcieliżbyście ażeby *Giuliani*, lichy malarz, miał takie same prawa do nadgrody i chwały iak RAFAEL? Taka równość byłaby naywiększą nierównością; lecz oba, dodał, mają prawo do sprawiedliwego sądu ludzi: obu według ich zasług cenić należy.

Z tego powodu przytaczał nie raz iż jest bardzo szkodliwą rzeczą uprzedzać się przeciwko Arystokracji. W wielkich massach ludu muszą być koniecznie tacy których geniusz, odwaga i talenta czynią wyższemi nad innych i którzy tym sposobem łamią tę pierwiastkową równość iaka między ludźmi była postanowiona. Lecz, dokładał zawsze, uwielbiaymy drogi Opatrzności! Ta nierówność, jest właśnie źródłem naszéy cywilizacyi. Ci wzorowi ludzie są przykładem dla drugich: oni dają popęd do wszystkiego; za ich pomocą doskonali się społeczeństwo.

Itó powtarzał nie tysiąc razy, że kto nie szanuje wyższości towarzyskich, nie może się pochlubić ażeby był dobrym *patryotą*; bo Arystokracya w jakim bądź narodzie nie iest czém inném tylko sławą tegoż Narodu dzisieyszą lub dawną.

Ale naybardziéy słyszeć go było potrzeba gdy rozprawiał o duchu publicznym. Naród, rzekł nie raz, który tylko o swoich prawach i przywilejach mówi a nie o swoich obowiązkach; gdzie wszyscy myślą tylko o sobie a nikt o dobru publiczném; naród w którym każdy chciałby tylko odnosić korzyści ze stanu społecznego a bez żadnéy osobistéy ofiary, taki naród nie ma ducha publicznego i nigdy nie będzie wielkim.

Dobry staruszek tak mocno był przeięty tą myślą że iéy szukał w naymniejszych okolicznościach życia ludzkiego, w potocznych zdarzeniach, w stósunkach przyiaźni, w znajomościach świata, słowem szukał ducha publicznego wszędzie, a nawet w zabawach i ucztach i nieledwie w sposobie formowania koła do Mazurka; tak dalece że to był bardzo uczciwy człowiek, i jeżeli mu uczynić można iaki zarzut, to tyl-

ko ten ieden, że będąc przyjacielem świata i miłośnikiem życia towarzyskiego zrobił się Pustelnikiem i podał siebie przez to w posądzenie iakoby ludziom nie ufał.

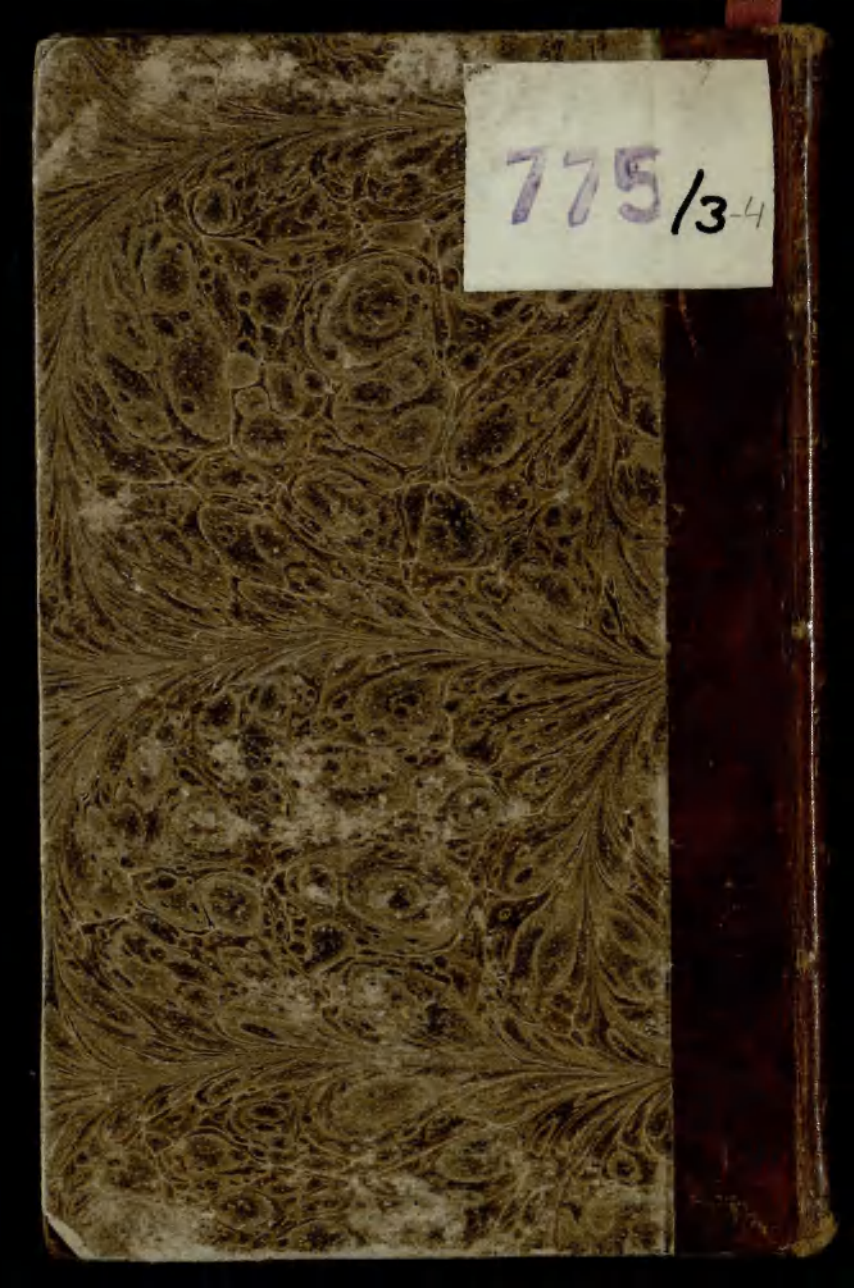
Grzech ten, iezeli to tylko grzechem nazwać można, nadgrodził nam sowicie swoim talentem. Nie był on z liczby tych ulotnych autorków którzy w posród tysiącznych roztargnień piszą ulotne wierszyki. Pustelnik sumiennie pracował. Siedząc w głębi cichego ustronia, w spokoynéy i dobrze zamkniętéy *Celi*, miał czas i sposobność swoje dzieła rozbierać, myśli zgłębiać, styl gładzić, rzecz poprawiać. I można też o nim powiedzieć że dołożył wszelkiego starania ażeby się stał godnym potomności.

K O N I E C.

W CZWARTYM TOMIE ZAWARTYCH

	<i>Stronnica.</i>
LXVI. Spowiedź	1
LXVII. Jarmark	24
LXVIII. Sztuki dramatyczne	39
LXIX. Dzieciątko Jezus	54
LXX. Lombard	73
LXXI. Kawa wiejska.	90
LXXII. Bonifratry	111
LXXIII. Odpust w Woli	130
LXXIV. Korrespondencya	145
LXXV. Głupcy	164
LXXVI. Dzieci	182
LXXVII. Dziadek	198
LXXVIII. Obskurantyzm	213
LXXIX. Wesele na Czystem	225
LXXX. Młodzi ludzie	241
LXXXI. Nowa sztuka	253
LXXXII. Gazety	271
LXXXIII. Lorynetka	285
LXXXIV. Śmierć Pustelnika.	298
LXXXV. Papiery.	309
LXXXVI. Testament.	319
LXXXVII. Zakończenie.	330



The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a complex marbled pattern in shades of brown, tan, and black, featuring swirling, organic shapes. The spine of the book is visible on the right side, bound in a dark, worn material. A small, rectangular white paper label is affixed to the upper right corner of the cover. The label contains the number '775' written in purple ink, followed by a slash and the numbers '3-4' written in black ink. The overall appearance is that of an antique or historical volume.

775 / 3-4